

SIECI

**SLEDZTWO W SPRAWIE
ZAMACHU
STANO**
UWAGA: TO SIĘ
NIE PRZEDAWNIA!

**NADCHODZĄ IMIGRANCY.
WKRÓTCE NIE POZNACIE POLSKI**

**DLACZEGO
SZYMON
HOŁOWNIA
NIE CHCE
ODEJŚĆ**

**MAREK
BUDZISZ
O TWARDEJ
GRZE UKRAINY**

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

8 (638) 2025

17-23 lutego 2025

CENA: 12,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

OBAJTEK KONTRA BRUDNE UKŁADY

**EUROPOSEŁ I BYŁY PREZES ORLENU
UJAWNIA KULISY I TAJEMNICE Z CZASÓW,
GDY RZĄDZIŁ KONCERNEM, ORAZ ZAPEWNIĄ:
JESZCZE NIE SKOŃCZYŁEM**



INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694



Numer w sprzedaży do 24 II 2025 r.

polsat box 

Telewizja na start 12 miesięcy bez opłat



AUDIO BY
BANG & OLUFSEN

 **Dolby**
ATMOS

Od 13. mies. 30 zł/mies., od 25. mies. 40 zł/mies. Pakiet S – 57 kanałów. Umowa na min. 24 mies.

Oferta telewizji dla nowych Klientów na min. 24 mies. Zwolnienie z opłat nie obejmuje pakietów oraz opcji dodatkowych ani opłaty jednorazowej 1 zł za dekodery. Łączna opłata za Pakiet S i udostępnienie dekodera polsat soundbox 4K od 13. mies. 45 zł/mies., a od 25. mies. 55 zł/mies. W liczbie kanałów uwzględniono kanały niegwarantowane. Szczegóły w cennikach i regulaminach dostępnych u Sprzedawców i na polsatbox.pl. Renomowani akustycy z firmy Bang & Olufsen starannie zaprojektowali i udoskonaliili dźwięk dekodera polsat soundbox 4K, aby uzyskać czyste i mocne brzmienie. Dolby, Dolby Audio, Dolby Atmos i symbol podwójnego D są znakami towarowymi Dolby Laboratories Licensing Corporation.

Ostatni sprawiedliwy

Prokurator Michał Ostrowski szybko stał się bohaterem iście westernowym. W tej historii gra zastępcę szeryfa, a naprzeciwko ma same czarne charaktery, jest ich nawet całkiem sporo.

Jesteśmy na samym początku filmu, właściwie po pierwszej konkretnej strzelaninie. Pewien znaczny obywatel zmęczony psuciem prawa składa w biurze zastępcy szeryfa zawiadomienie. A ten już po pierwszych przesłuchaniach nie ma wątpliwości, że wpadł na trop szajki niszczącej zasady obowiązujące w miasteczku i jego dobrą reputację.

Zajadająca się popcornem widownia na razie rechocze z uczciwości zastępcy szeryfa. Zebrał dowody i co? Udostępnił je przełożonemu (bo tak nakazuje prawo!), wiedząc, że tamten jest po ciemnej stronie, że nie pilnuje porządku, tylko lasi się do skorumpowanego szefa wszystkich szefów. Cóż za naiwniak! Mógłby przecież pójść za swoim pryncypałem – publiczność nie może uwierzyć w to, że jednak nie chce – i przyłączyć się do szajki. Że straci reputację? A cóż mu po tej renomie? Wówczas mógłby przecież bezpiecznie przechadzać się po miasteczku, wzbudzając strach, a lokalne gazety codziennie poprawiałyby mu humor, zamazując poczucie winy, które mogłoby się w nim zalegnać (psia krew, jaki on uczciwy!). I byłby przy władzy, a tak szeryf – zapewne po konsultacji z szefem wszystkich szefów – zabrał mu śledztwo. Co więcej, pogroził pięścią,

że jak nie przestanie i będzie coś kombinował we własnym zakresie, to wtedy popamięta.

Nerwowa reakcja najpierw Donalda Tuska, a potem Adama Bodnara na naprawdę dynamiczny start dochodzenia zastępcy prokuratora generalnego Michała Ostrowskiego pokazuje jedno: oni się go po prostu boją. Premier musiał być szczerze zdziwiony, że jego „żart” przy stole ping-pongowym został szybko nominowany do żenady miesiąca, a i w skali roku może nie mieć konkurencji. Wciąż trudno mu przyjąć, że obecna Polska, z coraz silniejszymi mediami niezależnymi i błyskawicznie rosnącymi social mediami, to już nie jest ten jego folwark, z którego wyjeżdżał na ciepłą posadę króla Europy. Wtedy wspólnie z PR-owcami czarował publiczność, uwodził dowcipami, igrał sobie marszczonym czołem, by za chwilę dobrodusznie się rozchmurzyć. Dzisiaj to już nie działa, szczególnie w sprawach ważnych, a za taką należy uznać oskarżenie o organizację politycznego zamachu stanu.

Nie wyszła akcja ośmieszenia prokuratora Ostrowskiego, musieli więc sięgnąć po sprawdzoną od ponad roku metodę pały. Tym sposobem otworzyli sobie przecież drzwi do mediów publicznych, Prokuratury Krajowej czy KRS. Trudno będzie im kiedykolwiek wrócić na ścieżkę prawa, taki rympał po prostu uzależnienia. Gdy pojawia się strach, że ten Ostrowski chce poprosić o pomoc ABW i że może na serio coś



znaleźć, by udowodnić, że zamach stanu to nie tylko figura publicystyczna, kończy się miejsce na finezję. Zawieszamy i zabieramy śledztwo. Jest ulga.

W westernach zazwyczaj jest tak – aż trudno uwierzyć, że Tusk z Bodnarem tego nie wiedzą – że ostatni sprawiedliwy zawsze wygrywa. Kiedy tak się stanie? Nie wiem, ale prokurator Ostrowski, wszczynając śledztwo, sprawił, że będzie można do niego wrócić i za 50 lat, bo po takim czasie przedawniają się te paragrafy.

Na końcu filmu widzimy więc zastępcę szeryfa pokancerowanego przez zbójów, ale w ostatecznej rozgrywce to zły szef wszystkich szefów dostaje w gębę i razem ze skorumpowanym szeryfem odjeżdżają zakratowanym dyliżansem. The end!

Marcin Wikło

OŚWIADCZENIE ZARZĄDU SPÓŁKI FRATRIA

Po analizie nagrań i relacji świadków ze zdarzenia 13 lutego ok. godz. 12.00 przed Urzędem Gminy w Ulhówku w województwie lubelskim oraz po konsultacji z prawnikami stwierdzamy, iż istnieje uzasadnione podejrzenie popełnienia przestępstwa z art. 43 i art. 44 prawa prasowego wobec naszego dziennikarza (z redakcji telewizji wPolsce24).

W dostępnej dla wszystkich przestrzeni publicznej użyto wobec niego przemocy słownej i fizycznej. Celem tych niczym niesprowokowanych działań było uniemożliwienie utrwalenia materiału prasowego. Czynów tych dopuścili się ludzie odbierani przez świadków jako reprezentujący sztab kandydata Rafała Trzaskowskiego.

Reakcja naszego dziennikarza była bardzo ostra, ale wywołana prowokacją i brakiem możliwości samoobrony w innej formie – obie ręce miał zajęte pracą przy kamerze. Był siłowo przepychany, obcesowo przybliżano mu telefon do twarzy.

Warto dodać, że wcześniej kilkakrotnie słownie upominał agresora, że ten przeszkadza mu w pracy.

Zabezpieczamy pełną dokumentację wydarzeń, pokrzywdzony zgłosił sprawę policji.

Będziemy zawsze wspierać naszych dziennikarzy, gdy ktokolwiek będzie uniemożliwiać lub przeszkadzać w wykonywaniu ich pracy.

Zarząd spółki FratRIA Sp. z o.o.



29

**Przebieranki
i nieświeża kielbasa
wyborcza**
Maciej Walaszczyk



43

**Zakręcony kurek
z dolarami**
Dariusz Matuszak



61

**Mocne wyjście
z mroku**
Jolanta Gajda-Zadworna

NA POCZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 ZAKLINACZ „KONIA”**
Krzysztof Feusette
- 9 ZAMACH STANU**
Bronisław Wildstein
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejcki
- 12 NOWE UNIJNE RAMY FINANSOWE:
UPROSZCZONE TAK BARDZO,
ŻE NIC NIE ZADZIAŁA**
Daniel Obajtek
- 13 KONIEC POLSKIEJ EDUKACJI?**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 14 WALIZKA MAGDY KOWERSKIEJ**
Michał Korsun
- 16 PRZEŁOM W BULWIE**
Jan Pietrzak
- 16 TRUMP KOŃCZY Z LEWACKIM
DELIRIUM. A EUROPA?**
Arkadiusz Mularczyk
- 17 WŁADZA WYŁUDZONA**
Samuel Pereira
- 18 NIE PYTAJ, JAKA POLSKA**
Lech Makowiecki
- 19 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

TEMAT TYGODNIA

- 20 SZCZERY JAK OBAJTEK**
Marek Pyza

KRAJ

- 24 TO SIĘ NIE PRZEDAWNI**
Wojciech Biedroń
- 26 NADCHODZĄ IMIGRANCY**
Konrad Kołodziejcki
- 29 PRZEBIERANKI I NIEŚWIEŻA
KIELBASA WYBORCZA**
Maciej Walaszczyk
- 32 HOŁOWNIA NIE CHCE ODEJŚĆ**
Stanisław Janecki
- 34 DOŚĆ ZUBAŻANIA POLAKÓW!**
Z dr. Arturem Bartoszewiczem
rozmawia Dorota Łosiewicz

ŚWIAT

- 37 UKRAIŃSKO-AMERYKAŃSKI DEAL**
Marek Budzisz

- 40 CIEŃ ŻYCIA ODESSY**
Andrzej Skwarczyński
- 43 ZAKRĘCONY KUREK Z DOLARAMI**
Dariusz Matuszak
- 46 CZY SĘDZIOWIE SPARALIŻUJĄ
RZĄD TRUMPA?**
Jan Rokita
- 49 REWOLUCJA ZDROWEGO ROZSĄDKU**
Grzegorz Górny
- 52 ALBAŃSKA AWANTURA**
Aleksandra Rybińska

GOSPODARKA

- 55 PLAN GOSPODARCZY,
KTÓREGO NIE MA**
Maciej Wośko

HISTORIA

- 58 WOJNA PALIKOWA, CZYLI JAK
KASZUBI CHcieli DO POLSKI**
Stanisław Plużański

SIECI KULTURY

- 61 MOCNE WYJŚCIE Z MROKU**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 64 NA IMIĘ MI DOLORES**
Robert Tekieli
- 65 WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli
- 66 KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY**
Maciej Walaszczyk
- 68 JEST SZCZYPOTA NADZIEI**
Maciej Łopiński
- 69 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

PODRÓŻE

- 70 MOJE SZLAKI: DIANA ZAMOJSKA**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

- 71 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 72 OSTATECZNY TEST**
Wojciech Reszczyński
- 73 POLACY LEPSI LATEM NIŻ ZIMĄ**
Ryszard Czarnecki
- 74 PIEŚŃ UJDZIE CAŁO...**
Andrzej Zybortowicz



Dbamy o wartość polskiego pieniądza

Złoto Polaków

450 ton złota

dla bezpieczeństwa polskich rodzin



100
ton złota

450
ton złota

2016

Wzrost rezerw złota w trakcie kadencji prof. Adama Glapińskiego

2025

Polska z 450 tonami złota w rezerwach NBP znajduje się w światowej czołówce największych posiadaczy złota wśród banków centralnych, wyprzedzając m.in. Wielką Brytanię, Hiszpanię oraz Austrię i zbliża się do Europejskiego Banku Centralnego.

Sygnalista nadaaje

🔊 Ten przegląd zaczniemy od epizodu z kolejnym absurdem prawnym, jeszcze jednym podobnym do tych, które rząd Donalda Tuska serwuje nam od 13 grudnia 2023 r. Minister sprawiedliwości i prokurator generalny **Adam Bodnar** zawiesił w czynnościach na sześć miesięcy zastępcę prokuratora generalnego Michała Ostrowskiego. Powód? Śledztwo w sprawie zamachu stanu, które Ostrowski prowadził po zawiadomieniu prezesa Trybunału Konstytucyjnego Bogdana Święczkowskiego. Mamy tu do czynienia z sytuacją, w której prokurator generalny sabotuje śledztwo o jego możliwych poważnych przestępstwach przeciwko państwu polskiemu. Bodnar zawiesił Ostrowskiego dzień po otrzymaniu akt sprawy, w których znajdują się także treści przesłuchań 10 osób w charakterze świadków, m.in. Święczkowskiego oraz byłego premiera Mateusza Morawieckiego. Na pierwsze informacje o śledztwie w sprawie zamachu stanu obóz rządzący zareagował szyderstwem. Wygląda na to, że po tym, jak otrzymali pierwsze dokumenty ze śledztwa, przestało ich to śmieszyć i zaczęli się po prostu bać.

🔊 „Nie wyobrażam sobie, żeby to śledztwo nie było kontynuowane” – powiedział **prof. Michał Ostrowski** na antenie telewizji w Polsce24, komentując decyzję Bodnara o zawieszeniu go w czynnościach. „Są obszerne dokumenty, to bardzo poważna sprawa. Te dokumenty stały się faktem prawnym. Zostały wykonane czynności procesowe” – powiedział zastępca prokuratora generalnego. To prawda.

Śledztwo w sprawie zamachu stanu przeprowadzonego przez Tuska i jego współpracowników zaszło za daleko. Nie da się już tego całkowicie zatrzymać, to początek procesu, który będzie musiał się zakończyć odpowiedzialnością karną niektórych polityków.

🔊 Koalicja 13 grudnia wyrządziła dużo szkody polskiemu państwu, i to w wielu wymiarach. Największą z nich dosięgła chyba ochrona zdrowia. Po tym, jak rząd PiS uruchomił w tym systemie pewne procesy naprawcze, minister zdrowia **Izabela Leszczyna**, polityk, której jedyną „umiejętnością” jest lojalność wobec wielkiego przywódcy i nic więcej, sprawiła, że wszelkie oznaki możliwej poprawy opieki zdrowotnej Polaków zniknęły w jednej chwili. Zapytana niedawno, czy nie boi się, że w zapowiadanej rekonstrukcji rządu straci stanowisko, odpowiedziała, że nie martwi się, ale jeśli premier Tusk chce zmiany, sama wróci do ław poselskich. Wszystko jasne. Zrobiła, co było potrzebne (m.in. zablokowała 4,2 mld zł, które miały trafić na opiekę onkologiczną) i teraz można wrócić do spokojnego życia posła w Sejmie. Bravo!

🔊 O tym, że koalicja 13 grudnia szczególnie dbała o kadry w Ministerstwie Zdrowia, świadczy również wypowiedź wiceminister tego resortu Urszuli Demkow z partii Polska 2050. W niedawnym wywiadzie poproszono ją o skomentowanie tragicznej sytuacji, podczas której w Siedlcach został zabity nożem 62-letni ratownik medyczny, a zabójcą był 57-letni pijany mężczyzna. Pytana o kwestię zwiększenia bezpieczeństwa pracowników, pani wicemi-

nister odpowiedziała: „Ważne jest też to, że ratownicy już w tej chwili mogą pracować krócej, bo do 60. roku życia. Tutaj ten pan miał 62 lata, więc był już w wieku emerytalnym, to był jego wybór”. Czy to stwierdzenie nie brzmi tak, jakby ratownik z Siedlec został zabity, ponieważ pracował „z wyboru”, a nie poszedł na emeryturę? Tak to brzmi. Może pani wiceminister tego nie chciała, ale po takim oświadczeniu, nawet jeśli nie zrobiła tego celowo, powinna głęboko przemyśleć swoją przyszłość w ministerstwie. Oczywiście tego nie robi. Idziemy dalej.

🔊 Ciesz się, narodzie polski, bo dostałeś jeszcze jedną komisję do „rozliczeń z pisowcami”. Co prawda tym razem nie sejmową, ale rządową, natomiast tak samo bezsensowną jak reszta komisji, których celem jest nic innego, tylko igrzyska polityczne, odwracające uwagę Polaków od prawdziwych problemów. Jak poinformowały media, z inicjatywy ministra spraw wewnętrznych Tomasa Siemionika i ministra sprawiedliwości Adama Bodnara „zostanie powołana rządowa komisja, która zajmie się wszystkimi przypadkami nadużywania władzy wobec aktywistów demokratycznych w latach 2016–2023”. Tak, drodzy państwo, komisja Bodnara i Siemionika będzie badała, czy agresywni prowokatorzy pokroju Babci Kasi czy Arkadiusza Szczurka byli „represjonowani” podczas realizacji swoich ulicznych happeningów na rzecz KO. No cóż, jaka demokracja walcząca, tacy jej aktywiści.

🔊 **Donald Tusk** znalazł się w niezręcznej sytuacji. Przed wyborcami twierdził, że Polska nie przyjmie nielegalnych imigrantów w ramach paktu migracyjnego, jednak wokół niego ciągle dzieją się rzeczy, które przeczą tym zapewnieniom. Najbardziej szkodzą mu jego sojusznicy z Niemiec. Najpierw rzecznik niemieckiego MSW Maximilian Kall przyznał po spotkaniu europejskich ministrów w Warszawie, że państwa unijne są zgodne co do tego, że należy przyspieszyć pakt migracyjny. Później kanclerz Olaf Scholz podczas przedwyborczej debaty przekazał, że wymusił na sąsiadach przyjmowanie odsyłanych przez Niemcy migrantów, w pełni usprawiedliwiając niemieckie push-backi. Musimy zrozumieć Niemców. Są w trakcie kampanii wyborczej i nie mają czasu na niuanse takie jak konsekwencje ich wypowiedzi dla „ich człowieka w Warszawie”. Fakt, że w Polsce trwa prezydencka kampania wyborcza, ich nie interesuje. To jest problem Tuska i Trzaskowskiego.

🔊 Można zrozumieć, że Niemcy zostawiają Tuska w potrzebie, ale dlaczego jego najbliżsi

współpracownicy z Koalicji Obywatelskiej robią to samo? Poseł do Parlamentu Europejskiego Janusz Lewandowski przyznał w wywiadzie dla radia RMF FM, że pakt migracyjny wejdzie w życie w połowie 2026 r. ze wszystkimi obowiązkami dla Polski. „Ten pakt został przegłosowany przy naszym sprzeciwie w Parlamencie Europejskim, ale przede wszystkim w Radzie. Będzie obowiązywał od roku 2026. My musimy się do tego dostosować” – przyznał. Później sam sobie zaprzeczył, mówiąc, że jego wypowiedź została „wyrwana z kontekstu”. Nikogo nie przekonał.

🔊 Jednocześnie kandydat KO na prezydenta **Rafał Trzaskowski** dokłada wszelkich starań, aby fakt, że jego obóz polityczny zgodził się na przyjmowanie nielegalnych imigrantów, nie zaszkodził jego kampanii. „Ja mówię od wielu miesięcy, o ile nie lat, że już wykonaliśmy swoje, jeśli chodzi o europejską politykę migracyjną, bo pomogliśmy milionom Ukraińców. Nie ma zgody na to, żeby wcielać w życie jakiegokolwiek postanowienia z tego paktu dotyczące jakiegokolwiek relokacji” – mówił Trzaskowski. Bardzo ładnie to brzmi. Szkoda, że nie ma żadnego politycznego znaczenia.

🔊 Tymczasem Trzaskowski, który wciąż jest prezydentem największego miasta w Polsce, przyznał, że spędza tam dzień, a może dwa w tygodniu. „Pani Małgorzato, ja bywam w Warszawie przynajmniej jeden dzień w tygodniu, a czasami dwa” – powiedział swojej fance na internetowym czacie, która zaprosiła go na Mokotów. „Dzień, dwa w Warszawie? Co za poświęcenie” – komentowali internauci. Ktoś zadał całkiem logiczne pytanie: czy prezydent Warszawy będzie w ten sposób olewał i Polskę, kiedy zostanie prezydentem RP?

🔊 Kandydat obywatelski Karol Nawrocki, który obecnie odwiedza Polskę powiatową, nie ma takich wątpliwości jak Trzaskowski. Wziął urlop od pełnienia funkcji szefa IPN i teraz poświęca się wyłącznie kampanii prezydenckiej, a nie siedzeniu na dwóch krzesłach. Analitycy słusznie zauważyli, że po początkowej fazie kampanii, która zaskoczyła wszystkich swoją siłą, nadszedł czas, aby kandydat zaczął przedstawiać konkretne propozycje. Nawrocki ich posłuchał i to zrobił: zapowiedział obniżenia cen energii elektrycznej o 33 proc. w ciągu 100 dni od objęcia urzędu prezydenta. Ambitne oświadczenie, ale Nawrocki musi być ambitny, jeśli chce zostać prezydentem. W każdym razie kampania trwa i widać, że jej najważniejsze fazy są jeszcze przed nami.



Zaklinacz „Konia”



KRZYSZTOF FEUSETTE

Tusk: I co, kierwa, zrozumieliście z apelu kierownika o większą aktywność w mediach społecznościowych?

Kierwiński: Dlaczego ja?

Tusk: „Kierwa” było przerywnikiem. Tak mówią powodzianie, a ja też, kierwa, tonę. I to przez was!

Leszczyna: No więc ja zrozumiałam, że jestem do rekonstrukcji. Trudno. Wezmę sobie pigułkę dzień po i tusk mnie to obchodzi.

Tusk: Co pani powiedziała?

Kierwiński: Że ch... Że chyba... Właśnie, co pani powiedziała?

Leszczyna: Przepraszam, ale pan premier sugerował, żeby mówić tak jak powodzianie.

Siemoniak: Dość! Ja tego nie wytrzymam! Dlaczego nami się tak pomiata?! Czy ja po to przysięgałem nie chodzić na urodziny do Mazurka? Po to sobie lampką oczy wypalałem, żebym teraz musiał tutaj... w taki sposób...

Tusk: A konkretnie o co koledze chodzi?

Siemoniak: O to, że nikt nas nie szanuje! Nawet w TVN24 jest strasznie. Siedzę ostatnio u Olejnik, a tu mi nagle przerywają, bo chcą pokazać, że wypuścili jakiegoś Kaszpirowskiego?!

Kierwiński: Chyba Kaczorowskiego?

Tusk: Kuczmierowskiego, głaby. I co?

Siemoniak: Inic. Jak skończyli, to powiedziałem, co o tym myślę. To jest skandal, żeby mojej osobie ministra spraw wewnętrznych przerywano z powodu jakiegoś, kierwa, Kierwaczowskiego!

Kierwiński: On się nazywa inaczej.

Tusk: To mógł kolega zadzwonić. Teraz będą mówić, że nam odbija.

Trzaskowski: I tak mówią.

Tusk: Dlatego musimy być jak jedna pięść.

Siemoniak: Muszą się bać.

Kierwiński: Żeby już nikt nigdy nie wołał, żeby nie bać Tuska.

Tusk: To jest pryszcz. Bardziej mnie niepokoi ten zamach stanu.

Kierwiński: No jak to? Przecież w ping-ponga grał pan z lekceważeniem

Tusk: Obawiam się, że to nie wystarczy.

Siemoniak: To może zawiązać tego Ostrowskiego? Weźmie się paru przygłupów spod pomnika, to mu zrobią ścieżkę zdrowia, he, he...

Tusk: Za daleko. W świat pójdzie, a smród pozostanie. I tak wszyscy wszystko wiedzą. Kolego Bodnar, nasza ojczyzna znalazła się nad przepaścią, a to przede wszystkim na was pada cień podejrzenia o sprawę najbrudniejszą z łamaniem konstytucji włącznie. Wymyślcie coś, bo ja wam paczek wysłać nie będę.

Bodnar: Chciałbym nieśmiało zwrócić uwagę, że pan także znajduje się na liście oskarżonych...

Tusk: Tfu! Wypłujcie to słowo! To jest potwarz!

Bodnar: No ja wiem, ale co ja mogę?

Tusk: Cieszę się, że zadaliście to pytanie. Przygotowałem dla was końską dawkę analiz mecenasa Giertycha. Proszę, czytajcie...

Bodnar: (czyta) „Herr Donald...”, nie, przepraszam, „Hej, Donald, to ja Roman, wiesz który, bo jeździć nigdy nie zapomina...”

Tusk: Dobra, pomińcie szczegóły...

Bodnar: „...oto moja opinia: powiedz grubemu...” Kto to jest gruby?

Tusk: Do brzegu, proszę...

Bodnar: „...powiedz grubemu, żeby zawiesił Ostrowskiego, bo jak nie, to mu nawet peruka nie pomoże”. Co za dudek...

Tusk: O, przepraszam, Dudek dopiero przechodzi na naszą stronę, a Roman oddał wielkie zasługi mojej osobistej rodzinie. Do tego ma ten rodzaj charakteru, który pozwala mu być jednym z najbardziej prężnych członków naszego klubu. Kto z was potrafiłby tyle lat przymilać się do towarzystwa, które chciało go wrzucać w worze do jeziora, a które i dziś ma go za walacha? Zawiesicie, kolego Bodnar, prokuratora, który ośmielił się grzebać w konstytucji w sytuacji, gdy mamy urządzić opozycji Norymbergę.

Bodnar: Dobrze, odsunę. To powiedzą, że nikt nie może być sędzią we własnej sprawie.

Tusk: No i nie jestem. Bo to wy zawieszacie.

Bodnar: Ale ja jestem!

Tusk: No i dlatego zawieszacie. Logiczne. Tutaj, kolego, nie można mieć skrupułów.

Siemoniak: To może jeszcze powołamy jakiś zespół, żeby „Koni” się nie znowił. Myśleliśmy z kolegą „Grubym”, przepraszam, Bodnarem, żeby zorganizować zespół do spraw zbadań zbrodni PiS przeciwko demokratycznym aktywistom.

Tusk: Tym, którzy wołali: „Konstytucja”?

Siemoniak: Dokładnie tym.

Tusk: Tym, którym przewodził facet, którego Unia nagradzała, a on sobie pobierał wynagrodzenie z puszek za nic?

Kierwiński: Jak Owsiak?!

Siemoniak: Nawet tak nie mówcie, bo wszystkich aresztują. Wydałem rozkaz natychmiastowego zatrzymania każdego, kto podniesie rękę na obywatela Siema Juras, z domu Jerzy, syn milicjanta.

Tusk: I dobrze. Według naszych kryteriów sepsiak, sorry, Owsiak to człowiek krystalicznie uczciwy. Poza tym wesprze Rafałka, który już ledwo zipie.

Trzaskowski: Uważam, że jest dokładnie odwrotnie. Kochają mnie wszędzie, i na wsi, i w mieście.

Tusk: Musisz więcej mówić o migrantach. Że nie wpuszczymy ani jednego.

Trzaskowski: Ale Scholz mówił coś innego.

Tusk: Przecież słyszałem! A tak go prosiłem... No, ale oni też mają wybory.

Trzaskowski: I Lewandowski się wygadał, że nie mamy nic do gadania.

Tusk: Nic do gadania to nie mieliśmy już wcześniej. Na szczęście mam plan. Obiecamy nowe rzeczy.

Trzaskowski: A stare?

Tusk: Twoja idzie na drugą damę, a moja i tak w nic już nie uwierzy...

Zamach stanu

Latwo przewidzieć było reakcje na wystąpienie prezesa Trybunału Konstytucyjnego. Podejrzani o przeprowadzanie zamachu stanu przedstawiciele obecnego rządu i ich medialna kłaka buchnęli śmiechem i śmieją się do teraz. Wielodniowy nieprzerwany rechot ma w sobie coraz mniej wesołości i wyglądać zaczyna jak objaw choroby nerwowej. Podstawowym argumentem szydzących z oświadczenia Świączkowskiego jest brak czołgów na ulicach. Wprawdzie wiele zamachów obydło się bez nich, ale to Tuskowym żartownisiom nie przeszkadza.

Co do joty przewidywalna była reakcja symetrystów. „To nudne” – narzekają. „Przerabialiśmy to już tyle razy”.

Jako dowód przytaczają wystąpienia polityków PO, którzy w czasie rządów PiS w kółko opowiadali o zamachu stanu. Tyle że nie było to oficjalne wystąpienie prezesa jednej z najważniejszych państwowych instytucji do prokuratora. Podstawowe dla sprawy są uzasadnienia Świączkowskiego, ale trudno oczekiwać ich analizy od tych, którzy swoją rolę postrzegają jako przekonywanie odbiorców, że wszyscy politycy są siebie wari. Przy okazji narzekają, że nic się nie zmienia. Może nie rozumieją, że ich postawa ma w tym istotny udział.

Tzw. prawnicowi symetryści nie przegapią okazji, aby zaznaczyć swój cywilizowany umiar wobec strategii ugrupowania Kaczyńskiego. To m.in. postawa Klubu Jagiellońskiego, którego lider żyzma się: „Zamach stanu to jedna z najgorszych wizerunkowych zagrywek PiS. Dlaczego? Bo jest radykalnie przestrzelona. PiS słusznie krytykuje władzę za nadużycia, ale to daleko od rzeczywistego zamachu stanu. Taka narracja odpycha umiarkowanych wyborców i osłabia zaufanie do PiS”.

Merytorycznej analizy brak.

Reakcje przedstawicieli establishmentu prawniczego można było sformułować zawczasu ze sporą precyzją. Odwołajmy się jednak do pojawiających się i tam uzasadnień. Dowiadujemy się, że rząd Tuska nie może dokonać zamachu stanu, ponieważ został legalnie wybrany. Owszem, został wybrany i ma rzucić zgodnie z zapisanymi w konstytucji normami prawa. Jeśli radykalnie je przekracza, to dokonuje... zamachu stanu.

Obecna władza łamie konstytucję. Uderza w niezależność sędziów i ich uprawnienia. To, że dzieje się to nie tylko przy akceptacji, lecz także współudziale jej establishmentu, niczego nie zmienia. W poprzednim felietonie opisywałem mechanizm tego zjawiska. Zatrzymajmy się na jednym przykładzie.

W minionym roku minister sprawiedliwości odrzucił uchwałę Izby Karnej SN w sprawie nieprawego mianowania nowego prokuratora krajowego, stwierdzając, że „została podjęta przez nieuprawnione osoby”. Wprawdzie „osoby” te były sędziami wiele lat przed dojściem PiS do władzy, ale to w trakcie jego kadencji zostały przesunięte do Izby Karnej. Wcześniejsze wyroki tej Izby Bodnar akceptował. Postępowanie takie nie ma charakteru precedensu, ale jest praktyką

obecnej władzy, np. w odniesieniu do Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych SN. Kiedy zatwierdzała ostatnie wybory, Tusk i Bodnar nie kwestionowali jej składu, co robili w odniesieniu do innych spraw.

Rząd uznaje wyłącznie korzystne dla siebie wyroki. Przyjmuje, że każdą decyzję sądu, którego skład ustalono podczas ośmioletnich rządów poprzedniej władzy, można zanegować. W ten sposób uzurpuje sobie rolę najwyższej instancji sędziowskiej.

Oznacza to podporządkowanie władzy sędziowskiej władzy wykonawczej. To uderzenie w podstawy nie tylko polskiego porządku prawnego, to odrzucenie w praworządności tak jak rozumiana jest ona w cywilizacji zachodniej. Jeśli to nie jest zamach stanu, to co nim jest?

Ludzie w swojej większości nie chcą dostrzegać zagrożeń, które podważają warunki ich życiowego ładu, a więc i społeczno-politycznego porządku. Rozpoznanie ich uświadamiałoby dramatyzm historycznego momentu i zmuszało do zaangażowania się w politykę, czego ogół zawsze stara się uniknąć. Odruchem większości jest próba bagatelizacji niebezpieczeństwa, zamykanie oczu i oskarżanie tych, którzy odsłaniają prawdę. To syndrom Kasandry, której rola niesie ze sobą wielkie ryzyko.

Dlatego politycy jej unikają. W obawie przed odrzuceniem boją się nazywać po imieniu zagrożenia, które są rozłożone w czasie i łatwo je sprowadzić do rzędu trywialnych i przydarzających się zawsze incydentów. Ten lęk potęguje się, gdy proces destrukcji ładu społeczno-politycznego dokonywany jest przy wsparciu dominującego segmentu ośrodków opiniotwórczych.

Jeśli jednak nikt nie wskaże skali katastrofy, to wkrótce może się okazać, że jest za późno, aby jej przeciwdziałać.

To wielka zasługa Bogdana Świączkowskiego, że wziął na siebie tę ryzykowną, acz tak potrzebną rolę. Trudno wyobrazić sobie skalę kampanii wymierzonej w niego i badającego sprawę prokuratora Michała Ostrowskiego, który został już zawieszony przez Bodnara. Na dodatek trudno oczekiwać praktycznych konsekwencji tych działań za czasów rządów Tuska. Ale ich rola w dłuższej perspektywie jest trudna do przecenienia.



Ostatnie czynne złoża gazu łupkowego w Wielkiej Brytanii mają zostać zamknięte i zalane betonem. Taką decyzję podjął laburzystowski rząd mimo wysokich cen energii i ostrzeżeń, że zapasy gazu w Wielkiej Brytanii są coraz mniejsze.

Gaz łupkowy odkryto w rejonie miasta Blackpool w północno-zachodniej Anglii. W 2019 r. rozpoczęto testową eksploatację złoża, która dała bardzo obiecujące efekty. Wydobycie trzeba było jednak wstrzymać z powodu gwałtownych protestów organizacji ekologicznych. Aktywiści zarzucali górnikom dewastację przyrody oraz miejscowego rolnictwa. Wskazywali też, że gdy prowadzono szczelinowanie, w okolicy doszło do ponad 100 wstrząsów sejsmicznych.

Szczelinowanie to metoda wydobycia polegająca na wstrzykiwaniu mieszanki wody, soli i piasku pod wysokim ciśnieniem do warstwy skalnej, aby uwolnić znajdujący się wewnątrz gaz. I choć związek pomiędzy trzęsieniami ziemi a szczelinowaniem jest kwestionowany, to ekologom udało się przekonać miejscową ludność oraz polityków do wstrzymania wydobycia gazu. Ówczesny rząd Theresy May wprowadził moratorium na wydobycie gazu łupkowego w Wielkiej Brytanii, które na krótko zostało zniesione w 2022 r. przez Liz Truss oraz przywrócone przez jej następcę Rishiego Sunaka. Obecny laburzystowski rząd Keira Starmera [na fot.] chce jednak pójść dalej i całkowicie zakazać



szczelinowania gazu. Zabetonowanie ostatnich istniejących odwiertów oznacza bowiem bezpowrotną utratę złoża.

Wszystko to dzieje się w warunkach narastającego kryzysu energetycznego. Według danych Międzynarodowej Agencji Energetycznej w tej chwili ceny energii w Wielkiej Brytanii mają być najwyższe spośród wszystkich 31 państw członkowskich tej organizacji. Brytyjczycy płacą

większe rachunki za energię niż Amerykanie, Niemcy czy Francuzi. Co więcej, zapasy gazu w Wielkiej Brytanii spadły o 36 proc. w porównaniu z poziomem z ub.r. „Wielka Brytania jest w dużym stopniu uzależniona od gazu ziemnego. To uzależnienie będzie trwało przez następne kilka dekad” – zaznaczył Francis Egan, szef firmy wydobywczej Cuadrilla, która wydobywała gaz łupkowy. „Jednak prawie dwie trzecie gazu, który zużywamy, pochodzi z zagranicy, z krajów takich jak Algieria, Katar, Egipt i Angola. Tymczasem gaz produkowany w kraju jest cztery razy czystszy od importowanego LNG. Dzięki niemu możliwe jest posiadanie niezawodnych i bezpiecznych źródeł energii” – dodał.

Rząd laburzystów jest jednak głuchy na te argumenty. Ostatnio poinformowano o zakupach gazu w Stanach Zjednoczonych. Amerykańskiego surowca jest na rynku coraz więcej, bo w przeciwieństwie do Wielkiej Brytanii nikt nie betonuje tam odwiertów.

Konrad Kolodziejcki

20–21 lutego w RPA odbędzie się spotkanie ministrów spraw zagranicznych państw członkowskich grupy G20. Nowy sekretarz stanu USA Marco Rubio ogłosił już, że nie weźmie udziału w tym szczycie z powodu poważnej rozbieżności zdań między Waszyngtonem a Pretorią.

Z kolei prezydent Trump oświadczył, że zamierza ograniczyć programy pomocy finansowej dla RPA, ponieważ rząd tego kraju traktuje pewne kategorie ludzi „bardzo źle”. Za tym eufemistycznym stwierdzeniem stoi ustawa, która weszła w życie w RPA 24 stycznia. Pozwala ona południowoafrykańskim władzom przejmować ziemię bez odszkodowania. Wspomniane prawo jest *de facto* narzędziem konfiskaty gruntów rolnych, które należą do białych obywateli. Lewica w Republice Południowej Afryki uważa, że tak pomyślana reforma rolna jest sposobem przywracania sprawiedliwości społecznej i zadośćuczynieniem wobec czarnej ludności tego państwa za lata apartheidu.

Prezydent Cyril Ramaphosa próbuje uspokoić amerykańską opinię publiczną,



twierdząc, że prawo wywłaszczania z majątków ziemskich bez odszkodowania będzie stosowane jedynie w okolicznościach, gdy jest ono „sprawiedliwe, słusne i leży w interesie publicznym”. Nie przekonało to jednak Trumpa, który nie zamierza ustępować. Jego zaplecze polityczne uważa, że administracja amerykańska powinna również zbadać sprawę licznych zabójstw białych farmerów w RPA.

Komentatorzy w USA podają przykład sąsiedniego Zimbabwe, czyli dawnej Rodezji. Czwierć wieku temu ówczesny dyktator Robert Mugabe dokonał tam

analogicznej reformy – odebrał białym plantatorom duże, dobrze zarządzane gospodarstwa rolne, podzielił je na małe majątki i przekazał rzeszy czarnoskórych drobnych właścicieli, którzy zaczęli produkować na tych splachetkach żywność głównie na własne potrzeby. W efekcie rolnictwo będące kołem zamachowym jednego z najbogatszych krajów Afryki szybko popadło w ruinę. Dziś Zimbabwe jest uważane za „państwo upadłe”. Trump nie chce, by ta historia powtórzyła się w RPA.

Grzegorz Górny

Nowy jedwabny szlak

W parlamencie Kirgistanu rozpoczęły się przygotowania do ratyfikacji umowy o współpracy wojskowej z Turcją. Po Kazachstanie, który podpisał podobne porozumienie, Kirgistan stanie się drugim państwem należącym do Wspólnoty Narodów Języka Tureckiego zacieśniającym związki militarne z Turkami.

Prezydent Sadyr Dżaparow oświadczył, że zawarte porozumienie jest dowodem „strategicznego partnerstwa” z Turcją, a rosyjscy eksperci zwracają uwagę na to, że umowa dopuszcza również tworzenie przez Ankarę baz wojskowych w Kirgistanie. Oprócz tego w dokumencie jest mowa o współpracy przemysłów obronnych, co w praktyce oznacza eksport tureckiej broni i rozwiązań technicznych do Kirgistanu.

Po starciach na granicy z Tadżykistanem, do których doszło we wrześniu 2022 r., Biszkek rozpoczął modernizację swoich sił zbrojnych. W ciągu ostatnich 18 miesięcy Kirgistan wydał na zakupy uzbrojenia 1,3 mld dol., nabywając m.in. tureckie drony. Eksperci zwracają uwagę, że wspólna produkcja broni będzie oznaczać w praktyce wdrożenie standardów NATO, a w konsekwencji osłabi związki Kirgistanu z Rosją. Tym bardziej że Ankara konsekwentnie wzmacnia swoją obecność, również wojskową, w regionie. Ma ona na celu nie tylko integrację gospodarek państw Kaukazu Południowego i Azji Środkowej z turecką, lecz także ochronę korytarzy transportowych łączących Europę i Chinę z ominięciem Rosji.

Latem 2024 r. Kirgistan zawarł porozumienie z Uzbekistanem w sprawie budowy linii kolejowej łączącej oba kraje, co przez ponad 30 lat było blokowane przez Moskwę. Budowa nowego połączenia ruszyła w grudniu ub. r. Jest

to o tyle istotne, że stanowi ono ostatnie ogniwo łączące Azję Środkową i Europę z systemami kolejowymi Chin. Rosyjscy specjaliści są zdania, że turecka polityka polegająca na zacieśnianiu związków militarnych z krajami Azji Środkowej ma na celu również wojskową ochronę „nowego jedwabnego szlaku”, który będzie omijał Rosję.

Potwierdzeniem linii Ankary były przeprowadzone w Turcji ćwiczenia „Zima 2025”. Oprócz wojsk tureckich wzięły w nich udział m.in. siły zbrojne Uzbekistanu, Gruzji, Azerbejdżanu, Kazachstanu, Kosowa oraz Bośni i Hercegowiny, co według obserwatorów potwierdza dążenie Turków do zbudowania aliansu państw rozciągających się od Europy po granicę z Chinami. W tym ujęciu porozumienie Kirgistanu z Turcją jest elementem polityki wypychania Rosji z Azji Środkowej, co staje się powodem rosnącego zaniepokojenia w Moskwie.

Marek Budzisz

Nikaragua należy do krajów dopuszczających się największych prześladowań Kościoła katolickiego na świecie. Na porządku dziennym są aresztowania, najścia i ataki na kościoły, a nawet zabójstwa. Ostatnio w nocy 28 stycznia grupa ok. 30 zakonnic kłauzurowych należących do zakonu św. Klary została zmuszona do opuszczenia swoich klasztorów w Managui i Chinandedze.

Wszystko odbyło się w ramach operacji policyjnej opisywanej jako „noc terroru”. Według mediów powiedziano zakonnicom, że muszą odejść i pozwolono im zabrać tylko część rzeczy osobistych.

Większość wypędzonych sióstr to Nikaraguanek, ich nowe miejsce pobytu pozostaje nieznane.

W ostatnich dniach policja pojawiła się również w rezydencji tamtejszego bp. Rolando Álvareza (od stycznia 2024 r. przebywającego na wygnaniu w Rzymie) i usunęła wszystkie rzeczy, w tym meble i przedmioty religijne. Z kolei kilka tygodni temu funkcjonariusze policji i prokuratury wkroczyli do diecezjalnego seminarium, z którego usunięto co najmniej 30 seminarzystów.

Nikaragua

Sandiniści prześladowują katolików



W 2007 r. do władzy z poparciem Kościoła powrócił komunistą Daniel Ortega, który wcześniej sprawował ten urząd w latach 1985–1990. Od tej chwili trwa systematyczne tłumienie wolności religijnej, a represje wobec duchownych i wiernych stały się częścią szerszej strategii mającej na celu likwidację wszelkiej opozycji. Kryzys nasilił się w 2018 r., kiedy protestujący domagający się ustąpienia Ortegi schronili się w świątyniach. Wtedy oskarżył on Kościół o współudział w próbie zamachu stanu podjętej przez Waszyngton. W marcu 2022 r. władze wydały ówczesnego nuncjusza apostolskiego pochodzącego z diecezji pelplińskiej abp. Waldemara Stanisława Sommertaga, księżom cofnięto prawo wstępu do szpitali i więzień, gdzie zakazano posiadania jakiegokolwiek

literatury religijnej. Regularnie dochodzi też do aresztowań duchownych, konfiskat mienia kościelnego i ograniczania publicznego kultu. Kraj musiało opuścić wielu księży i biskupów. Sprawa jest niewygodna dla sympatyzującego z południowoamerykańską lewicą papieża Franciszka, którego reakcje na sytuację nikaraguańskiego Kościoła są bardziej niż powściągliwe.

Maciej Walaszczyk

Nowe unijne ramy finansowe: uproszczone tak bardzo, że nic nie zadziała

Bruksela znów postanowiła zafundować nam „lepszą przyszłość”, a jak wiadomo, każda unijna reforma zaczyna się od wielkich słów i kończy gigantycznym rachunkiem do zapłacenia. Komisja Europejska (KE) w swoim świeżutkim komunikacie „Droga ku następnym wieloletnim ramom finansowym” zaprezentowała nową koncepcję budżetu UE na lata 2028–2034. Cóż, jeśli ktoś liczył na większą przejrzystość, prostotę i skuteczność, to niech lepiej usiądzie i weźmie głęboki wdech – czeka nas więcej biurokratycznych cudów niż w belgijskim sklepie z czekoladami.

Po pierwsze, zamiast dotychczasowych 50 funduszy i programów Komisja proponuje trzy gigantyczne skarbce, z których pieniądze będą płynąć... no właśnie, gdzie? Nie wiadomo. Wiadomo za to, kto będzie miał decydujący głos w ich przyznawaniu – oczywiście Bruksela. Żegnajcie dotychczasowe programy dostosowane do konkretnych sektorów i krajów, witajcie wielkie, amorficzne worki pieniędzy, z których będą korzystać tylko ci, którzy odpowiednio zabłysną w oczach urzędników.

Ale to nie koniec. Każde państwo dostanie swoją „kopertę finansową”, której wypłata będzie zależała od mechanizmu warunkowości – czyli nowej wersji kagańca politycznego. Jeśli komuś podobał się model blokowania środków z KPO, to teraz dostanie go w wersji premium: KE będzie mogła wstrzymać pieniądze dla każdego kraju, który nie spełni „europejskich wartości”. A jak wiadomo, te wartości to pojemne pojęcie – może chodzić o „niezależność sądów”, reformę mediów, politykę klimatyczną albo o to, że jakiś premier spojrzał krzywo na Ursulę von der Leyen podczas szczytu w Brukseli.

W tym momencie warto zadać pytanie: skąd właściwie Unia weźmie pieniądze na te koperty, skoro ma gigantyczną dziurę budżetową? Komisja sama przyznaje, że luka w unijnych finansach wynosi 20–30 mld euro rocznie, co stanowi ok.



20 proc. całego budżetu UE. Dlaczego? Bo oto nadciąga moment spłaty unijnego Funduszu Odbudowy (NGEU/RRF), z którego pochodziły pieniądze na KPO. To właśnie te „darmowe pieniądze”, o których politycy tak chętnie mówili. Okazuje się, że darmowe były tylko w reklamie – teraz zaczną spływać rachunki.

Jak KE zamierza załatać tę dziurę? Oczywiście nowymi podatkami i większymi składkami państw członkowskich. Bruksela marzy o „zasobach własnych” – podatkach, które UE mogłaby nakładać bezpośrednio. Już mamy CBAM (podatek węglowy od importu), jest podatek od plastiku, szykuje się podatek cyfrowy i danina od transakcji finansowych. A w razie potrzeby zawsze można podnieść składki krajowe i kazać obywatelom płacić więcej – w końcu Unia „dba o ich przyszłość”.

A skoro mowa o przyszłości – gdzie w tym wszystkim jest europejski przemysł? Ano nigdzie. Nie ma żadnej strategii wspierania przedsiębiorczości, nie ma mechanizmów odbudowy konkurencyjności, nie ma ochrony przed zalewem tanich produktów z Chin. Jest

za to święty Zielony Ład i kolejne cele klimatyczne, które mają sprawić, że Europa będzie najbardziej ekologicznie zaawansowanym... skansenem świata. Nie ma realnego wsparcia dla hut, dla przemysłu chemicznego, dla motoryzacji – tylko kolejne regulacje, podatki i obostrzenia.

Tak Bruksela wprowadza swój nowy budżet: zamiast stabilnych finansów – gigantyczna luka budżetowa, zamiast wsparcia przemysłu – nowe regulacje i podatki, zamiast prostej polityki finansowej – trzy wielkie fundusze, których podział zależeć będzie od humoru unijnych biurokratów.

W skrócie: nie wiadomo, kto dostanie pieniądze, skąd się one wezmą ani kto zapłaci za unijną politykę klimatyczną. Wiadomo tylko jedno – ostatecznie rachunek trafi do obywateli. Jak zawsze.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

Koniec polskiej edukacji?



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

Zgodnie z zapowiedziami Ministerstwa Edukacji Narodowej 1 września 2026 r. w klasach I i IV szkół podstawowych oraz w przedszkolach, a rok później w szkołach ponadpodstawowych, ma zacząć obowiązywać nowa podstawa programowa. Wiceminister Anna Mucha poinformowała, że ma zostać wprowadzona edukacja klimatyczno-środowiskowa, „która będzie się odbywała w każdym wieku i na każdym etapie życia”.

Edukacja klimatyczno-środowiskowa to kolejna po edukacji zdrowotnej inicjatywa MEN, która jest zbieżna z postulatami ONZ wprowadzenia globalnie ujednoliconego programu edukacji i wdrażana przez UE w postaci Europejskiego Obszaru Edukacyjnego. Ten ostatni ma obowiązywać od 2026 r. Będzie kierowany przez Komisję Europejską, która tym samym przejmie kontrolę nad programem nauczania w poszczególnych państwach. Najwyraźniej Powszechna Deklaracja Praw Człowieka stwierdzająca, że rodzice mają pierwszeństwo w wyborze rodzaju edukacji, która ma być zapewniona ich dzieciom, nie będzie już respektowana.

Widać, że obecne kierownictwo MEN próbuje wdrażać do polskiego systemu edukacji narzędzia mające ukształtować nowego człowieka. Najlepiej niebinarnego ekspatę lub reprezentanta jednej z kilkunastu wymyślanych płci skupionego na pogoni za zaspokajaniem swoich seksualnych zachcianek, pozbawionego ambicji i wszelkich zahamowań oraz zniewalającego kolejnymi regulacjami wprowadzanymi w imię wymyślonej przez współczesnych komunistów ideologii ochrony klimatu.

We wrześniu 2022 r. w Nowym Jorku odbył się światowy szczyt ONZ poświęcony reformie edukacji (Transforming Education Summit). Głównym tematem konferencji miał być globalny kryzys edukacji oraz przedstawienie edukacji jako prawa człowieka, podstawy pokoju, tolerancji i zrównoważonego rozwoju. W rzeczywistości zaprezentowany na forum ONZ program transformacji edukacji stanowi próbę podważenia tożsamości człowieka ukształtowanej na fundamencie prawdy obiektywnej, uniwersalnych norm etycznych i dziedzictwa kulturowego poszczególnych narodów. Warto zwrócić uwagę na wskazane przez wiceminister Muchę założenie, że edukacja ma się odbywać na każdym etapie życia. Zgodnie z wytycznymi ONZ realizowanymi w ramach Europejskiego Obszaru Edukacyjnego ma ona trwać do 64. roku życia. Na szczycie zaproponowano rewizję celu edukacji i ustanowienie linii programowych skoncentrowanych na ideologii seksualnej, inżynierii kulturowej i aktywizmie klimatycznym poprzez społeczne i emocjonalne uczenie się, rozpoczynając od najmłodszych dzieci.

Założenia szczytu ONZ znalazły odzwierciedlenie w przedstawionym kilka miesięcy temu przez minister edukacji Barbarę Nowacką programie nauczania w ramach nowego obowiązkowego przedmiotu edukacja zdrowotna, który, miejmy nadzieję, dzięki protestom nauczycieli i rodziców oraz opozycji nie zostanie wprowadzony do szkół.

Ograniczenie liczby godzin katechezy także stanowi odpowiedź na kateryczne hasła wygłaszane na szczycie w Nowym Jorku, gdzie wprost wskazano na organizację religijną jako

najważniejszych przeciwników postulowanych zmian w systemie edukacji i na konieczność zmniejszenia wpływu religii na społeczeństwo.

Zapowiadane przez wiceszefową MEN rozszerzenie programu nauczania o edukację klimatyczno-środowiskową ma zapewne za zadanie zbudowanie powszechnego przeświadczenia o konieczności podporządkowania się wymogom europejskiego Zielonego Ładu, którego nieuchronnym i oczywistym skutkiem będzie (poza dołowaniem europejskiej gospodarki i wspieraniem chińskiego PKB) pozbawienie większości obywateli państw UE prywatnej własności. Ta zmiana stosunków ekonomicznych jest postulatem rodem z komunizmu. Kolejne opłaty w systemie ETS i konieczność poniesienia kosztów modernizacji budynków wedle wytycznych efektywności energetycznej zmuszą właścicieli nieruchomości do ich sprzedaży. Do drastycznego obniżenia poziomu życia, jedzenia żywności wyprodukowanej z użyciem insektów będą mogli przyzwyczaić się tylko odpowiednio zindoktrynowani ludzie. Najwyraźniej o to dbają obecne władze MEN.

REKLAMA



"Co Kościół na to?"

Weronika Ostrowska
środa, godz. 20.00

Radio 106.2
Warszawa
dobrze słuchać

120125/F



Walizka Magdy Kowerskiej

*kocięj wolontariuszki w Schronisku
Na Paluchu w Warszawie*

Moja podróż to bardzo dobrze znana mi droga – do schroniska, bezpiecznych kotów czekających na domy. Od siedmiu lat jestem wolontariuszką w warszawskim Schronisku Na Paluchu im. Jana Lityńskiego. Pomaganie przynosi ogrom radości, gdy ta pomoc się udaje, ale trudno jest skutecznie działać, gdy możliwości odbiera samo schronisko. Jako wolontariusze od miesięcy nie mamy dostępu do kociego szpitala, w którym czekają zwierzęta najpilniej potrzebujące świadomych adopcji. Nie mamy też stałego dostępu do informacji o stanie ich zdrowia, który w przypadku kotów może się zmienić z dnia na dzień. Promocja chorych zwierząt jest wybiórcza, nie wszystkie są do niej typowane. Kiedy ktoś zainteresowany adopcją zadzwoni pod numer podany w ogłoszeniu, nie dodzwoni się już do wolontariusza, który zna kota i może odpowiedzieć na wiele pytań nurtujących przyszłe domy. Telefon odbierze pracownik biura, który na co dzień nie pracuje ze zwierzętami. Podsumowując, nie wiemy nic o kotach w największej potrzebie, nie mamy dokładnych informacji o ich zdrowiu, nie jesteśmy w stanie przygotowywać ich do adopcji, robić zdjęć, kręcić filmów, pokazywać ich światu, stworzyć im szansę na dom.

Decyzje dyrekcji schroniska oraz ratusza doprowadziły do spadku liczby kocich adopcji i wzrostu śmiertelności kotów ze Schroniska Na Paluchu. W porównaniu z ub.r. adopcji kotów było o 15,3 proc. mniej, a eutanazji i zgonów więcej (odpowiednio o 35 proc. i 14,5 proc.). Dla urzędników są to tylko liczby, dla nas realne kocie tragedie. Stanowczo sprzeciwiamy się aktualnej polityce schroniska, czemu daliśmy publiczny wyraz na proteście pod stołecznym ratuszem w październiku 2024 r. Wówczas prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski zobowiązał się odnieść do postulatów złożonych przez wolontariuszy.



Fot. Michał Krasun, Magda Kowerska, Shutterstock, z2, materiały prasowe MiA OTTOSON, Facebook, Jędrzej z Palucha



PROTEST POD SEJMEM, 20 LUTEGO OD GODZ. 17.00

Ponieważ Rafał Trzaskowski nie dotrzymał słowa, protest odbędzie się w ten **czwartek** pod Sejmem. Ogłoszenie protestu skłoniło prezydenta do ponownego spotkania się z wolontariuszami i deklaracji działań. Nie czekamy na obietnice, a na realne zmiany i poprawę sytuacji zwierząt czekających w schronisku na domy, a nie na śmierć.

KOSZULKĄ WOŁONTARIACKĄ

Jest dla mnie bardzo ważnym symbolem tego, że celem wszystkich moich działań w schronisku powinno być dobro zwierząt. Nawet w trudnych chwilach pamiętam przede wszystkim o nich i ich potrzebach.

KOCI TRANSPORTER

Wolontariat to nie tylko pomoc w określonym czasie i miejscu, lecz także gotowość do jej niesienia, gdy jest taka potrzeba. Dlatego zawsze mam w aucie transporter na wypadek niespodziewanego spotkania z kotem w potrzebie, np. po wypadku.



RĘKAWICZKI

Bardzo ważne jest dla nas bezpieczeństwo kotów, którego przez lata bezwzględnie przestrzegaliśmy w kocim szpitalu. Teraz nie mamy do niego dostępu.



GRUPA

Praca w grupie to podstawa naszych działań. Tworzymy zgrany zespół, wspieramy się, by efekty naszych działań były jak najlepsze dla kotów. Tylko dzięki dobrej



współpracy możemy realnie wpływać na poprawę warunków zwierząt.

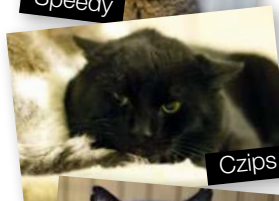
FACEBOOK „KOTY Z PALUCHA”

Wszystkie zdjęcia i filmy kotów, które wykonujemy, spędzając z nimi czas, staramy się wykorzystywać do ich skutecznej promocji. Niestety nie możemy jej zaoferować kotom czekającym na dom w szpitalu.



ZDJĘCIA KOTÓW

Koty są dla nas najważniejsze, każda adopcja niezmiernie cieszy, każda tragedia ogromnie smuci. Czips, Hakuna, Bagera i Speedy wciąż czekają na kochające domy.



SMACZKI, ZABAWKI

Bardzo ważny dla wolontariusza w schronisku jest czas spędzony z kotami, który nam daje możliwość poznania ich, odpowiedniego ogłaszania do adopcji, pracy z nimi; to chwila ulgi dla zwierząt w trudnych warunkach schroniska. Nie wszystkim kotom możemy to zaoferować – tym czekającym na domy w szpitalu już nie.



Wysłuchał Michał Korsun

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Przełom w Bulwie

O jak miło! Nasza rozbuchana eurowładza sięgnęła do zapomnianego satyryka Janusza Osęki i jego głośnej niegdyś humoreski „Przełom w Bulwie”. Miło mi się zrobiło, ponieważ Osęka bywał w Kabarecie pod Egidą, spotykaliśmy się w „Szpilkach”. Występował także w kabarecie Wagabunda! A więc człowiek z branży, z dawnych lat, został doceniony.

Premier ni z tego, ni z owego zarządził czas przełomu, choć w sławetnej proklamacji „100 konkratów” nic takiego nie planował. Widocznie ktoś wykształcony z resortu „dukacji i nałuki” uświadomił mu, że po roku partaniny w rupieciach i babrania w błocie warto błysnąć bardziej ambitnym projektem. Niech się Bulwa cieszy! Bulwa potrzebuje przełomu! Należy, wicie, rozumiecie, podlać więdnący entuzjazm aktywu. Wreszcie, jak gawariat: last but not least, wrócić do sprawdzonych wzorów z epoki budowania ustroju ogólnej szczęśliwości.

Przełomu mają dokonać inwestycje. Podano nawet oszalamiającą sumę, która zostanie zainwestowana – 650 mld zł. Nie podano, skąd się zlecą inwestorzy z taką kasą. Będę zgadywać – z Niemiec! Nie po to w pośpiechu, gorliwie kasowano, osłabiano, wygaszano polskie ORLENY, porty, Cargo, rolnictwo, kopalnie, elektrownie, Azoty... itd., żeby pozostawić je byle komu. Zajmą się naszą gospodarką, a zwłaszcza finansami sprawdzeni sąsiedzi, niezłomni sojusznicy! Rezerw



**Jan
Pietrzak**

złota w ilości 450 t nie można zostawić tutejszym chudopacholkom!

Dodajmy, że problematykę przełomu opisują inne humoreski Osęki, do których odsyłam zainteresowanych: „Cyrk pcheł”, „Echo w remoncie”, „Głos ze studni”, „Tramwaj w oku”, „Ucho żyrafy”... Do tamtej, jakże przełomowej rzeczywistości z lat 50. w wielce wyrafinowany sposób nawiązuje genialne „Wesele w Atomicach” Sławomira Mrożka. Drobnym cytacikiem: „Akurat w tym czasie zaczęli u nas przekształcać przyrodę. To, co było zalesione, ucywilizowano, ale za to zmeliorowano, zaś pustynię zalesiono. Rzekę zawrócono, by płynęła w drugą stronę. W związku z tym droga do kościoła wypadła nieco dalej, zaś u mnie na podwórku powstała wielka tama o poważnym znaczeniu gospodarczym, tak że drzwi się całkiem nie odmykały i z trudnością można było wyjść z domu”. Problematyka Zielonego Ładu nie była obca czerwonej władzy już wtedy, w 1959 r.! *Nihil novi sub sole*. Jedynie ukochani przywódcy się zmieniali i każdy miał swój przełom.

Przywołane tu lata 50. i Październik Gomułki. Potem czarny czwartek (obejrzyjcie film Antoniego Krauzego) i Gierek. „Pomrzecie? – Pomrzemy!” Stan wojenny i Jaruzelski, niweczący nadzieję Solidarności. Następny przełom przy okrągłym stole z powyłamywanymi nogami... I lata 90., mozolne, męczące budowanie III RP po to, by ją równocześnie rozkradać.

Czujemy niedosyt, Bulwa czeka na przełom!

Trump kończy z lewackim delirium. A Europa?

Z perspektywy Europy decyzje Donalda Trumpa pokazują, jak daleko lewicowo-liberalne elity Starego Kontynentu posunęły się w ideologicznym szaleństwie, przeregulowaniu gospodarki i finansowaniu utopijnych projektów. Amerykański prezydent jak sprawny chirurg odcina gangrenę skrajnej lewicy, podczas gdy Bruksela nadal marnotrawi miliardy na genderową nowomowę, zieloną ideologię i biurokratyczne absurdy.

W USA Trump nie boi się stawiać tamy radykalizmowi – zakończył finansowanie organizacji promujących genderową propagandę, aborcję na życzenie i klimatyczną dezinformację pod płaszczykiem „praw człowieka”. Agencja Stanów Zjednoczonych ds. Rozwoju Międzynarodowego (USAID) przestała

być bankomatem dla aktywistów, którzy w Europie wciąż dostają publiczne pieniądze. Co więcej, działania USAID nie ograniczały się do promowania progresywnej agendy – pomogły także w dokonaniu przewrotu i zmiany władzy w Polsce, wspierając środowiska sprzyjające lewicowo-liberalnym interesom, podkreślając emocje wśród młodych. Podobne próby podejmowano w innych krajach Europy, w których rządzą siły niezgodne z ich polityczną linią.

Symboliczne jest to, że dziś w ogóle trzeba przypominać o istnieniu dwóch płci. Trump przywraca zdrowy rozsądek: mężczyzna to mężczyzna, kobieta to kobieta. W UE zaś mnożą się językowe „innowacje”, „osoby menstruujące” i regulacje zmieniające kobiece sporty w groteskę.

Podobnie w ekologii. Trump odrzuca klimatyczny dogmatyzm, podczas gdy Europa dobrowolnie niszczy swoją gospodarkę pod ciężarem Zielonego Ładu. Rosnące ceny energii czy zamykane fabryki to nie ekologia, a lewicowy terror w nowym opakowaniu.

Trump przywraca normalność. Europa brnie w utopię. Jeśli się nie obudzi, czeka ją katastrofa. Zdrowy rozsądek stanie się jedynie mglistym wspomnieniem, a Stary Kontynent skansenem.

Arkadiusz Mularczyk



Władza wyłudzona

Gdy 15 października 2023 r. Donald Tusk przejmował władzę, partner USAID oraz operacyjne ramię Departamentu Stanu USA, czyli National Endowment for Democracy (NED) jasno określiły, co nowy rząd MUSI zrobić. Priorytetem miało być znalezienie sposobu na uwięzienie czołowych polityków PiS, aby, jak to ujęto, „wykorzenić populizm”. Lista nazwisk osób, które należało ścigać, miała zostać dostarczona z zagranicy, by nie dopuścić do ich politycznego odrodzenia.

To nie pierwszy raz, gdy wdrożono taki szablon operacyjny. Mike Benz ujawnił w swoim podcaście, że USAID stosował podobne metody nie tylko w Polsce, lecz także w USA, gdy u władzy był Donald Trump. Strategia była jasna: wzywanie do uwięzienia politycznych przeciwników oraz eliminacja z demokratycznego obiegu, a podejście do głosowania korespondencyjnego wręcz przeciwne niż w Polsce, co pozwala zrozumieć, jak zmienna może być opinia o tym samym aspekcie działania państwa w zależności od tego, kto miałby na tym skorzystać.

W Polsce atmosfera była przygotowywana na ten „eksperyment nad Wisłą” już przed zaprzysiężeniem rządu Tuska. Niemieccy publicyści otwarcie pisali o konieczności „przy-

wrócenia demokracji”, sugerując, że PiS należy potraktować jak siłę antydemokratyczną. Z kolei w artykule „How to Dismantle an Illiberal Democracy”, opublikowanym przez „Journal of Democracy” wezwano do rozprawienia się z politykami PiS, sugerując, że powinni stanąć oni przed sądem na podobieństwo „drugiej Norymbergi”. Oskarżono ich o „złamanie praworządności” i zaproponowano skoordynowaną akcję „sprawiedliwości tranzycyjnej”.

Problem tkwi jednak w tym, że cała ta operacja nie dotyczy demokracji, lecz uzurpacji. Nie chodzi o „przywrócenie praworządności”, lecz eliminację konkurencji i zapewnienie monoideologicznej hegemonii. Dla „demokratów” demokracja jest dziś narzędziem selektywnej represji, a jej rzekomi obrońcy okazują się najbardziej zagorzałymi zwolennikami dyktatu i prawa siły. Dziś nad siłą prawa ma stać wola polityczna, a cel uświęcać środki. Ten deklarowany, bo prawdziwy zawsze pozostaje ten sam – władza dla władzy i stołki dla stołków. A kto nie z nami, ten „populista” i wróg demokracji.



Samuel Pereira

Wojna nie jest naszym wyborem

Z aktorką *Rimma Tyshkevych* rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Ma pani znaczące nazwisko w polskiej historii.

Rimma Tyshkevych: Niektórzy pytają mnie, czy nie jestem spokrewniona z Beatą Tyszkiewicz. Niestety nie.

Czy udział w filmie „Ludzie” [który wchodzi do polskich kin w trzecią rocznicę rosyjskiej inwazji na Ukrainę – przyp. red.] był dla pani wyzwaniem?

Tak, bo nie na co dzień dostajesz rolę, która tak łączy się z dramatycznym doświadczeniem twojego kraju, twoich bliskich, twoim. Gdy przed kamerą musisz pokazać straszną rzecz. Zagrałam matkę, na której oczach gwałcącej córkę, a ona nie może nic zrobić. I jeszcze reżyser Maciej Ślesicki dał mi zadanie, żeby na mojej twarzy było widać to, co się dzieje za kamerą. Widz nie widzi gwałtu wprost, podobnie jak innych okrucieństw, których w filmie nie brakuje.

To przez bohaterów, a głównie bohaterki, pokazywane są najtrudniejsze sytuacje.

Przeżywała pani tę rolę?

Bardzo. Już na etapie przygotowań miałam w pamięci informację, ile kobiet zostało zgwałconych tylko w okolicach Kijowa, z którego wyjechałam razem z dziećmi, kiedy zaczęła się wojna. Jestem aktorką uchodźczynią.

Bardzo bym chciała, żeby losy pokazanych na ekranie „Ludzi” poruszyły widzów. Nie jest naszym wyborem, że o Ukrainie wciąż mówi się w kontekście wojny. Wolelibyśmy kojarzyć się z naszymi pieśniami albo nawet barszczem, a nie z wojną. Scenariusz „Ludzi” został oparty na prawdziwych historiach. Nie sposób ich nie przeżywać, kiedy myślisz: „Jak ta moja bohaterka, po takich doświadczeniach, będzie żyć dalej”? A musi żyć. Bo ma dla kogo.



Nie pytaj, jaka Polska

Zagrożenia populacji naszego kraju biorą się stąd, że wiele potencjalnych polskich mam nie garnie się do prokreacji, bo... nie lubi dzieci. Ideologia gender, wokeizm, wojujący feminizm i za-



przedana im tzw. kultura masowa zdemolowały mózgi i serca potomkinii niegdysiejszych matek Polek. Dotychczasowe prognozy liczebności Polaków na koniec XXI w. (Eurostat – 27,7 mln, World Population Prospects – 19 mln czy 14,5 mln według eksperta Mateusza Łakomego) odchodzą do lamusa. Demografowie biją na alarm: będzie znacznie gorzej. Przeprowadzony na przełomie lat 60. i 70. ub.w. eksperyment dr. Calhouna (gorąco polecam test zwany „misią utopią”) przewidział te trendy.

Wymieranie to nie tylko nasz problem: w 2100 r. ludność Chin ma się skurczyć o połowę i spaść poniżej 650 mln. Prognozy dla Korei Południowej są jeszcze bardziej dramatyczne: spadek z 50 mln do 3 mln!

Jak temu zaradzić? Można ściągać migrantów – takich, którzy chcą się jeszcze mnożyć, i za ich pomocą dokonać wymiany narodu, przyspieszając tym samym zagładę starzejących się, bezdzietnych i nikomu niepotrzebnych tubylców. Ale można też próbować odwrócić niekorzystne trendy, promując w edukacji szkolnej tradycyjny model rodziny oraz sprzyjające dzietności wiarę i patriotyzm. A w szeroko rozumianej popkulturze (filmy, teledyski itp.) przypominać piękno heteroseksualnej miłości, opiewać szczęście rodzinne i dar posiadania dzieci. Ogromne pieniądze i darmowe mieszkania oddawane nielegalnym migrantom powinny trafić do polskich wielodzietnych rodzin. Za wychowanie co najmniej trójki dzieci należałoby uhonorować emeryturą ich matkę. Albo ojca. I surowo karać za nazywanie patologią wielodzietnej rodziny!

PS Piosenkę „Roman Dmowski – testament” zbudowałem z cytatów tego wybitnego męża stanu. Puenta utworu poraża aktualnością swego przesłania: „Nie pytaj, jaka Polska, lecz czy w ogóle będzie...” – pisał ponad wiek temu ojciec-założyciel II RP.

Lech Makowiecki

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

OPLUWANIE POLSKIEGO MUNDURU I ATAKOWANIE ŻOŁNIERZY STRAŻY GRANICZNEJ JUŻ JEST PASSÉ. KANDYDAT KO NA PREZYDENTA PROPONUJE, BY NAPOTKANYM NA ULICY MUNDUROWYM DZIĘKOWAĆ ZA SŁUŻBĘ... PRZYNAJMNIEJ DO WYBORÓW, A POTEM SIĘ ZOBACZY.



SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, LESZEK DEJGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARŃOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, MAŁGORZATA WOŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.

PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCOKOWSKA,
MARIOLA.BARCOKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOREDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL

REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.SIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPIŚLAĆ PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSŁYKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARŃOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WKŁÓ

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAŻ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.

WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE, ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI x2, ANDRZEJ WIKTOR x2, ANDRZEJ
WARSZCZAK/REPORTER, PAPPIOTR NOWAK, SHUTTERSTOCK/CHENCHUNFUCH, WONGSAKORN
DULYAPAT, TSN/PHOTO, METRAMORPHOSIS, MASSIMO TODARO, REVIEW NEWS

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

* Dane do przelewu w stopce redakcyjnej

Jatka w armii, czyli krawaciarze w akcji

Państwowe Biuro Śledcze i kontrwywiad wojskowy (wchodzący w skład Służby Bezpieczeństwa Ukrainy i nie podlegający wywiadowi wojskowemu HUR) zatrzymały płk. Ilję Łapina oraz dwóch generałów: Artura Gorbenkę i Jurija Gałuszkinę za to, że w wyniku ich błędów w dowodzeniu w ub.r. Moskałe zajęli niewielką część obwodu charkowskiego. Zarzut jest o tyle absurdalny, że ci dowódcy tak na prawdę odwalili dobrą robotę. W maju 2024 r. w rejonie Wolczańska zastawili na nieprzyjaciela pułapkę, która zasadniczo się powiodła. Kosztem utraty kilku małych i niewiele znaczących miejscowości przeciwnik zaangażował na tym odcinku kilkadziesiąt tysięcy bojów, z których większość już tam została. Zarówno przebieg działań wojskowych, opanowanie sytuacji w ciągu godzin, jak i błyskawiczna ewakuacja ludności cywilnej dowodzą, że Moskałe byli tu oczekiwani. Podobnie jak ujawnione po kilku dniach ukraińskie materiały pokazujące, że Siły Zbrojne Ukrainy (SZU) obserwowały podejście nieprzyjaciela w rejon ataku, a nawet kontrolowały działania rosyjskiej V kolumny, wpuszczającej bojów tylnymi drzwiami do Wolczańska. Powstaje zasadnicze pytanie – to czego się chłopaków czepiać? Odpowiedź może być tylko jedna. Krawaciarze w Kijowie pod wodzą prezydenta Zelenskiego bawią się w politykę kosztem jedności armii.

Obaj generałowie i pułkownik dostali zarzuty, jakoby swoimi zaniedbaniami dopuścili do powodzenia ataku Kacapów. Rzekomo źle rozmieścili jednostki, źle ocenili możliwy kierunek ataku wroga, źle wydzielili odwody. Nawet gdyby te oskarżenia były prawdziwe, nie są to tematy na sprawę

karną. Mogli je postawić tylko dyletanci, którzy wojnę znają jedynie z gier komputerowych. Są to zarzuty w iście bolszewickim stylu. Stawiano takie sowieckim generałom, którzy choć robili, co mogli, ponosili porażki. Płk. Łapinowi zarzuca się oddanie bez walki kilku miejscowości i odmowę odbicia utraconych pozycji. Czytaj: odmówił bezsensownego wytracania żołnierzy na szarpanie się o pozycje, których nie mógł utrzymać. Ale wygadała się rzeczniczka Państwowego Biura Śledczego Tatiana Sepiał, która powiedziała wprost, że proces zorganizowano „w odpowiedzi na protesty społeczne”, czyli że rzucają oficerów na żer tłuszczy żądającej rozliczeń. A że ludzie bardziej wpienia to, co dzieje się w Donbasie, jest bez znaczenia.

Do tego wszystkiego ukraiński wymiar niesprawiedliwości zagrał w typowo bolszewickim stylu. Po postawieniu pierwszych zarzutów gen. Gałuszkinę zwolniono za kaucją. Nie zdążył opuścić budynku sądu, kiedy został znowu zatrzymany, postawiono mu kolejne zarzuty i tym razem osadzono w areszcie bez prawa do kaucji. Ponieważ to honorowy gość, poprosił o skierowanie na front w stopniu szeregowca. W wojsku wrze, a ukraiński kontrwywiad wojskowy dostał polecenie, żeby nie dopuścić do porzucania przez podległych oficerów żołnierzy stanowisk i demonstracji poparcia dla nich.

Awszystko to przy bezkarności ludzi głównodowodzącego gen. Ołeksandra Syrskiego od-



Andrzej Rafał Potocki

powiedziałnych za katastrofę w obwodzie donieckim. Gen. Jurij Sodoł mimo odwołania z funkcji dowódcy Zjednoczonych Sił Zbrojnych pozostaje nietykalny, choć ponosi bezpośrednią odpowiedzialność za kiepską sytuację między Pokrowskiem a Wielką Nowosilką. Ale Sodoł jest człowiekiem Syrskiego, a trzech oskarżeń to ludzie byłego naczelnego dowódcy SZU gen. Walerija Żaluźnego. A Żaluźny... Generał otwarcie odrzucił propozycję kandydowania w wyborach parlamentarnych z „drużyny Zelenskiego”. W dodatku jest najbardziej popularnym człowiekiem na Ukrainie. Co prawda Żelenski nadal ma największe poparcie ze wszystkich polityków, a Żaluźny jak na razie nie jest politykiem, jednak kamaryła prezydenta panicznie się boi generała.

I tu leży przyczyna postawienia w stan oskarżenia oficerów związanych z Żaluźnym. W klasycznie bolszewickim stylu będą teraz trzymani w aresztach, żeby zaczęli zeznawać przeciw Żaluźnemu. Prezydent Żelenski na własne życzenie grzebie swój autorytet. Kiedy żołnierze wrócą z frontu, wyniosą go z gabinetu razem z biurkiem.

Współpraca: „Skipper”



Szczery jak Obajtek

Tę książkę trzeba przeczytać, by zrozumieć, jakie mechanizmy decydują o fundamentalnych sprawach polskiej gospodarki i o jaką stawkę toczyła się wielka gra uczynienia z ORLENU międzynarodowego giganta



MAREK PYZA

Na zachętę można by napisać: dlaczego Daniel Obajtek odmówił oglądania wyścigu Formuły 1 na zaproszenie Saudyjczyków? Co powiedział

Jarosław Kaczyński, gdy wójt Pcimia odmówił kandydowania do Sejmu? Dlaczego Zbigniew Wróbel, były prezes ORLENU z nadania SLD, trafił do Rady Dyrektorów u Obajtka?

Odpowiedzi na te pytania oraz mnóstwo innych nieznanych faktów związanych z podejmowaniem decyzji na szczytach władzy znajdują państwo w książce „Jeszcze nie skończyłem”, czyli wywiadzie rzece Wiktora Świątlika z Danielem Obajtkiem. Ale to lektura cenna przede wszystkim z wielu innych powodów.

TRUDNE SPRAWY

Przez ostatnie lata Obajtek był na cenzurowanym. Imponująca kariera w czasie rządów Zjednoczonej Prawicy – od wójta Pcimia do prezesa największej polskiej firmy – ściągnęła na niego wyjątkową uwagę opozycji i mediów, które nie miały żadnych skrupułów w opisywaniu jego życia, interesów, majątku. Obajtek miał być prowincjonalnym nieudacznikiem, którego akces do biznesowej elity miała zapewnić jedynie lojalność wobec PiS. Miał

być pozbawionym kompetencji lokalnym samorządowcem, który „położy” państwowe spółki. A okazał się wręcz cudotwórcą – nie dość, że postawił na nogi naftowy koncern i zapewnił tym samym gigantyczne zyski budżetowi państwa, to przeprowadził fuzję, która wydawała się niewykonalna. I to mimo klód rzucanych pod nogi przez rodzimych polityków oraz media.

Pieczolowicie wytykano jego zarobki i liczone nieruchomości. Doszukiwano się dziury w całym, choć Obajtek był tu wyjątkowo transparentny – po serii publikacji na temat jego zakupów działek i mieszkań zdecydował się zaprosić dziennikarzy do kancelarii prawniczej i pokazać wszystkie dokumenty sumujące jego zarobki i zakupy. Wynikało z nich, że w spornym okresie na nieruchomości wydał o 1 mln zł mniej niż w tym czasie zarobił. Ale najmocniej atakujące go redakcje zdecydowały się tego nie nagłaśniać.

„25 lat za kratkami. Taki wyrok może usłyszeć Daniel Obajtek” – pisały już w połowie ub.r. portale internetowe, choć prokuratura nie miała wówczas nawet zamiaru stawiać mu żadnych zarzutów. Dziś chce to zrobić, lecz w drobniuszkiej sprawie – nieprawidłowości w związku z wynajęciem przez prezesa ORLENU firmy detektywistycznej, stąd wniosek do europarlamentu o uchylenie immunitetu.

Przez 14 miesięcy rządów nowej władzy prokuratura nie ściga obecnego europosła za strategiczne decyzje, które podejmował w ORLENIE – czy to związane z fuzją z Lotosem, obniżką cen paliw, czy jakiejkolwiek innej.

W książce „Jeszcze nie skończyłem” wszystkie te sprawy wracają. Wiktor Świetlik nie pomija żadnego tematu, w każdym dopytuje. Jest dobrze przygotowany. Czasem wręcz drwi z Obajtka (np. gdy okazuje się, że z pudłem papierów – faktur, aktów notarialnych, PIT – dowodzących czystości naszego bohatera przy zakupach nieruchomości poszedł najpierw do Jarosława Kaczyńskiego), chwilami jednoznacznie go kontruje (choćby w wątku Polska Press i zmuszania do ustępowania redaktorów naczelnych gazet lokalnych). Nie pozostawia Obajtkowi wolnej ręki do zamykania historii. Ale był szef

ORLENU ze wszystkim się mierzy z otwartą przyłbicą. Najczęściej bardzo wiarygodnie.

Choć paru pytań zabrakło. Chciałoby się np. dowiedzieć, jak Obajtek funkcjonuje w Parlamencie Europejskim obok europosłów Macieja Wąsika i Mariusza Kamińskiego, którym poświęca w książce wiele cierpkich słów za ich chroniczne przeświadczenie inwestycji prowadzonych przez spółki energetyczne i paliwowe. Albo jak to możliwe, że Jarosław Kaczyński w drodze na grób brata na Wawelu miał się zatrzymać u Obajtka w Pcimiu, a jednocześnie ten sam Obajtek żył wówczas w świetnych relacjach z wojewodą Jerzym Millerem, szefem komisji, która zamazywała prawdę o katastrofie, w której zginął Lech Kaczyński. To jednak tylko didaskalia.

NISZCZENIE PEREŁ

Tym, co w książce najcenniejsze, jest możliwość zajrzenia za kulisy miliardowych transakcji, funkcjonowania wielkiego przemysłu i polityki.

Dowiadujemy się np., na czym polegał problem z dostawcami ropy. „Na ich liczbie. To po prostu grupa dostawców, jeden przekazujący drugiemu, którzy ssali zyski. Inaczej mówiąc – nadmierne wydłużony łańcuch dostaw. Skrócenie tego łańcucha to był mój główny cel w tym wszystkim. [...] Kiedy się kupuje przez wielu pośredników, to nie wie się, skąd ropa pochodzi”. Może więc pochodzić z Rosji, choć w kontrakcie jest napisane inaczej. W tym wątku Obajtek sięga po przykład z czasów pierwszych rządów Donalda Tuska. „W odtańnionym przez Jacka Sasina piśmie, w którym rząd PO w 2011 r., krótko po wyborach, wskazywał potencjalnych nabywców Lotosu, wskazano spółkę, która była pośrednikiem w dostawie rosyjskiej ropy do Orlenu. Więc tak naprawdę te spółki robiły kapitał kosztem Lotosu i Orlenu po to, by potem je wykupić”.

Obajtek przyznaje, że przychodząc do ORLENU, nie miał pojęcia o skali mafijnych interesów wokół spółki. Szybko zorientował się jednak, na co się zdecydował. „Jak się siedzi w tym biznesie i patrzy szeroko, ma się cały

rynek zmapowany, to widać, który hurtownik nagle bierze mniej paliwa. Dlaczego tak robi? Analizuje się, dlaczego bierze mniej, czy bierze u kogoś innego, jeżeli tak, to dlaczego, jakie błędy popełniamy, jak go zachęcić. A jak się okazuje, że nie bierze u kogoś innego? To coś jest nie halo. Sprawa staje się jasna”.

Punkt po punkcie pokazuje, jak naftowy koncern był rozkładany na łopatki, co dobrze widać na przykładzie spółek zależnych, np. ORLEN Serwis zajmującej się serwisowaniem stacji. „Wykańczano ją celowo na rzecz podmiotów zewnętrznych. Ludzie byli dosłownie zniechęceni do pracy tam i przechodzili do firm z zewnątrz obsługujących nasze stacje. Pogoniliśmy większość tych firm, a ludzi z powrotem przyjęliśmy”.

Kolejny dowód: ORLEN Ochrona. „To jest spółka zależna, która miała być przez Platformę sprywatyzowana jako nierentowna i podobno nie dało się sprawić, by przynosiła zysk. Dziś to stuprocentowa spółka Orlenu. Nie muszą dodawać, że rentowna”.

Podobnie nieefektywne, a wręcz dywersyjne działania obserwował w Enerdze, którą zarządzał przed ORLENEM. „Okazało się, że i tutaj jest masa różnych podwykonawców, którzy zgarniają gros zysków, biorą najbardziej lukratywne kontrakty, a to, co było deficytowe, zostawało w spółce celowej do wykonania. [...] Połączyliśmy niektóre spółki zależne, podpisaliśmy umowę społeczną ze związkami, zwiększaliśmy cały czas kompetencje tych spółek. Zatrudnialiśmy, robiliśmy systemy motywacyjne i zmienialiśmy ścieżki awansu. Ważne było to, by nie pozbywać się pracowników technicznych. Wcześniej model był taki, że oni odchodzili i zatrudniały ich te firmy, które potem zatrudnialiśmy”.

Okazuje się, że były prezes ORLENU ma złe zdanie o całym systemie funkcjonowania spółek Skarbu Państwa. Dlatego rzuca ciekawą propozycję: „Zarządy powinny mieć ciągłość, stabilność i powinny funkcjonować co najmniej siedem lat. Powinny mieć taką kadencyjność, żeby zdążyły skonstruować strategię i generalnie wdrożyć ją w życie. Po tym czasie dopiero można rozliczać wdrożone cele. Ale jeżeli zmiany są co pół roku czy co rok, to nie ma to sensu”. Nie sposób odmówić tu logiki.

FUZJA

Co naturalne, wiele miejsca na kartach książki zajmuje opowieść o fuzji ORLENU z Lotosem (a także Energią oraz PGNiG), czyli największej operacji biznesowej, jaką w ostatnich dekadach przeprowadziło państwo polskie.

Obajtek wskazuje, że przejście przez płocką spółkę tej z Gdańska nastąpiłoby wiele lat wcześniej, gdyby nie paru polityków z Pomorza. „Ta grupa chciała mieć po prostu swój Lotos. To pokazuje też takie rozbieżności czy Polskę różnych magnatów i ich latyfundiów. Trójmiasto jest tego najlepszym przykładem. Ten układ myśli na zasadzie: ja chcę mieć swój Lotos, swoje lotnisko, nienależące do ogólnopolskiej spółki, do której należą inne porty i tak dalej. Więc wycofano się. [...] To cały czas taki styl i taka mentalność, że Gdańsk to wolne miasto. Nienależące do Polski, a w każdym razie niezależne, gdy rządzi PiS. Przecież nawet pani prezydent Dulkiewicz niejednokrotnie na radzie miejskiej wypowiada się: »nasz lokalny parlament«. Wolne Miasto Gdańsk, które ma swoją rafinerię, swoją elektrownię, swoje zakłady. Gotowe znosić pisowskie okupacje od czasu do czasu. Budujące zawsze dobre relacje z Niemcami”.

Obajtek miał nawet usłyszeć od polityków PO, że fuzja to świetny pomysł, ale w tej sprawie „dymi pięciu posłów z Wybrzeża”. „Między innymi pani Pomaska, pan Lewandowski, pan Aziewicz, jeszcze paru posłów z Wybrzeża tak naprawdę ten proces torpedowało. Potem, jak Donald Tusk wszedł do gry, no to już ze względu na przynależność do Trójmiasta dołączyło się paru kolejnych. Natomiast czy pan widział taki mocny atak ze strony SLD? Czy pan widział taki mocny atak ze strony PSL-u, Konfederacji?”.

Co ciekawe, zastrzeżenia mieli politycy PO, ale nie cztery wielkie firmy audytorskie nadzorujące ten proces, międzynarodowi eksperci czy kancelarie prawnicze. Ba, Polskę wsparł nawet rząd w Wilnie, przekonując Komisję Europejską, by ta nie wymagała od ORLENU zbycia dwóch kolejnych rafinerii, bo zagrozi to bezpieczeństwu Litwy.

Ostatecznie można mówić o szczęściu w nieszczęściu, bo pozytywnie dla fuzji okazała się... pandemia koronawirusa. „Wszystko się zaczęło walić, parametry, nie parametry, wyniki leciały w dół. Wtedy stwierdzili, że jednak faktycznie większe firmy są bardziej odporne na ten kryzys. Okazało się, że to, co my proponujemy, to jeden z elementów zwiększania stabilności gospodarczej”. I tu z pomocą przysłała, jak mówi Obajtek, „mądra Dunka”, czyli komisars ds. konkurencji Margrethe Vestager.

Obajtek wskazuje, że przejście Lotosu przez ORLEN nastąpiłoby wiele lat wcześniej, gdyby nie paru polityków z Pomorza. „Ten układ myśli na zasadzie: ja chcę mieć swój Lotos, swoje lotnisko i tak dalej. To cały czas taki styl i taka mentalność, że Gdańsk to wolne miasto”

„Okazała się nam bardzo mocno przychylna, a zarazem potrafiła patrzeć bardziej perspektywicznie niż inni”.

Tu dochodzimy do dwóch wątków fuzji, które w skrajnie zakłamanym sposób stały się pretekstem do walenia w Obajtka i PiS. Chodzi o wprzęgnięcie w ten proces saudyjskiego Saudi Aramco oraz węgierskiego MOL. Na tej podstawie próbowano oskarżać rząd PiS o... współpracę z Rosją.

Obajtek przypomina więc: „Ci, którzy najwięcej współpracowali z Rosjanami, mimo ich bandyckiej polityki wobec niektórych krajów, nigdy z tego nie wyciągnęli wniosków. Podpisali z nimi wszystkie umowy uzależniające nas od ich ropy, od gazu, mało tego, chcieli podpisać taką umowę, która uzależniłaby nas na lata. Podpisali z nimi wszystkie kontrakty, jakie mogli podpisać, nie

zwracając uwagi na Czeczenię i Gruzję. Nie dość tego. Po ataku na Krym podpisano terminowe umowy z Rosjanami! Więc kto uniezależniał Polskę od Rosji? [...] Atakowanie polskiej współpracy z Saudi Aramco to działanie na rzecz Rosji. Tak samo jak atakowanie współpracy z MOL-em, który jest poważnym graczem na rynku europejskim i nie ma dziś – wbrew temu, co pisano – żadnych związków z rosyjskim kapitałem”.

Skąd w naszej układance wzięli się Węgrzy (realizując wymogi KE, sprzedali ORLENOWI 182 stacje w swoim kraju oraz na Słowacji, a w zamian nabyli 417 polskich stacji Lotosu)? „Myśmy długo nie mogli się dogadać, bo był inny partner, który dawał lepsze warunki. Węgrzy po prostu poprawili swoją ofertę i dali jeszcze lepsze. Dla mnie najważniejsza była kwestia zakupu u nich stacji. Tego nie popuściłem i przecież myśmy w końcu kupili 200 stacji. [...] Nie mogłem o stacjach rozmawiać z Hiszpanią, Portugalią czy z Włochami, jeśli chciałem, by to było w pełni opłacalne dla nas. Chciałem mieć stacje tam, gdzie miałem niedaleko położoną rafinerię, by własne paliwo do nich dostarczać. Mamy rafinerię w Czechach, więc Słowacja, czyli słowacki Slovnaft, który też zabiegał o ten kontrakt, i Węgry były naszym naturalnym rynkiem”.

Pozyskanie Saudi Aramco też wcale nie było takie proste: „Początkowo Saudyjczycy w ogóle nie mieli przekonania do biznesu w Europie. Mówili, że jest preregulowana, że wykończy się sama, że te regulacje Unii Europejskiej, to szaleństwo zielone, są tak daleko posunięte, że nie ma co tu inwestować”.

Co więc zdecydowało? „Przekonała ich rozmowa o dalszym przetwarzaniu ropy na produkty petrochemiczne. Ja bardzo mocno patrzyłem na rozwój następnej gałęzi, jaką była petrochemia. To jest po prostu dziedzina, która jest jeszcze niewyczerpana. A Saudowie mają tysiące patentów, atestów, kupili wspomniany Sabic – jedną z największych firm przetwórczych. I generalnie cały czas podkreślają rozwój tej branży. My też zresztą to widzieliśmy. Dlatego mocno rozwijaliśmy petrochemię i stąd

największa inwestycja w tej branży w Europie – Olefiny III w Płocku. Rozwijamy nawozy, polichlorki, polistyreny, polietyleny. I Saudowie, widząc Polskę, widząc geografę, widząc, że mamy te rafinerie rozlokowane, że mamy rynki wokół prawie 80 mln ludzi i rynki nowe, które się kiedyś mogą otworzyć, przekonali się. Uznali, że będziemy razem inwestować w rozwój łańcucha petrochemicznego”.

To się jeszcze okaże, bo Olefiny III, czyli największy petrochemiczny projekt w Europie, został zatrzymany przez obecną władzę ORLENU.

Ciekawe, jaki będzie los innego projektu, mocno rozwijanego przez Obajtka – ORLEN Paczki. Obecnie planowane jest przejście tej usługi przez Poczta Polska, co obecny europoseł komentuje tak: „Proszę zapytać klientów usługi Orlenu, czy są zadowoleni, i proszę zapytać o to samo klientów Poczty Polskiej. Więc coś chcą zrobić? Orlen Paczkę podporządkować Poczcie Polskiej. Coś takiego zawsze prowadzi, to żelazna reguła, do zepsucia tych zdrowych aktywów, które są dominowane przez złe. To zarżnięcie tej usługi. Ktoś na tym skorzysta, jakieś grube misie, którym ja się naraziłem, bo wszedłem im w szkodę.” I choć to Świetlik, a nie Obajtek podaje nazwisko „grubego misia”, którym miałby być prezes InPostu Rafał Brzóska, to były szef ORLENU potwierdza: „Nie wiem, czy celowo, ale tak wychodzi. Pewnie przypadkowo. Przecież wszystko u nas jest przypadkowe”.

Podobnie jak ostatnio zupełnie przypadkowo Tusk skaperował Brzoskę do stworzenia przepisów deregulacyjnych.

KAWA NA ŁAWĘ

„Od dziecka miałem takie gwałtowne ruchy, wstrząsy, napady, a dawniej tego nie leczono. Na początku w szkole po prostu po łbie dostawałem i się ze mnie śmiali. Tak to w PRL-u było”. Również i ten temat w książce nie jest omijany. Obajtek nie użala się nad swoją chorobą (cierpi na zespół Tourette’a), lecz mówi o niej zaskakująco otwarcie, np. wtedy, gdy opowiada, jak schorzenie przeszkadza w publicznych wystąpieniach: „Jestem przygotowany, wiem, co powiedzieć, mam pełną kompetencję,

ale największym problemem dla mnie jest to, że muszę się skupić na tym, co mówię, i na tym, żeby nie mieć tych ruchów, nie przekręcać słów, nie zmieniać końcówek”.

Szczerością przebijają wiele postaci naszego życia politycznego decydujących się na wydawanie książek – by wspomnieć choćby tę, która swoje dzieło zatytułowała „Szczerze” (wbrew treści). Obajtek przyznaje np., że będąc prezesem ORLENU, *de facto* był politykiem PiS: „Byłem częścią systemu władzy. Grałem z nimi na tym samym boisku, w tej samej drużynie, do tej samej bramki. Naszym celem były modernizacja, rozwój i bezpieczeństwo kraju, a rozwój Orlenu miał temu służyć, a nie odwrotnie”.

Albo inny przykład, gdy wprost przeciwstawia się hipokryzji, przyznając, że czasem zatrudniał kogoś „po prośbie” – choć zastrzega, że odbywało się to z uwzględnieniem całej ścieżki formalnej, a jeśli dana osoba się nie sprawdzała, rezygnowano z niej. Podkreśla jednak, że dokładnie tak samo robią wszystkie ekipy rządzące, choć się do tego nie przyznają.

Potwierdza również, że jego decyzją było (dez)informowanie o licznych awariach dystrybutorów na stacjach, gdy opozycja wraz z pomagającymi jej mediami grała na wywołanie paniki wśród kierowców i grzmiała o zbliżających się podwyżkach cen. „Widzieliśmy, że nagle w którymś momencie sprzedaż paliwa w detalu wzrosła nam o 50 proc. Jak ktoś sprzedawał 5 tys. litrów dziennie, to nagle sprzedawał – dajmy na to – 15 tys. Rolnicy podjeżdżali jakimiś cysternami, wypełniali jakieś silosy. Jak się jeden taki traktor z cysterną z tyłu przyczepioną ustawiał, to za nim ustawiała się w panice kolejka samochodów. [...] Im bliżej wyborów, tym było coraz gorzej. O ile paniki z okresów pandemii lub wojny jeszcze można zrozumieć, to to już było zupełnie chore. To była czystej wody manipulacja przedwyborcza, próba destabilizacji państwa przed wyborami”.

Otwarcie opowiada też o wyjątkowych względach bezpieczeństwa, o które zadbał od początku prezesowania płockiemu gigantowi. „Zarządziłem co trzy dni sprawdzanie biura przez ludzi z Orlen Ochrona, którzy byli bardzo zaufani. Zakupiliśmy najnowszy sprzęt do sprawdzania. Wydałem polecenie, żeby założyć kurtyny zagłuszające na wszystkie okna w moim gabinecie, wymienić wkładki i zamki, przypilnować, żeby nikt do zamka nie miał kluczy. Wprowadziłem czytniki twarzy przy wejściu. Zarządziłem, że nawet firma sprząająca nie ma prawa sprzątać bez towarzystwa moich zaufanych ludzi z Orlenu. Wydałem też polecenie, że ludzie, którzy wchodzi do Orlenu, muszą zostawiać telefon, a do rozmów o wyższej tajności zakupiliśmy specjalne urządzenia zagłuszające”.

Tylko z pozoru taka ostrożność może się wydawać paranoiczna. Znając skalę ataków medialnych i czyhania na jakiegokolwiek potknięcie Obajtka, a także miliardowe interesy, jakie naruszył, dbając o wzrost spółki, zapobiegliwość byłego prezesa jest w pełni zrozumiała.

Wspomina też, że bywał śledzony: „Kierowca zwracał czasem uwagę, że widuje te same samochody. Nie mam powodu mu nie wierzyć. Sam sobie więc ograniczyłem wolność. Nie wyjeżdżałem też poza podróże służbowymi za granicę, bo wiedziałem, że to dobre okazje. Nie chciałem, żeby ktoś do mnie podszedł, podjechał na stacji, zaczepił mnie w hotelu. Wiedziałem, że oni tak działają. Nie dałem im się. Ale nie powiem, że bym wiódł szczęśliwe życie”.

Pewnie wielu czytelników uśmiechnie się na utyskiwanie nad swym losem człowieka mającego wielką władzę, będącego na biznesowym szczycie, zarabiającego krocie. Ale Obajtkowi można wiele wybaczyć, bo broni go rzecz fundamentalna: wyniki ORLENU, kilkakrotnie lepsze niż w czasach poprzedników i (tych samych) następców.

Potęga firmy już na zawsze będzie wiązana z zarządzaniem nią przez Daniela Obajtka. Nie wiadomo tylko, jak długo będziemy o niej mogli mówić.



To się nie przedawni

Bogdan Świączkowski, prezes Trybunału Konstytucyjnego, składając na ręce Michała Ostrowskiego, zastępcy prokuratora generalnego, zawiadomienie o zorganizowanej grupie przestępczej, która dokonała zamachu stanu, wywołał szok nie tylko w środowisku prawniczym. Jego doniesienie to swoisty akt oskarżenia przeciwko m.in. Donaldowi Tuskwowi, Adamowi Bodnarowi oraz Szymonowi Hołowni. Na ponad 60 stronach wyliczył wszystkie bezprawne działania tej ekipy wymierzone w TK, KRS i SN



WOJCIECH BIEDROŃ

Prezes Świączkowski nie miał wyjścia, a każdy dzień zwłoki mógł być bardzo kosztowny. Nowa władza nie publikuje orzeczeń Trybunału Konstytucyjnego, atakuje Krajową Radę Sądownictwa oraz nie uznaje uchwał Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych. Bodnarowcy planują też „zagłodzenie” samego TK.

Przez Sejm i Senat przeszła szokująca ustawa, która burzy porządek konstytucyjny i ma na celu wyłączenie legalnej izby SN, która będzie decydowała o ważności wyborów prezydenckich. Legalnych sędziów ma zastąpić grupa „seniorów” z SN, często o komunistycznych rodowodach.

Jednocześnie trwa brutalna czystka w prokuraturach oraz sądach. Władza umacnia się w instytucjach, które są systemowymi bezpiecznikami. Bez nich demokracja jest tylko wyświechtanym sloganem, z którego niewiele wynika.

„Uważam, że jesteśmy blisko sytuacji, kiedy w ciągu roku, pół może dojść do tego, że na ulice zostaną wyprowadzone siły zbrojne czy też policja, żeby próbować powstrzymać protesty społeczne” – mówił Świączkowski w rozmowie z radiem RMF FM. „Nie wymieniam tutaj nazwisk. Nie wiem, kto kieruje tą zorganizowaną grupą przestępczą. Być może biorą w niej udział osoby spoza granic Rzeczypospolitej Polskiej. Od tego jest postępowanie karne, od tego jest prokurator” – podkreślał.

WYŚCIG Z CZASEM

Sprawa trafiła do Michała Ostrowskiego, legalnego zastępcy prokuratora generalnego Adama Bodnara. Dlaczego właśnie do niego? Świączkowski nie miał wyjścia, sprawa dotyczy bowiem samego Bodnara. Z kolei Dariusz Korneluk, twierdzący, że jest prokuratorem krajowym, został powołany na to stanowisko przez Donalda Tuska całkowicie bezprawnie. Kolejny w kolejce był właśnie Ostrowski. To prokuratorowski twardeł, pogromca zorganizowanej przestępczości, bat na VAT-owców i innych przekręciarzy. Niezależny i odważny śledczy, doskonale znany w środowisku.

Ostrowski wie, że śledztwo, które formalnie otwiera, może być mu odebrane. Tak już bywało, gdy akta odbierano referentom i przekazywano w inne miejsce. Od ponad roku taśmowo umarza się też sprawy dotyczące pupilów władzy – Romana Giertycha, prof. Tomasza Grodzkiego, Bartosza Kramka z Fundacji Otwarty Dialog i wielu innych. Często wbrew oczywistym faktom i bez ich weryfikacji na sali sądowej. Ostrowski musi się więc spieszyć. 5 lutego błyskawicznie przystępuje do czynności śledczych. Rozpoczyna przesłuchania świadków, zbiera materiał dowodowy. Pracuje bez przerwy, także w weekend. Nie ma chwili do stracenia.

– Wszczęłem to postępowanie na podstawie pisemnego zawiadomienia prezesa Bogdana Świączkowskiego, które liczyło ponad 65 stron i zostało opublikowane na stronie Trybunału Konstytucyjnego. Prezes TK został przeze mnie przesłuchany w charakterze świadka i pod rygorem odpowiedzialności za składanie fałszywych zeznań. Korespondencja formalnie wpłynęła do Prokuratury Krajowej i przywiózł ją dyrektor gabinetu prezesa TK, który przeszedł pełną procedurę wejścia do budynku. Zawiadomieniu został nadany odpowiedni numer liczby dziennika w punkcie kancelaryjnym, który mieści się w moim gabinecie. Wszczęcie śledztwa nastąpiło dwa dni po wpłynięciu zawiadomienia, a godzinę po jego wszczęciu o mojej decyzji został pisemnie powiadomiony prokurator generalny Adam Bodnar z prośbą o nadanie kolejnego numeru, tzw. Ds. To nadanie numeru jest w tej sprawie rzeczą wtórną i niemającą znaczenia dla przebiegu czynności procesowych” – powiedział prokurator Michał Ostrowski.

REAKCJA WŁADZY

Początkowo władza reaguje kpinami. Tusk w nagrany filmiku twierdzi, że ważniejsza jest dla niego gra w tenisa stołowego niż „zamach stanu”. Politycy



Michał Ostrowski



Bogdan Święczkowski

koalicji 13 grudnia także żartują sobie z działań prezesa Święczkowskiego oraz Michała Ostrowskiego. To daje prokuratorowi kilka dni cennego czasu. Ostrowski nie tylko zbiera materiał dowodowy. Informuje też kancelarię Szymona Holowni, że chce przesłuchać marszałka Sejmu, „na razie” w charakterze świadka. Zleca też konkretne czynności Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Czy to tak bardzo przerażało bodnarowców i Tuska? Bardzo możliwe. Faktem jest, że Ostrowski przesyła informacje o śledztwie Bodnarowi.

W poniedziałek 10 lutego w Prokuraturze Krajowej i Ministerstwie Sprawiedliwości panuje panika. Nasi informatorzy mówią o dzwoniących nieustannie telefonach i nerwowości wysokiej rangi prokuratorów, w tym samego Bodnara.

Wczesnym popołudniem akta sprawy trafiają na biurko Bodnara. To pierwszy krok do próby skrócenia dochodzenia. Po godz. 14.00 Prokuratura Krajowa informuje, że akta nie wrócą już do Ostrowskiego, a on sam został zawieszony na pół roku w swoich obowiązkach.

Co tak bardzo przerażało władzę, że z kpín szybko przerzucili się na działania rodem ze wschodnich satrapii? – Musieli zobaczyć plan śledztwa i gotowe już protokoły z przesłuchań świadków, decyzje dotyczące działań ABW i nazwiska, które znajdowały się w tym planie. Szczególnie nazwisko Tuska musiało ich bardzo przestraszyć. Wiedzieli, że muszą to skrócić, i to szybko. Przecież lada moment Ostrowski mógł wystąpić o przesłuchanie premiera lub złożyć do Bodnara wniosek o uchylenie immunitetu na potrzeby śledztwa – przekonuje nasz rozmówca, który zna okoliczności nerwowej decyzji bodnarowców.

Z kolei śledczy, z którymi rozmawialiśmy, zauważają, że sprawa może być groźna dla samego premiera. To jego decyzje i słowa doprowadziły do kryzysu konstytucyjnego w Polsce. Jego podpisy znajdują się także pod dokumentami nielegalnego powołania Dariusza Korneluka, a wcześniej prokuratora Jacka Bilewicza. Sam Bodnar jest też autorem nielegalnych zarządzeń i konkretnych działań w prokuraturze i sądach powszechnych. Dowody leżą na stole i dziś nikt nie może ich ukryć. „Wciąż będą potrzebne, gdy zmieni się władza, a sprawy ruszą na nowo. Te polityczne także” – mówi jeden z warszawskich prokuratorów.

ATAK BODNAROWCÓW

Bodnar i jego ekipa ruszają do ataku. Rozpoczyna się festiwal konferencji prasowych, oświadczeń i wpisów w mediach społecznościowych. Co ciekawe, nie występuje w nich Bodnar ani nawet nielegalny prokurator Korneluk. Wyręczają się rzecznikami prasowymi. Ci przekonują, że nie ma żadnego śledztwa, a cała sprawa to tylko „prywatna korespondencja” pomiędzy Ostrowskim i Święczkowskim. Dziennikarze obalają jednak tę teorię. Przyparciu do muru rzecznicy Bodnara i Prokuratury Krajowej przyznają ze wstydem, że sprawa jednak jest, skoro ma ją otrzymać inny prokurator.

Jak na „nieistniejącą” sprawę, to sporo przy niej szumu i proceduralnych łamigłówek. Na konferencji prasowej słyszymy, że to postępowanie jest „ustawką”.

„To Adam Bodnar powinien się wyłączyć z tego postępowania, a nie grozić mi za pośrednictwem swoich rzeczników. Poza tym, jeśli wszczyna się śledztwo, nie idzie się z tym do mediów. O wszczęciu postępowania, które prowadziłem przez parę dni, nie informowałem mediów. Wycofałem się z nich. Każdy prokurator, jeśli wszczyna śledztwo, powinien je prowadzić zgodnie z Kodeksem postępowania karnego, a nie wyskakiwać na konferencji prasowej i o tym mówić. Nie boję się gróźb. Właściwie chodzi tu o wywołanie specjalnego efektu w stosunku do innych prokuratorów. Skoro zastępcy prokuratora generalnego można robić takie insynuacje i w ten sposób próbować go zastraszyć, a ja się zastraszyć nie dam, to wobec innych prokuratorów może to być efekt mrozący” – oświadczył Ostrowski, który był gościem Telewizji wPolsce24.

* * *

Dziś Michał Ostrowski jest zawieszonym zastępcą prokuratora generalnego i formalnie nie może prowadzić tej sprawy. Uznaje tę decyzję, choć podkreśla, że Bodnar nie miał prawa odbierać mu tego postępowania, które ma charakter bezprecedensowy. „Mam nadzieję, że ta sprawa będzie prowadzona rzetelnie i mam nadzieję, że prędzej czy później będzie mi dane w tym śledztwie uczestniczyć, jako prowadzący to postępowanie” – podkreśla. Przypomina też bardzo istotny fakt – przestępstwo z doniesienia Bogdana Święczkowskiego przedawnia się dopiero za 50 lat.

W ramach walki z nielegalną imigracją powracają kontrole na wewnętrznych granicach Unii. Po polskiej stronie stoi sznur samochodów oczekujących na wjazd do Niemiec

Nadchodzą imigranci

Trudno na poważnie brać zapewnienia obecnego reżimu, że robi, co może, aby uchronić Polaków przed negatywnymi skutkami paktu migracyjnego. Jak dotąd skuteczność tych działań – o ile w ogóle są jakieś podejmowane – jest w praktyce zerowa



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Kanclerz Niemiec Olaf Scholz podczas telewizyjnej debaty wyborczej ze swoim rywalem Friedrichem Merzem powiedział kilka rzeczy, które bardzo nie spodobały się Donaldowi Tuskowi. Z jego słów wynika bowiem, że już wkrótce Polska będzie musiała przyjąć deportowanych z Niemiec nielegalnych imigrantów. „Ja to umożliwiłem, dzwoniąc do wszystkich

szefów państw i rządów sąsiadujących z Niemcami i mówiąc: robimy to teraz i musicie to zaakceptować, ponieważ jest to możliwe na podstawie europejskiego prawa” – oświadczył Scholz.

O ilu imigrantów chodzi? Wstępne szacunki mówią o kilkudziesięciu tysiącach ludzi rocznie, choć biorąc pod uwagę skalę nielegalnej imigracji w Europie (1,3 mln wniosków azylowych w 2023 r.) liczba ta może wzrosnąć nawet do ponad 100 tys. osób. Tak gigantyczny napływ imigrantów może w ciągu kilku lat zmienić krajobraz społeczny Polski. Staniemy się krajem wielokulturowym, szarpanym niezliczoną ilością konfliktów wewnętrznych na tym tle.

W tej chwili ta perspektywa ciągle wydaje się odległa, pochłonięte codziennymi

problemami społeczeństwo nie dostrzega jeszcze nadciągającego niebezpieczeństwa lub je odrzuca. Wielu nie wierzy, że coś takiego może się wydarzyć. Tymczasem ten proces już się rozpoczął, bo zgodnie z planami Komisji Europejskiej (KE) pakt migracyjny ma wejść w życie w połowie przyszłego roku. Nawet nie zauważymy, kiedy staniemy się częścią wielokulturowego tygla.

WYSTRYCHNIĘTY NA DUDKA

Pakt migracyjny i związana z nim relokacja imigrantów to bardzo niewygodny temat dla obecnego reżimu w związku z toczącą się u nas kampanią przed wyborami prezydenckimi. Donald Tusk wołałby go zagłuszyć, odwrócić od niego uwagę opinii publicznej choćby rozdmuchanymi do granic możliwości „rozliczeniami” PiS.

W tej sytuacji Olaf Scholz okazał się bardzo nieojalny wobec swojego polskiego kolegi i wpakował go w poważne kłopoty, z których ten musi teraz wybrnąć. Uruchomiono więc przekaz, że kanclerz opowiada głupoty, bo chce w ten sposób zwiększyć swoje szanse w nadchodzących wyborach do Bundestagu.

„Obecny kanclerz Scholz walczy o polityczne życie i powie wszystko, co będzie uważał za argument dla jego przetrwania” – wyjaśniał na platformie X wiceminister spraw wewnętrznych i administracji Maciej Duszczek, rządowy ekspert ds. migracji.

Polacy mają się nie martwić słowami Scholza, który jakoby plecie trzy po trzy i okłamuje swoich niemieckich wyborców. Tusk powiedział już przecież, że „Polska nie będzie implementowała żadnego paktu migracyjnego”, więc Scholz nie ma tu nic do gadania. Taka jest oficjalna linia propagandy.

Z pewnością wielu uwierzy w takie tłumaczenie, mimo że przeczy ono jakiegokolwiek logice. Bo choć Scholz jest kiepskim politykiem, to Tusk nawet wobec niego znajduje się w pozycji petenta. Komuś, kto ma odrobinę rozumu, trudno będzie zatem uwierzyć w to, że niemiecki kanclerz tak bardzo boi się reakcji Tuska, że aż okłamuje własnych obywateli. Scholz nie boi się polskiego premiera, on ma go po prostu w głębokim poważaniu. Dlatego nie bawił się z nim w dyplomację i bez ogródek powiedział, że Polska „musi” przyjąć imigrantów.

Już raz Scholz ograł w podobny sposób Tuska, gdy w lipcu ub.r. bezceremonialnie oświadczył, że Niemcy nie wypłacą żadnych rekompensat polskim ofiarom II wojny światowej. Tusk, który wcześniej nadmuchiwał oczekiwanie w tej sprawie, krzywił się najpierw jak skarcony uczeń, aż w końcu potulnie poszedł do kąta. Od tamtego czasu jego pozycja polityczna się nie zmieniła. Z punktu widzenia Berlina, niezależnie od tego, kto tam rządzi, jest tylko wasalem.

Najbardziej groteskowe są w tej sytuacji pogroźki, że Tusk może „sam bezpośrednio interweniować” u Scholza, „jeśli będzie taka potrzeba” (cytaty za Wirtualną Polskę). Tusk miał bowiem okazję „interweniować” już podczas rozmowy telefonicznej z kanclerzem Niemiec, w trakcie której Scholz nakazał mu przyjmowanie imigrantów. Dlaczego wtedy tego nie zrobił? A może zrobił, tyle że kanclerz w ogóle nie przejął się jego sprzeciwem. Niezależnie od tego, jak było, Tusk wychodzi na kompletnego niedojdę, który kolejny raz został wystrychnięty na dudka przez fajtlapowatego Scholza.

CAŁUSY OD URSULI

Wbrew temu, co sugeruje oficjalna propaganda, przepychanki Tuska z Scholzem nie dotyczą samego faktu przyjmowania imigrantów, ale tego, jaka będzie skala tego zjawiska. Oczywiście z powodów politycznych premier by wołał, aby relokacja była jak najmniejsza i wydawało mu się, że zgadzając się na pushbacki, do których codziennie dochodzi na naszej zachodniej granicy, zyska przychyłność Berlina. Scholz pokazał mu jednak, że o niczym takim nie ma mowy i że Niemcy szykują się do relokacji na dużą skalę.

Wynika to zresztą z postanowień paktu migracyjnego, który nakłada największe

Tusk przegrał jak dotąd wszystkie ważne bitwy w sprawie migracji i został ostatecznie wystawiony do wiatru przez swoich unijnych patronów

obciążenia na państwa o najniższym poziomie nielegalnej migracji. Takim krajem jest Polska, która ma przy tym relatywnie rozległe terytorium, co sprawia, że właśnie do nas przyjedzie najwięcej uchodźców z całego świata. Gdy mówimy o kierunku relokacji, zawsze na pierwszym miejscu powinniśmy myśleć o Polsce. To nasz kraj jest jej głównym celem. Nie Czechy, nie Węgry, nie Litwa, ale właśnie Polska.

Tusk oraz jego podwładni doskonale zdają sobie sprawę z tego, że jest to potwornie niebezpieczne dla przyszłości ich reżimu. Dlatego próbują bronić się przed takim scenariuszem, zwracając uwagę swoich unijnych patronów na istnienie w Polsce 1,5-mln diaspory uchodźców z Ukrainy. Premier miał nadzieję, że uchroni to Polskę przed koniecznością przyjmowania setek tysięcy relokowanych imigrantów z Niemiec i innych krajów Unii. „Powiedziałem to Polakom niedawno w sposób jednoznaczny i po-

wtórzyłem to dzisiaj pani przewodniczącej. I cieszę się, że moja argumentacja znalazła słuch i zrozumienie, że Polska nie będzie implementowała paktu migracyjnego w sposób, który by spowodował jakiegokolwiek dodatkowe kwoty migrantów w Polsce” – mówił podczas niedawnego spotkania z Ursulą von der Leyen w Gdańsku.

W odpowiedzi przewodnicząca KE uśmiechnęła się kilka razy i zapewniła, że „Unia Europejska będzie to brała pod uwagę”. Potem wyciągnęła Tuska po policku i wróciła do domu.

Nieco bardziej rozmowny był unijny komisarz ds. wewnętrznych i migracji, Austriak Magnus Brunner. W odpowiedzi na pytanie europosła Marcina Sypniewskiego z Konfederacji stwierdził on, że przyjęcie dużej liczby imigrantów z Ukrainy nie zwalnia Polski z „mechanizmu solidarności” określonego w pakcie migracyjnym.

Być może byłoby inaczej, gdyby nasz kraj udowodnił, że znajduje się „pod silną presją migracyjną”. KE będzie to oceniać co do października br., jednak choć czas w tej sprawie nagli, rząd Tuska do tej pory nie przedstawił Komisji żadnych informacji dotyczących sytuacji migracyjnej w Polsce. Trudno

więc na poważnie brać zapewnienia obecnego reżimu, że robi, co może, aby uchronić Polaków przed negatywnymi skutkami paktu migracyjnego. Jak dotąd skuteczność tych działań, o ile w ogóle są jakieś podejmowane, jest w praktyce zerowa.

Najgorsze dla Tuska jest to, że nóż w plecy wbił mu nieoczekiwanie także jego stary kompan z KLD Janusz Lewandowski, obecnie europoseł Platformy. „Pakt [migracyjny] wejdzie w życie w połowie 2026 r. Przyjęliśmy do wiadomości fakt prawny. Ten pakt został przegłosowany. Został również przegłosowany przy naszym sprzeciwie w Parlamencie Europejskim, ale przede wszystkim w Radzie. Będzie obowiązywał od 2026 r.” – poinformował na antenie RMF FM.

Słowa Lewandowskiego potwierdzają tylko fakt, że werbalne wygibasy Tuska, iż „on nie pozwoli”, sprzeciwu się, „nie ma mowy o jakichkolwiek dodatkowych kwotach imigrantów” nie mają żadnego

pokrycia w rzeczywistości. Prawda jest bowiem taka, że Tusk przegrał jak dotąd wszystkie ważne bitwy w sprawie imigracji i został ostatecznie wystawiony do wiatru przez swoich unijnych patronów.

WZBOGAŃCZY TRZASKOWSKI

Do wiatru zostali wystawieni również Polacy. Niestety wielu z nich na własne życzenie – mam na myśli tych nieszczęśników, którzy otumanieni antypisowską propagandą zrobili na złość sobie i innym, odmawiając udziału w referendum, gdy jeszcze mogli wyrazić swój sprzeciw wobec paktu migracyjnego. Teraz wszystkim przyjdzie się zmierzyć z konsekwencjami ich głupoty.

Oczywiście gdyby referendum było ważne, jego wyniki nie byłyby wiążące dla KE, ale stanowiłyby mocny argument w walce z paktem migracyjnym. Tusk mógłby się nimi posłużyć w negocjacjach ze swoimi unijnymi „przyjaciółmi”, wskazując, że nie może ignorować opinii milionów wyborców. Jesienią 2023 r. wołał on nawoływać do bojkotu referendum, byleby mocniej uderzyć w pisowców. Teraz więc może liczyć tylko na miłe słowa i całusy Ursuli von der Leyen. Będzie truizmem stwierdzenie, że Tusk to człowiek zupełnie niewiarygodny, zarówno w sprawie walki z imigracją, jak i w każdej innej.

Podobnie Rafał Trzaskowski, który dziś przekonuje na wiecach, że w 2015 r. mówił Niemcom, iż przyjmując imigrantów, robią olbrzymi błąd. W rzeczywistości – jak można sprawdzić w internecie – mówił zupełnie co innego, np. to, że przyjezdni „wrosną w polskie społeczeństwo” i będą „akceptować zasady państwa, w którym mieszkają”. Przekonywał również, że Polska zyska na napływie imigrantów, „bo to nas po prostu powinno wzbogacić” (rozmowa w radiu TOK FM).

Dla tych ludzi słowa nie mają żadnej wartości, mówią to, co w danym momencie im się politycznie opłaca. Jedyne, co się dla nich liczy, to władza. Antyreferendalna nagonka, którą urządzili w 2023 r. oraz ich wcześniejsza hucpa na białoruskiej granicy świadczą o tym, że nie istnieje dla nich żadna granica draństwa,

jakiej nie można przekroczyć w walce o władzę. Czy można im zatem wierzyć, że obronią dziś Polskę przed zalewem imigrantów?

W tej chwili, jak słychać z różnych stron, w całym kraju przygotowywane są ośrodki dla imigrantów. Najczęściej mają powstawać na uboczu, z dala od dużych miast. Wiele wskazuje na to, że napływu niechcianych gości najbardziej powinna obawiać się tzw. ściana wschodnia, którą rządząca Platforma zawsze pogardzała („Ch... tam z tą Polską wschodnią – jak mówił Włodzimierz Karpiński z PO). Tych, którzy nie brali kart do głosowania w referendum, na razie nie dotkną żadne dolegliwości. Nic bowiem nie słychać o tym, aby reżim zamierzał kwaterować imigrantów w jakimś Miasteczku Wila-

Zgodnie z planami Komisji Europejskiej pakt migracyjny ma wejść w życie w połowie przyszłego roku. Nawet nie zauważymy, kiedy staniemy się częścią wielokulturowego tygła

nów czy innym Jagodnie. A szkoda, bo tam mieszka najwięcej miłośników „ubogacania”, o którym wspominał Trzaskowski.

O tym, że przygotowania do przyjęcia przez Polskę relokowanych imigrantów ruszają pełną parą, świadczy też pismo szefa Urzędu ds. Cudzoziemców z końca stycznia br., który prosi różne instytucje, w tym MON, o przygotowanie „wspólnego planu awaryjnego na wypadek sytuacji związanych z nieproporcjonalną do zwykłych warunków funkcjonowania systemu recepcyjnego i azylowego liczbą osób ubiegających się o ochronę międzynarodową”. W piśmie jest także mowa o organizowaniu „tymczasowych obozowisk”. Rząd bierze więc pod uwagę wariant, w którym Polskę zaleje fala dziesiątek tysięcy imigrantów.

W odpowiedzi na ujawnienie tej korespondencji przez Michała Moskała z PiS, Marcin Kierwiński stwierdził, że

plany, o których mowa, pochodzą jeszcze z czasów Morawieckiego. Przyjmijmy, że tak jest – tyle że wtedy dotyczyć to mogło jedynie fali uchodźców z ogarniętej wojną Ukrainy. Teraz nie ma tego problemu. Po co więc obecny reżim aktualizuje plany? Dlaczego spodziewa się „sytuacji awaryjnej”? Jedyne wyjaśnienie może być wyłącznie zamiar masowej relokacji imigrantów.

PRZECIEKAJĄCA GRANICA

Dzisiaj Unia Europejska to coraz częściej same nieszczęścia. Pakt migracyjny, Zielony Ład, kolejne opłaty, rozmaite dewiacje, absurdy. Korzyści, choćby takie jak swoboda podróżowania, powoli znikają, bo w ramach walki z nielegalną imigracją przywraca się kontrole na wewnętrznych granicach Unii. Dalsze losy strefy Schengen wydają się coraz bardziej niepewne.

Z województwa lubuskiego docierają alarmujące wieści o gigantycznych kolejkach na przejściu granicznym wzdłuż autostrady A2. Po polskiej stronie stoi sznur samochodów oczekujących na wjazd do Niemiec, a ich pasażerowie koczują na poboczach. Obrazki rodem z lat 90. ub.w. Przeraziło to nawet marszałka województwa lubuskiego Marcina Jabłońskiego z PO, który w rozmowie z „Gazetą Wyborczą”

tak opisał sytuację na granicy: „Ślubice śmierdzą uryną. Autostrada Wolności stała się piekłem. Kierowcy są uwięzieni w szczerym polu. Nie mają dostępu do toalet, wody. Wjeżdżają w uliczki, wychodzą na skwery, sikają pod drzewami, wysadzają dzieci na chodniku. To tysiące aut dziennie. [...] Kontrole można robić w sposób mniej uciążliwy dla przygranicznego życia. Dziś to życie jest przez Niemców zdewastowane. Kiedy na to patrzę, zastanawiam się, czy jesteśmy jeszcze w Unii Europejskiej”.

Jednocześnie w drugą stronę przepychani są do nas nielegalni imigranci. Niemcy twierdzą, że wszyscy, których nam odsyłają, dotarli do nich przez Polskę. Tyle że nie da się tego udowodnić. Mimo to pushbacki są możliwe, bo nasz kraj nie stawia oporu. Skoro Tusk nawet z tym nie może nic zrobić, to jak zdoła zatrzymać falę dziesiątek tysięcy imigrantów? 

Przebieranki i nieświeża kielbasa wyborcza

Czas rządów Donalda Tuska pracuje na niekorzyść Rafała Trzaskowskiego. Jego kampania to sprzedaż odgrzewanej kielbasy wyborczej w różnych „prawicowych” przebraniach. Tęczowe zamknięto na klucz. Tę sytuację wyzyskują Karol Nawrocki i Sławomir Mentzen

W tej chwili kilka kolejnych sondaży pokazuje, że PiS ma przewagę nad PO, a Konfederacja nad Trzecią Drogą i gdyby wynik sondaży przełożyć na liczbę mandatów, to gdyby była taka wola, PiS i Konfederacja mogły wspólnie rządzić, koalicja 15 października przechodzi do opozycji” – powiedział Jacek Protasiewicz, od dłuższego czasu krytyczny recenzent rządów Donalda Tuska. Był przecież szefem jego sztabu wyborczego.

Potem pojawił się też sondaż pokazujący wyhamowanie trendów wzrostowych. Czy przełoży się to na głosowanie zaplanowane na 18 maja, a potem 1 czerwca? W tej kampanii główni kandydaci zabiegają także o ten sam centrowy i prowincjonalny elektorat. O wyborcę, który w drugiej turze poprze jednego z nich. Są to zwolennicy Sławomira Mentzena, Szymona Hołowni, może także Magdaleny Biejat i Krzysztofa Stanisławskiego oraz ci niezdecydowani. Zresztą o tym, kto faktycznie stanie do wyścigu, dowiemy się dopiero w kwietniu, a do pierwszej tury wyborów pozostały trzy miesiące. Wszystko może się wydarzyć, stąd nerwowe ruchy szefa rządu proponującego deregulację, gospodarczy przełom i skok.

NAWROCKI POWALCZY O ELEKTORAT CENTRUM

Na razie główni kandydaci realizowali przede wszystkim strategię umacniania się na pozycjach. Mobilizują swoje elek-



MACIEJ WALASZCZYK

toraty, budują nowe przyczółki i szykują do najważniejszego starcia. Różnica polega na tym, że Trzaskowski chciałby zamrozić cały proces polityczny, odgrzać resztę kielbasy wyborczej z jesieni 2023 r. Czas gra bowiem przeciwko niemu, czego skutki drastycznie odczuwają już Hołownia, na powrót stając się kandydatem pewnej społecznej niszy rozpaczliwie próbującym różnić się czymś od prezydenta Warszawy. Dobrze wie to Nawrocki i jego sztabowcy, korzysta z tego również Mentzen.

W niedzielę 2 marca Nawrocki pojawił się na dużej konferencji programowej, która odbędzie się pod hasłem: „Polska sferą normalności. Budujmy wspólnie: bezpieczeństwo, rozwój, dobrobyt!”. Choć ze względu na skromne możliwości finansowe nie będzie ona miała rozmachu dużej konwencji wyborczej, kandydat ma na niej przedstawić kluczowe punkty swojego programu. – Na razie budowaliśmy rozpoznawalność kandydata, gdyż nie był on dotąd czynnym politykiem, dlatego zadaniem tej konferencji będzie przedstawienie celów programowych, które będzie chciał realizować w czasie prezydentury – słyszymy w sztabie Nawrockiego. Chodzi o to, by wyborca, który dziś nie zde-

cydował się jeszcze oddać na niego głosu, wiedział, co może zyskać, popierając go. Będą to sprawy wychodzące poza typowy katalog programowy prawicy.

– Będą go w tym wspierać eksperci z różnych środowisk, będą niespodzianki i nazwiska, które przyciągną uwagę mediów – słyszymy. – Konferencja ma służyć poszerzeniu zasięgów, tym bardziej że wykruszył się elektorat Hołowni, w tym młódzież, która stopniowo się demobilizuje, czując, że została oszukana przez marszałka Sejmu. Albo w większości zagłosuje na Mentzena, albo zostanie w domu – wyjaśnia nasz rozmówca.

Na razie na jednym ze spotkań z wyborcami Nawrocki zapowiedział, że w ciągu 100 dni od objęcia urzędu doprowadzi do obniżenia cen energii elektrycznej o jedną trzecią oraz odrzucenia polityki Zielonego Ładu. „Musimy wrócić do cen sprzed czasów pandemii” – zapowiadał na jednym ze spotkań. „Nie będziemy płacić tyle za prąd w państwie, które ma »czarne złoto«, czyli węgiel” – stwierdził, tłumacząc, że różnica wynika z kosztów ponoszonych za zakup uprawnień do emisji CO₂ (ETS). Nawrocki zapowiedział także zwołanie specjalnego szczytu przeciwników Zielonego Ładu, najpierw z krajów tworzących Trójmorze, potem by przekonać do niego przywódców innych państw. Poza tym chciałby „unieważnienia paktu migracyjnego”, nawiązując do referendum, które „unieważniał” Donald Tusk. Niestety na tyle skutecznie, że tak ważna sprawa została utopiona w powodzi referendalnych pytań. Dziś sprawa wygląda inaczej, bo pakt migracyjny został



przyjęty, do Polski cofani są migranci z Niemiec, a od przyszłego roku można się spodziewać ich dużej fali.

ZGRANE GAGI

Rafał Trzaskowski ma więc problem. Choć niezmiennie lokuje się na czele stawki, to początkowo kierował kampanię wyłącznie do twardego elektoratu, starając się wykorzystać jeszcze pewną falę, która wyniosła rządzącą koalicję do władzy. Jeśli kampania odbywałaby się rok temu, byłoby to zupełnie zrozumiałe, ale dzisiaj jest wyłącznie odgrywaniem wielokrotnie pokazywanych marketingowych gagów. Czy będzie skuteczna, by pozyskać nowych zwolenników?

Wiceprzewodniczący Platformy Obywatelskiej i prezydent Warszawy jest kandydatem antypisowskiej opozycji kierującej swój przekaz głównie do tej części wyborców, której wciąż się wydaje, że rządzi PiS, a premierem jest nawet Jarosław Kaczyński. To grupa ludzi, których polityczne wybory są motywowane kompleksami i hejtem.

„Polska popłynie z nurtem postępu czy zostanie w zatoce stagnacji?” – krzyczą wpisy na jego materiałach propagando-

wych. Trzaskowski ewidentnie zaklina rzeczywistość, próbując przekonać, że jest kandydatem „niezależnym”, próbuje od niej uciekać, bo jest ona kiepska i kojarzy się z obecnymi rządami Tuska. Stąd atmosfera antypisowskiej retoryki, której siła słabnie, ale wciąż jest na tyle mocna, by mieć nadzieję na zwycięstwo.

PRZEBIERANKI TRZASKOWSKIEGO

By pozyskać centrowego wyborcę, Trzaskowski omija bardzo bliskie mu tematy, a więc wspieranie różnego rodzaju inicjatyw środowisk LGBT+, skrajnej lewicy, subkultur miejskich żyjących z publicznych pieniędzy. Po mobilizacji antykościelnego elektoratu ambiwalentnie traktującego sprawy wyznaniowe, sięga pochwytystosowane przez Trzecią Drogę. Unika więc tych zagadnień, nie dając rozmiękczyć elektoratu i unikając jednoznacznego stanowiska. Osobom LGBT+ nie poświęca zbyt wiele uwagi, choć jest jasne, że popiera legalizację związków partnerskich i wprowadzenie aborcji. Co dziś pozostaje w modzie na jego profilach społecznościowych?

„Zero tolerancji dla obcokrajowców łamiących polskie prawo”, „Uszczelniamy

granice i deportujemy tych obcokrajowców, którzy łamią polskie prawo”, „Obcokrajowcy, którzy łamią prawo, będą deportowani z Polski. Nie ma taryfy ulgowej!”. Jednoznaczność godna nie tylko Nawrockiego i Mentzena, lecz także premier Giorgii Meloni i Nigela Farage’a.

Adam Andruszkiewicz ze sztabu wyborczego Karola Nawrockiego uważa, że Rafał Trzaskowski ma świadomość, iż jest nieakceptowalny dla prawicowych wyborców. „To taki bal przebierańców, z którego śmieje się internet, który nazywał go kameleonem. Nie przekona wyborców narodowych, ale może zrobić sobie krzywdę, demobilizując wyborców lewicy i ten karkołomny szpagat może się okazać przyczyną jego porażki. No bo w jaki sposób właśnie ci wyborcy mają zrozumieć tak karkołomne figury, jak udawanie Donalda Trumpa i kreowanie »polskiego trumpizmu« przez duet Tusk–Trzaskowski ze wsparciem »polskiego Elona Muska«, czyli gościa, który odniósł sukces w doręczaniu paczek, a do tego wyśmiewane przez lata promowanie »patriotyzmu gospodarczego«? Czy ludzie ci, przekonani, gdy rządziło PiS, o końcu demokracji nad Wisłą, gigantomanii inwestycyjnej,



a w końcu o groźnym populizmie, będą zmuszeni przyjąć taki program za swój własny? No i nie jest jasne, kiedy w kampanię włączy się aktywnie premier Tusk, którego rządy stały się rozczarowaniem dla pewnej części wyborców z 2023 r.” – mówi Andruszkiewicz.

WALKA O GŁOSY PROWINCJI

Już dzisiaj rozgrywa się walka o miasta powiatowe. Tam znajduje się klucz do sukcesu, dlatego od kilku tygodni Trzaskowski, który jako prezydent Warszawy przez lata tworzył w niej lewacką i postępową wioskę potiomkinowską z hostelami LGTB+, usuwając krzyże, likwidując miejsca parkingowe czy organizując raj dla patodeveloperki, przebiera się za tego, którym nie jest. Ma być kandydatem dla wszystkich, nieoczywistym, nieoznaczonym, właściwie neutralnie bezpartyjnym sprzedawcą lepszego życia w lepszym świecie. Będą mu w tym miały pomóc samorządy, od lat mocno zdominowane przez polityków Platformy Obywatelskiej i partii koalicyjnych. Na liście znalazło się 140 miast od ponad 30 lat degradowanych przez liberalne rządy. Chodzi zarówno o dawne ośrodki

Na razie budowaliśmy rozpoznawalność kandydata, gdyż nie był on dotąd czynnym politykiem, dlatego zadaniem konferencji zaplanowanej na 2 marca będzie przedstawienie celów programowych, które będzie chciał realizować w czasie prezydentury – słyszymy w sztabie Karola Nawrockiego

wojewódzkie, takie jak Piła, Słupsk czy Sosnowiec, jak i miasteczka prowincjonalne – Włocławek, Olecko, Hrubieszów, Gniezno czy Radom.

Sztab Trzaskowskiego chce odbić miasta powiatowe, dotąd sprzyjające PiS. Na przykładzie Legnicy wygląda to tak, że prezydent Warszawy spotkał się tam z przedstawicielami KGHM i związkowcami, gdzie w czasie rozmów padł temat

podatku miedziowego, który 12 lat temu wprowadził rząd Tuska. Kandydat tej samej partii obiecał teraz, że będzie apelował w tej sprawie do rządu i porozmawia z ministrem finansów. Chwilę potem Tusk i minister Domański zapowiedzieli, że od przyszłego roku podatek będzie mniejszy o 500 mln i co roku sukcesywnie zmniejszany. Brzmi dowcipnie, tym bardziej iż rząd notuje kiepskie wpływy w budżecie i zakłada rekordowy deficyt na ten rok. Jadąc na Dolny Śląsk, Trzaskowski ominął jednak Wrocław, gdzie nie chciał się afiszować z uwikłanym w aferę Collegium Humanum prezydentem Jackiem Sutrykiem, który wspierał Trzaskowskiego w 2020 r., a obaj pokazywali się podczas ubiegłorocznej kampanii samorządowej.

MENTZEN KORYGUJE BŁĄD

Bardzo dynamicznie rozwinał się prezydencki wyścig w wykonaniu Sławomira Mentzena popieranego przez Konfederację. – Nasz kandydat w marcu odwiedzi 60 miast. Na spotkania z nim na wolnym powietrzu przychodzi po kilkaset osób, nawet w małych miejscowościach, i to jest błąd kampanii sprzed dwóch lat, gdy skupiliśmy się na dużych miastach, wielkich halach, co okazało się niewystarczające – wyjaśnia poseł Witold Tumanowicz.

Mentzen wydawał się człowiekiem, który nie ma prezydenckiego formatu, a więc jest młody i bez okularów, ale zyskuje dzięki słabości Nawrockiego, któremu na razie brak iskry Bożej, która pociągnęłaby tłumy. Ludzie może nie kochają szefa IPN, ale przychodzą na spotkania, bo dzieje się źle. Jego konkurent z KO, mimo że uważany za „nieudacznika”, „dupiarza” i „dziecko Sorosa”, jest jednak bezczelny i wyszczekamy. Próbuje denerwować rywala, ale kiepsko naśladuje PiS. Trzaskowski nie potrafi intensywnie pracować, a Nawrocki rzeczywiście ma motywację i zapał, które musi przekuć w uciśnienie siebie lwem medialno-salonowym i trybunem ludowym. Ale nie musi nikogo udawać, bo jest sobą.



Hołownia nie chce odejść

Marszałek Sejmu chce pozostać na swoim stanowisku do końca kadencji, a jeśli koalicjanci się na to nie zgodzą, grozi rozwaleniem obecnego układu rządzącego



STANISŁAW JANECKI

Nawet po sromotnie przegranych wyborach prezydenckich 18 maja 2025 r. Szymon Hołownia nie zamierza zrezygnować z funkcji marszałka Sejmu w połowie listopada 2025 r. To zmiana w stosunku do tego, co można było usłyszeć choćby w listopadzie 2024 r. Wtedy politycy Polskiego Stronnictwa Ludowego i Polski 2050 argumentowali, że zmiana na fotelu marszałka musi nastąpić w drodze głosowania, bo nie ma pewności, czy kandydaturę obecnego wicemarszałka Włodzimierza Czarza-

stego z Lewicy poprze sejmowa większość. Obecnie warunkiem utrzymania koalicji 13 grudnia ma być pozostanie Szymona Hołowni na stanowisku marszałka. Najważniejsze ma się okazać głosowanie za odwołaniem Szymona Hołowni, a nie za powołaniem Włodzimierza Czarzastego.

Najpierw (jeszcze w ub.r.) Hołownia, a także eurodeputowany Michał Kobosko próbowali sondować, czy udałoby się renegować umowę koalicyjną, w myśl której po dwóch latach (licząc od 13 listopada 2023 r.) Włodzimierz Czarzasty ma go zastąpić na stanowisku marszałka Sejmu. W styczniu 2025 r. zaczęli to negocjować, używając czegoś w rodzaju szantażu. Polegał on na tym, że Hołownia miał oświadczyć liderom koalicyjnych partii, iż sam nie odejdzie, więc koalicja 13 grudnia będzie musiała to „siłowo” przegłosować. Po rozmowach z liderami PSL ustalono ponoć, że

klub ludowców byłby gotów głosować przeciw odwołaniu marszałka, a razem z Polską 2050 dysponują 64 mandatami, więc za odwołaniem Hołowni byłoby tylko 178 posłów. Marszałek Sejmu jest przekonany, że opozycja nie pójdzie na rękę Tusкови oraz Czarzastemu i nie poprze wniosku o jego odwołanie, nie widząc w tym żadnego interesu. Dlaczego? Choćby dlatego, że Jarosław Kaczyński już w 2025 r. mówił o ewentualnej nowej koalicji z PSL i Polską 2050.

Z prostych rachunków wynika, że nawet gdyby tylko 32 posłów Polski 2050 głosowało przeciw odwołaniu obecnego marszałka, Hołownia utrzymałby stanowisko (w tej kalkulacji byłoby tylko 210 głosów za odwołaniem). Jednak taki scenariusz oznacza otwartą wojnę w ramach koalicji 13 grudnia o dalekosiężnych konsekwencjach z utworzeniem nowej rządzącej większości włącznie.

RENEGOCJACJE ALBO REWOLUCJA

Już w listopadzie 2024 r. Michał Kobosko odgrażał się w Polsat News, że skoro Lewica cały czas atakuje polityków Polski 2050 i PSL, w tym marszałka Hołownię, nie może zagwarantować, że posłowie Trzeciej Drogi zgłoszą za Czarzastym. Przekonywał, że „warunki rynkowe się zmieniają i umowa koalicyjna również może ulegać zmianom”. Wcześniej także politycy PSL, np. Marek Sawicki, opowiadali się za zachowaniem przez Hołownię funkcji marszałka przez cztery lata.

„Obowiązuje umowa koalicyjna i nikt nie ma zamiaru jej zmienić, a indywidualne odczucia pana Koboski czy też poszczególnych polityków PSL lub Polski 2050 są mniej ważne” – odpowiadał na to (w rozmowie z PAP) Tomasz Treła, wiceprzewodniczący klubu Lewicy. Polityk zapewniał, że nie zabraknie głosów, aby wybrać Czarzastego na stanowisko marszałka, bo przecież to funkcja polityczna, a w wypadku głosowań politycznych kluby zarządzają dyscypliną. Skoro to działało podczas głosowań nad wotum nieufności wobec ministrów, tym bardziej powinno podczas wymiany marszałka Sejmu. Ale „koledzy” Treli z PSL i Polski 2050 przypomnieli mu, że kiedy w Sejmie rozpoczęto procedowanie projektów aborcyjnych, ich partie i liderzy zostali brutalnie zaatakowani i obraźliwie zwyzywani przez Lewicę. Treła się odgryzł, że „chłopaki nie płaczą, dlatego przestańcie się mazać, rozpamiętywać, kto co powiedział czy zrobił. Gdybyśmy zwracali na to uwagę, żadnej koalicji nie udało się utrzymać dłużej niż dwa dni”. W kwestii renegocjacji umowy koalicyjnej Treła zapewnił, że Lewica jej nie podejmie.

Rozszerzając się awanturę próbował gasić przewodniczący klubu Polska 2050-Trzecia Droga, Paweł Śliz. W rozmowie z PAP stwierdził, że o renegocjowaniu warunków umowy koalicyjnej można rozmawiać, ale po wyborach prezydenckich.

„Rotacyjny system pełnienia funkcji marszałka Sejmu to dobra koncepcja dla Polski i dla stabilności Sejmu. Powinno być dwóch marszałków Sejmu, bo są dwie formacje, które współpracują z PO, a ta będzie miała swojego premiera” – mówił na początku listopada 2023 r. w TVN24

ówczesny szef Klubu Lewicy Krzysztof Gawkowski (obecnie wicepremier i minister cyfryzacji). To już jednak nieaktualne.

Szymon Hołownia zamierza (a nawet z kilku powodów musi) zostać, natomiast Donald Tusk za wszelką cenę chce uniknąć „siłowego” głosowania nad ustąpieniem obecnego marszałka Sejmu. Dlatego zaczął szukać rozwiązania zastępczego, takiego, by sam lider Polski 2050 zrezygnował. Hołowni zaproponowano funkcję wicepremiera (nawet pierwszego wicepremiera), ale ten nie jest zainteresowany funkcją w rządzie. Przewiduje, że w listopadzie 2025 r., gdy miałyby dojść do zmiany na stanowisku marszałka Sejmu, rząd Tuska będzie miał fatalne notowania, więc obecność w takim „schyłkowym” gabinecie byłaby dla niego wielkim balastem. Hołownia obawia się, że byłby to też prawdopodobnie koniec jego spektakularnej kariery, a przecież ma dopiero 48 lat. Tym bardziej jeśli przyjąłby propozycję funkcji wicepremiera tuż po wyborach prezydenckich, gdy ma dojść do „głębokiej” rekonstrukcji rządu, a taka opcja się pojawiła. Dla niego ratunkiem i szansą zachowania wpływu jest wyłącznie pozostanie na stanowisku marszałka Sejmu.

OJCIEC NOWEJ KOALICJI

Przegrane głosowanie w sprawie odwołania Szymona Hołowni byłoby katastrofą i dla Donalda Tuska, i dla Włodzimierza Czarzastego. Ten ostatni już zapowiada, że byłoby to złamanie umowy koalicyjnej, a inni politycy Lewicy straszą, że niechybnie nastąpiłby rozpad koalicji 13 grudnia. Osobno Tusk i Czarzasty mieli straszyć Hołownię, że jeśli zniszczy koalicję, to nastąpią przyspieszone wybory i wtedy przegra z kretelem, bo to się negatywnie nałoży na spodziewaną klęskę w wyborach prezydenckich.

Politycy Polski 2050 i PSL znający różne wersje tych rozmów są zgodni w jednym: Hołownia miał zagrozić, że już się dogadał z opozycją. I na mocy tego na razie tajnego porozumienia nie tylko pozostanie marszałkiem, lecz także doprowadzi do stworzenia nowej koalicji: PiS-PSL-Polska 2050 dysponującej większością 254 mandatów. Do przejścia władzy niepotrzebna byłaby więc Konfederacja.

Donald Tusk ma nadzieję, że jeśli Rafał Trzaskowski wygra wybory prezyden-

kie, Szymon Hołownia zmieni swoje plany i jednak odejdzie. Tyle że marszałek Sejmu nie bierze tego pod uwagę nawet w razie wygranej kandydata PO. Odejście zakończyłoby jego karierę, skoro za żadną cenę nie chce wejść do rządu Tuska.

Otoczenie obecnego marszałka Sejmu opowiada, że politycy PO obawiający się utraty władzy grożą Hołowni, iż wyciągną przeciwko niemu wszelkie haki, jeśli nie zgodzi się odejść. I miałyby się one pojawić już w kwietniu i maju 2025 r., czyli w najgorętszym okresie kampanii, gdyby marszałek upierał się, że sam nie odejdzie. Ale Hołownia to lekceważy, twierdząc, że wszystkie haki już przeciwko niemu wyciągnięto, czyli te o „lewym” studiowaniu w Collegium Humanum oraz pieniądzech w partii (w „Newsweeku” pojawił się tekst o Izabeli Bodnar i jej sposobach pozyskiwania środków na swoje kampanie oraz te całej partii). I zapewnia, że nie znajdują na niego żadnej „obyczajówki”.

Szymon Hołownia uważa, że funkcja marszałka Sejmu jest największym atutem oraz osiągnięciem Polski 2050. Gdyby z niej zrezygnował, partia zaczęłaby obumierać i tracić wpływy. A przecież już trzeba myśleć o wyborach parlamentarnych (według kalendarza wyborczego w 2027 r., ale mogą być przyspieszone) oraz prezydenckich w 2030 r. Gdyby scenariusz ze zmianą układu rządzącego się powiódł, w 2030 r. Hołownia mógłby liczyć na to, że wreszcie nadszedł jego czas (trzecie podejście do prezydentury Polski) i wreszcie zostałby doceniony jako sprytny oraz skuteczny gracz w politycznej ekstraklasie, a nie tylko gadający o tym.

Scenariusz ze zmianą układu władzy jest ryzykowny, więc obecny marszałek Sejmu ma nadzieję, że w końcu zmusi koalicjantów z Koalicji Obywatelskiej i Lewicy do negocjacji w sprawie zmiany w umowie koalicyjnej, bo to będzie mniejsze zło. Ale Lewica zapowiada, że i tak musiałaby wtedy wyjść z koalicji, bo zostałaby upokorzona, więc renegocjacja umowy nic nie da. Jeśli Rafał Trzaskowski przegra wybory prezydenckie, Szymon Hołownia już otwarcie negocjowałby warunki utworzenia nowej koalicji, co oznaczałoby pozostanie w fotelu marszałka Sejmu przez całą kadencję. I sporo wskazuje na to, że tym razem to Hołownia ma mocniejsze karty niż Tusk.

A portrait of Artur Bartoszewicz, a man with light brown hair, wearing a blue blazer over a white shirt. He has his arms crossed and is looking slightly to the side. The background is blurred.

Dość zubażania Polaków!

Jestem kandydatem medialnym, cytowano nawet moje wypowiedzi, których nigdy nie udzieliłem.

Taka jest w Polsce medialna rzeczywistość. Wszystko można wytworzyć

Z dr. Arturem Bartoszewiczem, ekonomistą, wykładowcą w Szkole Głównej Handlowej w Warszawie, rozmawia Dorota Łosiewicz

Jak to jest z pana kandydowaniem? Media ogłosiły, że ogłosił pan start w wyborach prezydenckich, bo opublikował 21 postulatów nazwanych przez pana „trzema siódmkami”.

Artur Bartoszewicz: Dobrze to pani ujęła. Media ogłosiły, że ogło-

silem 21 postulatów, czyli „trzy siódmki”. Zrobiłem to w grudniu, a w lutym zaczął się szum i zostałem ogłoszony kandydatem. A tym jest się tylko wtedy, gdy zarejestruje się 100 tys. podpisów, które złożą obywatele RP, uznając daną osobę za

godną tego, by stanęła do rywalizacji o godność głowy państwa. Jestem więc kandydatem medialnym, cytowano nawet moje wypowiedzi, których nigdy nie udzieliłem. Taka jest w Polsce medialna rzeczywistość. Wszystko można wytworzyć. Od września ub.r. wykreowano kandydatów, którzy nie istnieją, bo nie zebrali jeszcze podpisów. Media zaczęły jeździć za nimi, pokazywać ich aktywność, spotkania z potencjalnymi wyborcami. Ciekawe,

ile kosztowało promowanie tzw. kandydatów, którzy rozpoczęli działania przed startem kampanii. Proces wyboru prezydenta jest jasno opisany. Termin wyborów i proces zgłaszania kandydatów jest określony w decyzji marszałka Sejmu i Państwowej Komisji Wyborczej, która po ustaleniu przez marszałka terminu wyborów precyzyjnie określa pozostałe daty. To się stało 15 stycznia. Co do tego czasu odbywało się w Polsce?

A czy zbiera pan podpisy?

Ludzie zbierają, nie ja. Polacy, obywatele, kompatrioci przysyłają mi do domu podpisane listy z wezwaniem, bym zarejestrował się jako kandydat. Jeśli będzie 100 tys. podpisów, wówczas będę mógł pójść do PKW i zweryfikować ich poprawność. I wtedy podejmę ostateczną decyzję o starcie. Ale to nie jest tak jak w przypadku niektórych budzących się rano z myślą: „Będę kandydował”. Na razie nie mamy pewności, że wszyscy z tych, którzy wstali z taką myślą, dostaną zgodę 100 tys. Polaków na ubieganie się o ten najwyższy urząd w państwie.

Czy w kampanii stawiałby pan na gospodarkę?

Nie stawiałbym na nic innego, gdyż wszystko inne to pochodna siły gospodarki. Gospodarka powiązana z demografią jest podstawowym wyzwaniem, które przed nami stoi. Wszystkie inne obszary oczekiwań społecznych, postulatów wyborczych są zależne od gospodarki. Nie ma edukacji bez silnej gospodarki. Podobnie jest z ochroną zdrowia, pomocą społeczną, bezpieczeństwem. Nie ma silnej armii ani systemu obrony, jeśli gospodarka jest słaba lub się zwinęła. A to od kilkunastu miesięcy dzieje się na naszych oczach. Mamy ogromny deficyt budżetowy, niewydolne finanse publiczne. Państwo nie ma innego źródła finansowania niż podatki lub dług publiczny. Zadłużenie może być tak wysokie, że dojdzie do bankructwa. Może być też tak, że z danin otrzymywanych od obywateli zostanie skutecznie zapewnione bezpieczeństwo funk-

cjonowania państwa. Silna, zależna od wzrastającej demografii gospodarka sprawia, że państwo jest silne. Bardzo ważny jest aspekt związany z tożsamością. Jeśli nie ma tożsamości, nie ma podstawy do budowania patriotyzmu gospodarczego. A nasze państwo jest kolonizowane przez inne gospodarki. Choć w pewnym momencie uświadomiliśmy sobie, że proces rozbójniczej prywatyzacji dewastował polską przestrzeń społeczno-gospodarczą, to i tak proces kolonizacji trwa. Pozwolono, by korporacje międzynarodowe i podmioty wchodzące na nasz wewnętrzny

Chcę powiązać liczbę posłów z liczbą obywateli. Jeśli ona maleje, to liczba posłów też będzie maleć. Jeżeli w Polsce żyje 37,6 mln Polaków, powinno być 376 miejsc w Sejmie. Wtedy politycy zaczną myśleć o demografii

rynek miały lepszą pozycję niż polski przedsiębiorca. Małe i średnie biznesy są niszczone na naszych oczach.

Mówi pan o patriotyzmie gospodarczym. To hasło, po które podczas kampanii chętnie sięga także Rafał Trzaskowski. Czy jest on patriotą gospodarczym?

Nie spotkałem jeszcze polityka, który dobrze by rozumiał, co oznacza patriotyzm gospodarczy. Zachęcam do lektury mojej publikacji „Wybrakowany potencjał. Deficyty w polskim kapitale społecznym i patriotyzmie gospodarczym”, która powstała już kilka lat temu i pojawiła się na stronach Fundacji Pomyśl o Przyszłości. Rafał Trzaskowski w całym swoim życiu politycznym pokazał, że nie ma nic wspólnego z patriotyzmem gospodarczym. Kierunki wydatkowania środków publicznych,

którymi dysponuje, zarządzając Warszawą, pokazują, że preferencją wobec obcych gospodarek jest dla niego najważniejszym kryterium w decyzjach publicznych. Trzaskowski jest liderem ugrupowania, które gdy dochodzi do władzy, przyspiesza proces kolonizacji polskiej gospodarki. Pomijając wyśmiewane przez Polaków zakupy drzewek w Niemczech czy kupowanie autobusów w Chinach, mamy inne inwestycje niemające nic wspólnego z budowaniem potencjału gospodarczego Rzeczypospolitej. Jeżeli Rafał Trzaskowski tak rozumie patriotyzm, to znaczy, że jego wykształcenie w tym zakresie jest niezwykle ubogie, a deficyty powinny zostać wyrównane. Jednak pałac prezydencki to nie jest miejsce, by człowiek tego pokroju uczył się patriotyzmu, bo na to jest już za późno. Do pałacu prezydenckiego powinien wejść człowiek, w którym jest silnie zakorzenione poczucie odpowiedzialności za państwo i naród.

W „trzech siódmkach” mówi pan m.in. o konieczności odpartyjniienia państwa. Jak to zrobić, skoro wszyscy to zapowiadają, a jeszcze nikt nie zrealizował?

Partie polityczne traktują państwo jak własny folwark, prześcigając się w obsadzaniu spółek Skarbu Państwa całymi rodzinami, okradając Rzeczypospolitą. Odpartyjnienie państwa jest bardzo proste. Należy natychmiast wprowadzić zakaz pracy członków partii politycznych (a także tych, którzy w ostatnich trzech latach byli członkami partii) i ich rodzin w radach nadzorczych, zarządach oraz strukturach spółek Skarbu Państwa. Niech wszyscy liderzy partii politycznych wyjdą ze mną na konferencję prasową i powtórzą publicznie, że zostanie to zrealizowane. A następnie niech złożą taką ustawę i podniosą za nią rękę. Taka ustawa miałaby jedną stronę, a napisanie jej projektu zajęłoby pół godziny. Ale poza deklaracjami nikt tak naprawdę nie chce odpartyjniienia państwa. Jednak w sytuacji, gdy obywatele uznają, że do pałacu prezydenckiego ma się wprowadzić dr Artur Bartoszewicz, partie zostaną zmuszone do takiego rozwiązania.

Mówi pan o znaczeniu demografii, która warunkuje rozwój gospodarki, jednak dotychczasowe programy społeczne nie poprawiły wskaźników demograficznych. Jak to zrobić?

Nikt w Polsce nie podjął właściwych działań prodemograficznych. Poprzednia ekipa wprowadziła program socjalny, który w krótkim czasie doprowadził do zmniejszenia biedy wśród dzieci. I to był najważniejszy wynik tego programu. Pierwotne założenie, że doprowadzi on do zwiększenia dzietności, było przeze mnie kwestionowane. Kobiety nie zachodzą w ciążę dlatego, że otrzymują 500 czy 800 zł. Proponuję zmobilizować polityków do podejmowania decyzji, które sprawią, że Polacy będą traktowali posiadanie dzieci jako wartość i nie będą demobilizowani w tym procesie jak przez ostatnich 20 lat. Cała ideologia gender i LGBT+ działa przeciw rodzinie i rodzicom, a państwo stawalo i staje przeciw rodzicom. Alienacja rodzicielska jest zjawiskiem powszechnym. Sądy są przeciwko rodzicom, umniejszając ich rolę. Posiadanie dziecka staje się *de facto* zagrożeniem dla rodziców, gdy dziecko twierdzi, że działania rodziców są niezgodne z jego oczekiwaniami. Mamy nagonki na rodziców np. z powodu tzw. złego wychowania, a to prowadzi do osłabiania pozycji rodziców i rodziny. Uważam, że należy motywować do posiadania dzieci, wzmacniać pozycję rodziców.

Jak pańskim zdaniem konkretnie motywować polityków, by podejmowali działania prodemograficzne?

Polityków motywuje się pieniędzmi i stanowiskami. Więc po pierwsze, chcę powiązać liczbę posłów z liczbą obywateli. Jeśli ta maleje, to liczba posłów też będzie maleć. Jeżeli w Polsce żyje 37,6 mln Polaków, powinno być 376 miejsc w Sejmie. 1 poseł na 100 tys. osób. Możemy wyobrazić sobie też sytuację, że jeden poseł będzie przypadał na 200 tys. Polaków. To kwestia decyzji kompatiotów. Jeżeli Polaków będzie przybywać, posłów będzie więcej, jeżeli będzie ubywać, będzie ich coraz mniej. Wtedy politycy zaczną myśleć o demografii. Kolejna sprawa

to pieniądze, ale inaczej niż w programie 800+, gdzie środki są wypłacane także na pierwsze dziecko. Powinniśmy premiować narodziny kolejnych dzieci, bo namawianie do posiadania jednego dziecka nic nie daje. Należy się skupić na rodzinach wielodzietnych. Trzecie, czwarte i kolejne dziecko powinno być bardzo silnie dofinansowane przez państwo. Nazywam to stypendium demograficznym. Np. 1000 zł na trzecie i czwarte dziecko, 1250 zł na piąte, 1500 zł na szóste. Dwójka dzieci oznacza już decyzję o tworzeniu większej rodziny, ale lęk przed kolejnymi dziećmi wynika z promowanego modelu cywilizacyjnego. Samochody są *de facto* czteroosobowe, podobnie jak stoliki w restauracji czy możliwość wykupienia wczasów. Trudno o takie dla więcej niż czterech osób. Zachęty powinny iść więc w kierunku zmniejszenia kosztów życia, gdy małżeństwo posiada więcej niż dwójkę dzieci. Im więcej dzieci, tym wyższe gratyfikacje. W Polsce rodziny wielodzietne zostały obarczone negatywnym wizerunkiem. Trzeba go zmienić, nagradzać ludzi za odwagę przeciwstawiania się trendowi negacji rodziny.

A co z rozwiązaniami podatkowymi? Może tak jak we Francji całe rodziny mogłyby się rozliczać wspólnie?

Wskazane są wszelkie mechanizmy wsparcia gwarantujące obniżenie kosztów życia rodzin. W sytuacji, o której pani mówi, korzyść bazuje na wysokości dochodu. W przypadku biedniejszej rodziny korzyści podatkowe są mniejsze, a koszty się nie zmieniają. Stypendium demograficzne jest lepszym rozwiązaniem, ale mogłoby być wsparte systemem wspólnego rozliczania.

Starwia pan na gospodarkę, ale pytanie, czy Polacy aż tak się nią interesują i czy będą głosować portfelami?

Będą. Dziś wyraźnie odczuwają spadek poziomu życia i pauperyzację. Podstawowe decyzje, które należy natychmiast podjąć, to wypowiedzenie ETS, dyrektywy budynkowej, europejskiego Zielonego Ładu, zakaz lichwy, która degraduje obywateli RP.

Gdy to się stanie, Polacy natychmiast poczują zmniejszenie kosztów funkcjonowania rodzin. Zielony Ład destabilizuje gospodarstwa domowe, uniemożliwia oszczędzanie, a nawet zaspokojenie podstawowych potrzeb. Polakom wystarczy nie zabierać, nie okradać ich, a wtedy nastąpi poprawa sytuacji społeczno-gospodarczej. To samo dotyczy przedsiębiorców, którzy są degradowani przez ETS, Zielony Ład, lichwę czy z umowy bankowe. W ub.r. sektor bankowy osiągnął zysk wysokości ok. 40 mld zł, tzn. że zabrał on z rynku wartość równą programowi 500+. To jest skandal. Jesteśmy państwem o najdroższym kredycie, mamy umowę bankową. Ani KNF, ani UOKiK nic z tym nie robią. Komisja Nadzoru Finansowego działa jak mechanizm ochronny sektora bankowego. Udzielane kredyty są bandyckie, dewastuje się gospodarstwa domowe. Dowodem są wyroki w sprawie kredytów frankowych, z których Polacy są masowo zwalniani, dostają ogromne środki z tytułu nadpłat pobranych należności, są uwalniani od zobowiązań, dzięki temu mogą reanimować sytuację swoich rodzin. Jednak nie zmienia się sytuacja tych, którzy wzięli lichwiarskie kredyty złotowe. Banki zachowują się skandalicznie. Kredyty są mafijnymi obciążeniami gospodarstw domowych i przedsiębiorstw, a depozyty pozostają żenująco nisko oprocentowane. Polski przedsiębiorca ma najwyższe i nieporównywalne z żadnym innym państwem w Europie obciążenie kosztów pieniądza i opłat za korzystanie z banków. Widzimy umowę sektora bankowego i przyjęcie euro nic nie zmienia, wręcz pogorszyłoby sytuację. Państwo gwarantuje bankom zyski, gdyż zmusza Polaków do bycia ich klientami, a te mają pełną swobodę kształtowania warunków relacji z nimi. Tymczasem państwo, mając dwa banki należące do skarbu państwa, powinno zapewnić obywatelom darmowe konta do obsługi zobowiązań wobec państwa oraz zmieniać zasady na rynku kredytowym, obniżając ceny kredytów i podnosząc jednocześnie oprocentowanie depozytów. Te banki powinny służyć budowaniu korzyści obywateli.

Ukraińsko-amerykański deal

Kijów, nie oglądając się na Europę, stawia na partnerstwo strategiczne z Waszyngtonem



MAREK BUDZISZ

Po półtoragodzinnej rozmowie z Władimirem Putinem Donald Trump zadzwonił do Wołodymira Zelenskiego. Kilka godzin później ukraiński prezydent w swoim kanale na platformie Telegram zdradził szczegóły. Napisał, że rozmowa dotyczyła „możliwości osiągnięcia pokoju. Naszej gotowości do współpracy na poziomie zespołów rządowych. Naszych możliwości techno-

logicznych, w szczególności w zakresie dronów i innej nowoczesnej produkcji. Jestem wdzięczny prezydentowi Trumpowi za zainteresowanie tym, co możemy zrobić razem”.

Tym, co uderza w wypowiedziach ukraińskich polityków w porównaniu z ich europejskimi partnerami, jest znacznie spokojniejszy ton i trzeźwa ocena sytuacji. O ile ministrowie największych państw europejskich będących jednocześnie członkami NATO wydali wspólne oświadczenie, domagając się uczestnictwa w rozmowach pokojowych, gwarancji bezpieczeństwa dla Kijowa i rozmów z Moskwą „z pozycji siły”, o tyle przedstawiciele ukraińskich kręgów rządzących zareagowali na deklaracje Trumpa i jego ministra

obrony znacznie spokojniej. Nie wzburzyło ich oświadczenie Pete’a Hegsetha, potwierdzone zresztą później przez amerykańskiego prezydenta, że wejście Ukrainy do NATO „nie jest praktycznym rozwiązaniem” oraz mało realne wydaje się odzyskanie okupowanych przez Moskali terytoriów.

Ta spokojna reakcja ukraińskiej klasy politycznej wynika zarówno z faktu, że w przeciwieństwie do europejskich sojuszników USA i mimo oficjalnej retoryki w Kijowie nie wierzono w rychłe członkostwo w NATO ani w amerykańskie gwarancje bezpieczeństwa. W czasie mojej niedawnej wizyty w ukraińskiej stolicy w rozmowach z przedstawicielami ukraińskiej klasy politycznej często słyszałem, że nadzieje

na pokój budują oni na podstawie własnych zdolności, bezpośrednich relacji z Waszyngtonem i atutów, którymi dysponuje Ukraina. Wizyta w Kijowie Scotta Bessenta, sekretarza skarbu, który został wysłany przez Trumpa, aby rozmawiać o wspólnych projektach, potwierdziła oceny formułowane przez ukraiński obóz władzy. Jak powiedział Zelenski, rozmowy dotyczyły zarówno przyszłego „modelu bezpieczeństwa”, jak i wspólnych amerykańsko-ukraińskich przedsięwzięć.

Wydaje się, że Trump, który kilka dni przed podróżą Bessenta powiedział, że „Ameryka domaga się dostępu do ukraińskich minerałów ziem rzadkich”, połknął haczyk zarzucony przez Zelenskigo kilka miesięcy temu. Jesienią ub.r. zaprezentował on pięciopunktowy plan zakończenia wojny, w którym proponował Joe Bidenowi (większość obserwatorów uważała, iż rzeczywistym adresatem propozycji jest nowa administracja) współpracę w zakresie eksploatacji ukraińskich minerałów oraz wykorzystanie sił zbrojnych, dziś walczących z Rosjanami, po to, aby stabilizować sytuację w naszej części Europy już po wojnie. Po rozmowach z Zelenskim w Kijowie Bessent powiedział, że kwestia minerałów ziem rzadkich i ich wspólnej amerykańsko-ukraińskiej eksploatacji „jest tylko częścią szerszego planu”, który da Ukrainie „tarczę bezpieczeństwa” po wojnie. Ukraiński prezydent dodał, że wysłannik Trumpa przedstawił w Kijowie „brudnopis porozumienia” w tej sprawie i uzupełnił swą wypowiedź stwierdzeniem, że „negocjacje mogą się zakończyć” w czasie monachijskiej konferencji bezpieczeństwa, która miała miejsce w minionym tygodniu.

NA ZACHĘTĘ METALE PRZYSZŁOŚCI

Sprawy rozgrywają się bardzo szybko, w rozmowach prócz przedstawicieli Ukrainy uczestniczą jedynie Amerykanie, co pozwala w pewnym stopniu zrozumieć frustrację Europejczyków. Zasadne wydaje się jednak pytanie, czy prócz wzbudzających największe emo-

cje kwestii związanych z zakończeniem wojny nie jest równolegle negocjowany inny, nie mniej ważny deal w postaci ukraińsko-amerykańskiego partnerstwa strategicznego. Pete Hegseth, szef Pentagonu, który na spotkaniu w kwaterze głównej NATO zaskoczył swych europejskich partnerów stwierdzeniem, że to oni będą musieli wysłać siły stabilizacyjne i nie mogą w tej kwestii liczyć na Amerykanów, dodał też, że „Waszyngton opowiada się za suwerenną i rozwijającą się” Ukrainą, a w osiągnięciu tego celu mają pomóc negocjowane właśnie porozumienia. O co może chodzić? Z pewnością o wspólną eksploatację ukraińskich

Ukraińskimi zasobami litu, kobaltu, grafitu czy tytanu, które są oceniane jako największe w Europie, z pewnością jest zainteresowany Elon Musk, koncentrujący się na technologiach przyszłości i dążący do zorganizowania lotu na Marsa

zasobów minerałów ziem rzadkich i innych istotnych strategicznie surowców.

Michaił Żernow, dyrektor w amerykańskiej firmie Critical Metals, powiedział ukraińskiej prasie, że trwa światowy wyścig o kontrolę nad tymi zasobami. Jak zauważył, Ameryka jest zdecydowanie bardziej agresywna w tym obszarze niż Europa, co potwierdza dyskusja na temat przyszłości Grenlandii. W jego opinii ukraińskimi zasobami litu, kobaltu, grafitu czy tytanu, które są oceniane jako największe w Europie, z pewnością jest zainteresowany Elon Musk, koncentrujący się na technologiach przyszłości i dążący do zorganizowania lotu na Marsa. Tych planów nie da się zrealizować bez dostępu do tego rodzaju zasobów, które

dziś w 68 proc., a jeśli analizować zdolności przetwórcze to nawet w 90 proc., kontrolują Chińczycy.

Nazwisko Muska padało też w rozmowach, w których uczestniczyłem w czasie niedawnego pobytu w Kijowie. Moi interlokutorzy dowodzili, że amerykański przedsiębiorca już negocjuje w tajemnicy porozumienie z rosyjskim rządem dotyczące wydobycia minerałów ziem rzadkich, których złoża znajdują się na terenach okupowanych, przede wszystkim w Donbasie. Mieli się tam też pojawić Chińczycy, którzy nie zwracają wielkiej uwagi na kwestie suwerenności i to, z kim rozmawiają w sprawie przedsięwzięć w sektorze wydobywczym, co potwierdzili, penetrując Afrykę. W świetle tej narracji Amerykanie nie chcą dopuścić do sytuacji, że znów zostaną wyprzedzeni przez konkurencję, a to daje Kijowowi pole do gry związanej z przyszłym statusem Donbasu. Ani amerykańskie, ani europejskie firmy, nie mogą zaangażować się w inwestycje na terenach okupowanych przez Rosjan bez poważnych strat wizerunkowych, chyba że Ukraina poprze te inwestycje i uda się wynegocjować specjalny status formalnoprawny dla tych obszarów. Z perspektywy Kijowa nawet przekształcenie Donbasu w „wolną strefę” jest lepszym rozwiązaniem niż uznanie rosyjskiej aneksji.

Dla Moskwy to też byłaby opcja do rozważenia, zwłaszcza jeśli w grę wchodziłyby inwestycje firm z USA i widoki na poprawienie relacji z Waszyngtonem. Memorandum w sprawie wspólnych przedsięwzięć z Ukrainą w sektorze wydobywczym już jesienią ub.r. podpisała administracja Bidena, ale, jak zauważył w rozmowie z CNN Adam Mycyk, partner w międzynarodowej kancelarii prawnej Dentons, Trump jest skłonny podejmować znacznie bardziej zdecydowane działania, a „w najlepszym interesie Ukrainy, jeśli chodzi o jej powojenną odbudowę i długoterminowe perspektywy gospodarcze, by było, aby maksymalnie zmaksymalizować przetwarzanie i tworzenie wartości z wszelkich wydobywanych na Ukrainie minerałów przez ukraińskie firmy”. Tego nie da się zrobić bez partnerstwa kapitałowego

i w zakresie know-how z wielkimi koncernami amerykańskimi. Żernow zauważył, że geologiczne rozpoznanie jednego tylko złoża litu znajdującego się na Ukrainie, minerału o kluczowym znaczeniu dla produkcji baterii do samochodów elektrycznych, zajmuje od 2 do 5 lat i kosztuje nawet 1 mld dol. Budowa kopalni, nie mówiąc już o zdolnościach przetwórczych, to kolejne 10 lat. Mówimy zatem o niezwykle kosztownym i czasochłonnym procesie inwestycyjnym, którego nie da się zrealizować bez gwarancji bezpieczeństwa i stabilizacji sytuacji politycznej.

KUSZENIE URANEM

Ale Ukraina to nie tylko najbogatsze w Europie złoża litu i metali ziem rzadkich. Są tam też największe na naszym kontynencie i nie do końca zbadane zasoby uranu, którego znaczenie, zwłaszcza w dobie transformacji energetycznej, rośnie. Francuzi, którzy utracili niedawno dostęp do złóż w Afryce subsaharyjskiej, nerwowo rozglądają się za alternatywnymi źródłami zaopatrzenia w surowiec, bo w przeciwnym razie ich energetyka jądrowa będzie miała problemy. W grze chcą wziąć udział również Amerykanie, a Żelenski chce uczynić z ukraińskiej energetyki jądrowej jeden z motorów odbudowy gospodarki ze zniszczeń wojennych. W zeszłym tygodniu ukraiński prezydent podjął decyzję o zatwierdzeniu zakupu od Bułgarów dwóch reaktorów jądrowych, które pierwotnie były przeznaczone do budowy elektrowni atomowej w Wenelinie nad Dunajem. Ukraińcy chcą je odkupić za 500 mln euro i przeznaczyć na rozbudowę ich elektrowni atomowej w Chmielnickim. Jeśli to przedsięwzięcie zostanie zrealizowane, ich zdolności do produkcji energii elektrycznej wzrosną o 2,2 GWt i będzie to energia tania, bo pochodząca z rozszczepiania atomu.

W związku z wyścigiem w zakresie sztucznej inteligencji na świecie lawinowo rośnie zapotrzebowanie na prąd, bo serwerownie obsługujące firmy w tej branży konsumują ogromne ilości energii. Po wojnie Ukraina chce nie tylko eksploatować „metale przyszłości”, które posiada, lecz także produkować tanią energię i wykorzystać swój kolejny atut – dobrze wykształconą i relatywnie tanią

kadre informatyczną. Nawiasem mówiąc, tania energia może być jednym z czynników budowania przewagi konkurencyjnej na europejskich rynkach w tradycyjnych branżach. Dobrym przykładem jest tutaj produkcja nawozów mineralnych. Ukraina, mając duże złoża własnego gazu ziemnego i największe w Europie podziemne magazyny, do których można pompować amerykański gaz, w ciągu kilku lat może osiągnąć nie tylko samowystarczalność w tym segmencie, lecz także przyciągnąć inwestycje ze „starej Europy”, która potrzebuje taniej energii i surowców po konkurencyjnych cenach.

USŁUGI WOJSKOWE

Zdobyte doświadczenia i szybko rozwijający się przemysł nowych środków walki może być (takie są plany) kolejnym magnesem zwiększającym atrakcyjność Ukrainy dla inwestorów, zwłaszcza amerykańskich. I tu znów pojawia się nazwisko Elona Muska, który zaczął mówić o konieczności zmian w amerykańskim systemie pozyskiwania sprzętu wojskowego. Wokół Muska, a także takich firm, jak Anduril, Palantir czy L3Harris zawiązała się koalicja firm z Doliny Krzemowej, która chce rzucić wyzwanie wielkim koncernom zbrojeniowym tradycyjnie zaopatrującym Pentagon. Musk mówi, że dotychczasowe systemy są zbyt drogie, wojna się zmieniła i Ameryka też musi rewolucyjnie zmodernizować swe podejście, inaczej przegra rywalizację z Chinami.

W styczniu w USA opublikowano raport grupy badaczy pod kierownictwem emerytowanego gen. Davida Bergera, proponujących stworzenie – oprócz dotychczasowego powolnego i biurokratyzowanego systemu pozyskiwania nowych generacji broni – nowego systemu nastawionego na technologie przyszłości, konsumującego rocznie na początek 15 proc. wydatków Pentagonu, czyli jakieś 100–120 mld dol. Musk i inni zwolennicy rewolucyjnych zmian w amerykańskim systemie pozyskiwania uzbrojenia często mówią o potrzebie wykorzystania doświadczeń Ukrainy i w Kijowie także upatrują w tym swojej szansy w przyszłości. Jak jeszcze latem ub.r. powiedział premier Denys Szmychal, w jego kraju działa „ponad 500”

firm produkujących różnego rodzaju systemy bezzałogowe, od informatycznych po inżynierskie, które są zaangażowane w budowę dronów zarówno morskich, jak i lądowych czy powietrznych. Często są to „firmy garażowe”, ale nie można zaprzeczyć, że dzięki ich aktywności ukraińska armia w ciągu 12 miesięcy dostała 19 razy więcej dronów. W ub.r. te „garażowe firmy” wyprodukowały 1,3 mln systemów bezzałogowych i opracowały ich cztery nowe generacje. W rezultacie liczba skutecznie rażonych celów wzrosła 3,7 razy. Obraz ten byłby niepełny, gdybym nie przytoczył jeszcze jednej informacji. Otóż z relacji szefa ukraińskiego resortu obrony wynika, że 96 proc. potrzeb sił zbrojnych na systemy bezzałogowe zaspokajają rodzimi producenci. W Kijowie jest zakorzenione przekonanie, że jeśli Amerykanie poważnie myślą o rywalizacji z Chinami, będą zainteresowani wykorzystaniem zarówno ukraińskich doświadczeń w zakresie „wojny dronowej”, jak i przejmowaniem firm, które już sporo osiągnęły na tym polu.

Wreszcie ukraińscy wojskowi i politycy są zdania, że przesunięcie aktywności Stanów Zjednoczonych w rejon Indo-Pacyfiku wywoła jeszcze inny ruch, o którym Pete Hegseth mówił w Brukseli. Szef Pentagonu zapowiedział, że dokona „przeglądu” amerykańskich sił stacjonujących w Europie, a decyzje o ich ewentualnej redukcji zapadną po zakończeniu aktywnej fazy wojny. W Waszyngtonie mówi się jednak o celowości zmniejszenia amerykańskiej obecności wojskowej w Europie o 20 proc., a to oznacza, że na naszym kontynencie może powstać „próżnia bezpieczeństwa”, zapotrzebowanie na dodatkowe siły, zwłaszcza lądowe. I swe „usługi” chcą zaproponować Ukraińcy, mający dziś pod bronią 1 mln ludzi, którzy zdobyli już doświadczenie w walce, jakiego nie mają przedstawiciele żadnej z armii państw europejskich.

Innymi słowy Ukraina, będąc w trudnej pozycji i nie mając nic do stracenia, gra twardo, wiele ryzykując i stawiając na partnerstwo strategiczne ze Stanami Zjednoczonymi. Czy jej się uda? Tego nie wiadomo, ale warto podkreślić trzeźwą ocenę, którą przeprowadzili przedstawiciele tamtejszej elity. ▀



Relacja z Ukrainy

Cień życia Odessy

Po blisko trzech latach wojny codzienność Odessy jest coraz mniej kolorowa, ale nikt nie traci nadziei, że Ukraina obroni suwerenność. Zwłaszcza kobiety robią wszystko, by wspierać żołnierzy walczących na froncie

Od lutego 2022 r. byłem w Odessie siedem razy. Zawsze chciałem odwiedzić to miasto, ale do wybuchu wojny na Ukrainie nie miałem ku temu okazji.

Późną jesienią ub.r. po raz kolejny rankiem wysiadłem z pociągu kończącego bieg na monumentalnym odeskim dworcu głównym. Poniżej wieńczącej go kopuły z masztem i ogromną, powiewającą na wietrze niebiesko-żółtą flagą, na rusztowaniu zamontowano (przed wojną podświetlany) witający podróżnych napis w języku ukraińskim: „Серdecznie zapraszamy do miasta bohatera Odessy”. Na fasadzie budynku w towarzystwie sowieckiej złotej gwiazdy i orderu Lenina widnieje jednak murowany napis „Одесса” – zdublowana litera c świadczy, iż zapis jest rosyjskojęzyczny. Siedem lat po II wojnie światowej, kiedy skończono odbudowę dworca, nie było to niczym nadzwyczajnym, ale obecnie

**ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI**

ta dwujęzyczność całkiem trafnie obrazuje Odesę.

Mimo że miasto jest położone w południowo-centralnej części Ukrainy, gdzie rusyfikacja nie była tak intensywna jak na wschodzie kraju, było ono rosyjskojęzyczne. Na początku 2022 r. tylko gdzieś tam dało się usłyszeć język ukraiński. Wraz z upływem czasu podczas kolejnych wizyt zauważałem jednak zmianę. Obecnie mieszkańcy posługujący się językiem najeźdźców należą do mniejszości. W sklepach, restauracjach, barach i punktach usługowych niemal

wyłącznie używa się obowiązującego języka urzędowego, nawet jeżeli wcześniej w tych miejscach tak nie było. Co więcej, w większości z nich ustawiono skarbonki, a zebrane z nich pieniądze trafiają do ukraińskiej armii.

GŁUCHO WSZĘDZIE

Ulice żyją jednak według własnych reguł. Jeśli udaje się coś zasłyszeć od mijanych przechodniów, to częściej wpadają w ucho bardziej szorstkie od ukraińskich rosyjskie słowa. Spotkanie kogoś na mieście nie jest takie oczywiste. Ulice w centrum świecą pustkami. Altanki w parku przy zbombardowanym soborze Przemienienia Pańskiego, miejscu spotkań amatorów gry w szachy i warcaby, wcześniej tłumne i gwarne, obecnie opustoszało. Owszem, pora roku nie sprzyja takim aktywnościom, ale pogoda nie jest główną przyczyną.

Po pustych uliczkach hula wiatr, a niedostatek słońca potęguje przygnębiającą szarość kamienic. Tylko czasami da się zauważyć pojedynczych przechodniów albo grupki wojskowych. Zaczynam rozmowę z nadchodzącym z naprzeciwka utykającym mężczyzną. Okazuje się byłym żołnierzem zwolnionym z armii ze względu na rany odniesione w walce. Narzeka na brak zainteresowania państwa jego losem, środków do życia i ograniczony dostęp do rehabilitacji. W jego głosie słychać rozgoryczenie. Kiedy służył w wojsku, był kimś ważnym, ludzie okazywali mu szacunek, teraz nikt nie zwraca na niego uwagi, a on często nie ma za co kupić jedzenia.

Idziemy na zakupy. Zgadzam się za nie zapłacić. Igor, bo tak się przedstawił, wybrał niedrogie produkty, żeby nie nadużywać przychylności cudzoziemca – pieczywo, parówki, majonez i, pytając, czy może, najtańsze papierosy. W zamian udało mi się zaczerpnąć od niego trochę informacji.

Ludzie boją się wychodzić na miasto bez potrzeby. Odessa jest częstym celem nalożeń rakietowych i dronowych. Co prawda w dzień zdarzają się one rzadko, ale praktycznie każda noc jest zakłócana przez wystrzały obrony przeciwlotniczej i eksplozje, wszak nie każdy atak udaje się odeprzeć. Mężczyźni w wieku poborowym praktycznie nie opuszczają domów lub innych miejsc ukrycia przed Terytorialnymi Centrami Kompletowania, które odpowiadają za uzupełnianie sze-

Wielokulturowy port

Do rosyjskiej napaści na Ukrainę w lutym 2022 r. Odessa była trzecim ukraińskim miastem pod względem liczby ludności (ponad 1 mln mieszkańców), po Kijowie i Charkowie. Po aneksji Krymu przez Rosję jedynymi portami mającymi swobodny dostęp do Morza Czarnego na Ukrainie pozostały te w Mikołajewie i Odessie. Ten pierwszy leży zbyt blisko frontu, by bezpiecznie przeladowywać tam towary. Ostatnią ukraińską morską bramą na świat pozostała Odessa. Na początku wojny najeźdźcy planowali desant i zajęcie miasta, ale tygodniowy sztorm pokrzyżował ich plany.

Mimo że port i miasto zostały wybudowane na polecenie carycy Katarzyny II, żaden Ukraińiec nie uważa Odessy za rosyjskie miasto.

W starożytności na jego terenie istniały dwie greckie osady. W pierwszym tysiącleciu naszego wieku te tereny przechodziły z rąk do rąk, władali nimi m.in. Goci, Hunowie, Awarowie, Bułgarzy i Madziarzy. W XIV w. powstała tam podległa tatarskiemu chanatowi krymskiemu warownia Chadżybej. Od 1392 r. do lat 40. XV w. terytorium pomiędzy Dniestrem i Dnieprem wraz z twierdzą było pod władaniem Wielkiego Księstwa Litewskiego połączonego z Polską. „Kacybueiów” został zapisany w kronikach Jana Długosza jako port, z którego król Jagiełło wysłał do Konstantynopola kilka statków z pszenicą. W 1529 r. władzę nad Chadżybejem przejęło imperium osmańskie, a w 1789 r., o ironio, Kozacy zdobyli twierdzę dla Rosjan. W 1941 r. miasto zasłynęło 73-dniową bohaterską obroną, ostatecznie przełamaną przez niemiecko-rumuńskie wojska. Niemiecką okupację pod rumuńską administracją zakończyła Armia Czerwona 10 kwietnia 1944 r.

Od 1991 r. Odessa należy do Ukrainy (w obwodzie odeskim w referendum 85 proc. mieszkańców głosowało za niepodległością). Wielokulturowa przeszłość znajduje odzwierciedlenie w mnogości narodowości i grup etnicznych zamieszkujących miasto. Żyją tam m.in. Albańczycy, Ormianie, Grecy, Tatarzy, Gruzini, Turcy, Azerowie, Bułgarzy, Rumuni, Polacy i przede wszystkim Ukraińcy.

regów ukraińskiej armii nowymi rekrutami i realizują swoje zadanie wszelkimi metodami. Na Ukrainie nie ma chyba nikogo, kto by nie widział nagranych telefonami komórkowymi filmików pokazujących brutalne metody „odławiania poborowych”.

Do słów Igora trzeba dodać wielką skalę emigracji. Do utraty Krymu w 2014 r. Ukraina liczyła ok. 42 mln obywateli. Ilu wyjechało? Tego nie wiedzą nawet władze miast, a liczbę tych, którzy zostali, określają na podstawie skali codziennej sprzedaży pieczywa. Przyjmuje się, że na nieokupowanych terenach Ukrainy żyje obecnie nie więcej niż 26 mln obywateli.

Według Igora najwięcej ludzi spotkam na bazarach i to tam powinienem się udać, jeśli chciałbym znaleźć rozmówców. Każdy musi coś jeść, a kobiet robiących zakupy na razie nikt nie porzywa do wojska.

KOMINIARKI OD ANNY

Jadę marszrutką na targowisko. W busiku jest kilku mężczyzn w podeszłym wieku, ale większość pasażerów to kobiety, niektóre z dziećmi. Moją uwagę przykuwa dziewczyna patrząca w okno i zapamiętała robiąca na drutach. Kłębek ciemnozielonej wełny w jej rękach sprawnie zmienia się najprawdopodobniej w kominiarkę. Zręczność, z jaką to

robi, musiała być efektem wielu godzin praktyki.

Moja ciekawość nie została niezauważona. Kobieta pyta, czy coś się stało, dlaczego tak się jej przyglądam. Wytłumaczyłem, że jestem dziennikarzem z Polski i zainteresowała mnie, co robi na drutach. Okazało się, że faktycznie była to kominiarka, która później trafi na front do jednego z ukraińskich żołnierzy. Anna, bo tak miała na imię, powiedziała, że robi to już od dłuższego czasu, a jeżeli miałbym ochotę, może mi pokazać swój warsztat i inne wyroby. Trudno nie skorzystać z takiej okazji. Wsiadłem z nią i poszliśmy do jej pracowni.

Małe mieszkanko w dawnym akademiku, bez wielkich wygod, ze wspólną kuchnią na korytarzu, okazało się wytwórnią ciepłych, wełnianych skarpet, czapek i kominiarek. W plastikowych kontenerach piętrzyły się różnokolorowe kłęбки i włóczki, na skraju stołu stała przewijarka do nici, w kącie pokoju leżały stare swetry i bluzy, w innym okrągłe makatki. Najciekawsze jednak były dwa duże akumulatory (zapewne od ciężarówki) leżące na podłodze połączone przewodami z lampkami LED na ścianach. – To moja instalacja awaryjna – mówi Anna. – Bez niej nie mogłabym pracować w całkowitej ciemności, kiedy wyłączają nam prąd. Wprawdzie mam już taką wprawę, że nie muszę patrzeć, kiedy wiąże skarpety, ale pruję też stare



Pieniądze ze skarbonek ustawionych w kawiarniach trafiają na potrzeby ukraińskiej armii



Anna oprócz kominiarek robi też okrągłe makaty, na których śpią żołnierze w okopach

swetry na nici, bo tak znacznie taniej wychodzą, zawijam je w kłębki i robię coś innego.

Anna jest tłumaczem języka angielskiego, często pracuje zdalnie, bez stałych godzin. Zawsze chciała wspierać armię, ale nie miała takich możliwości. Wydawało się jej też, że brakuje jej potrzebnych do tego umiejętności. Jednak na bazarze usłyszała od Larysy, u której zawsze kupowała owoce i warzywa, że chłopcom na froncie dokuczają dotkliwie zimno, a najbardziej narzekają na marną głowę i stopy. Po kilku dniach przyniosła na targowisko pierwszą zrobioną przez siebie kominiarkę.

Efekt jej pracy przeszedł jej najsmielsze oczekiwania. Syn Larysy był gotowy całować Annę po rękach. Jej kominiarka uratowała mu życie. Uczestniczył w nieudanym desancie na wschodni brzeg Dniepru. W przemoczonym mundurze był wychłodzony niemal do granic hipotermii, jedynie kominiarka z naturalnych włókien, nawet mokra, utrzymała ciepło. Doczekał odpowiedniego momentu i wrócił do swoich. Nie

wszystkim się udało. Niektórzy zasnęli na zawsze w zimnym śnie, a ci, którym bardziej się poszczęściło, nabawili się odmrożeń.

To dało Annie ogromną motywację do dalszej pracy. Poświęca jej każdą wolną chwilę. Wiązanie jest wyjątkowo pracochłonne – każda kominiarka czy skarpety zrobione na drutach pochłaniają kilkanaście godzin płatania oczek.

LARYSA ZBIERA WSZYSTKO

Anna zaproponowała, że jeżeli mam ochotę, to możemy pójść na targowisko porozmawiać z Larysą. Idealnie się składało, bo i tak miałem w planach dotrzeć w jedno z takich miejsc. Zgodnie z tym, co wcześniej mówił Igor, w okolicy placu handlowego można było spotkać więcej ludzi niż w mieście.

Stragan ozdobiony flagami ukraińską i dwiema 37. Brygady Piechoty Morskiej musiał być tym, do którego szliśmy. Wszystkie okazały się podziękowaniami za pomoc, którą Larysa okazywała służącym tam żołnierzom, w tym jej synowi. Ona i Anna przywitały się serdecznie, zostałem przedstawiony i w przerwach między obsługą klientów chwilę porozmawialiśmy.

Okazało się, że Larysa, mimo iż codziennie, poza jednym dniem w mieście, kiedy targowisko jest zamknięte, od świtu do wieczora pracuje w tym miejscu, ma jeszcze siły na zarządzanie wsparciem idącym z bazaru dla armii. Ktoś da słoninę, ktoś owoce, Anna przyniesie swoje wyroby, klienci wrzucą resztę do skarbonki czy choćby plastikowe nakrętki do wystawionego na nie pojemnika. Larysa to wszystko zbiera i odsyła na „Zero”, bo pod takim kryptonimem na Ukrainie kryje się front.

– Nastroje społeczne już od dawna nie są entuzjastyczne – mówi Larysa. – Od dłuższego czasu bombardują nas co noc, często nie ma prądu ani ogrzewania, ale się nie poddajemy. Czasami trzeba stać kilka godzin w kolejce z wiaderem po wodę, bo ostrzał uszkodził rury. Miejmy nadzieję, że Trump coś zmieni, ale na to trzeba poczekać aż do stycznia – zakończyła.

* * *

Z bazaru wracam do centrum. Znów spotykam głównie żołnierzy na urlopach przemierzających się małymi grupkami pomiędzy licznymi sklepami ze sprzętem wojskowym. Ukraińcy kochają kawę i nawet w czasie wojny małe kawiarnie trzymają się nieźle. Usługi z innych branż nie mają już jednak tyle szczęścia. Niemal na każdej ulicy mijam zamknięte na głucho butiki, pizzerie i wiele innych. Sklep z tureckimi produktami jeszcze funkcjonuje, ale stragany z suvenirami nie mogą liczyć na wielu turystów zainteresowanych choćby pamiątkowymi magnesami na lodówkę.

Na początku wojny dwa razy wyjechałem z Odessy w czasie ataków powietrznych, tym razem udało się spokojnie wsiąść do pociągu. Kończący się trzeci rok walk coraz bardziej męczy i wykrwawia społeczeństwo Ukrainy. Co prawda ludzie w większości chcą zawieszenia broni, ale nie za wszelką cenę. Niemal wszyscy moi rozmówcy liczą na pomoc nowego prezydenta USA. ▲



Larysa koordynuje pomoc dla ZSU wychodzącą z jednego z odeskich targowisk



DARIUSZ MATUSZAK

Zakrecony kurek z dolarami

Tysiące lewicowych organizacji i mediów na całym świecie straciły pieniądze, za które budowały nowy wspaniały świat i lepiły nowego postępowego człowieka. Wszędzie więc lament i trwoga



Stanów Zjednoczonych ds. Rozwoju Międzynarodowego (USAID). To na nią swe oczy skierowali prezydent Donald Trump i Elon Musk, by sprawdzić, na co wydano tak ogromne pieniądze amerykańskiego podatnika.

FINANSOWE RAMIĘ DEI

Agencja założona w 1961 r., w ciągu ostatnich 17 lat wyposażona w roczne budżety rządu 52,9–77,3 mld dol., mająca nieść pomoc biednym i pokrzywdzonym tego świata, okazała się największą w dziejach machiną do korupcji politycznej, przeorywania kultury i świadomości narodów, obalania i powoływania rządów.

Rokiem cezury był 2008 r., kiedy prezydentem USA został pupil George'a Sorosa, weteran lewackich ruchów miejskich Barack Hussein Obama. Jego administracja osiągnęła mistrzostwo w wykorzystywaniu instytucji państwa do wyciągania pieniędzy z prywatnych firm i przekazywania ich lewackim organizacjom. Mechanizm był genialny. Agencje rządowe – skarbówka, służby od ekologii i czego tam jeszcze – rozpoczynały kontrolę, kierowały akty oskarżenia o to czy tamto, nakładały grzywny, a potem proponowały odstąpienie od kar pod warunkiem wpłaty na jakiś szczytny cel, czyli dla wskazanej organizacji pozarządowej. Któż by w takiej sytuacji nie zapłacił haraczu? Pieniądże służyły do przerabiania Ameryki wedle obłąkańczych zasad DEI (Diversity, Equity, Inclusiveness – różnorodność, równość, inkluzywność).

Tekst możemy zacząć jak Kurt Vonnegut, który w powieści „Niech pana Bóg błogosławi, panie Rosewater” pisał, iż jej bohaterem jest piękna sumka 87 mln dol., która dawała 10 tys. odsetek dziennie, nawet

w niedziele i święta. Na nią swe czarne jak węgiel oczy skierował arabski prawnik Norman Mushari. W naszym przypadku mowa o kwocie ponad 10 tys. razy większej – co najmniej 1 bln dol., którą od 2008 r. rozdysponowała Agencja

DEI nie była abstrakcyjną ideologią, ale programem zaprowadzanym pieniędzmi oraz biurokratyczną i sądową przemocą we wszystkich amerykańskich instytucjach – od rządowych po firmy, kluby sportowe, trupy teatralne czy chóry parafialne. Wymuszeniami i pieniędzmi podatników budowano wielki biznes organizacji pozarządowych i maszynę do mielenia ludzkości – uformowania jej świadomości w homogeniczną papkę. Ideologiczne pobudzenie (woke) było totalne i dotyczyło wszystkich dziedzin życia.

Za granicą nie dało się pozyskiwać pieniędzy przez system haraczy, więc ramieniem na świat stała się USAID. Cele zewnętrzne stały się zbieżne z wewnętrznymi. Jak Ameryka miała być woke i DEI, tak na jej modłę miał być zbudowany nowy wspinały świat.

Już w pierwszym tygodniu urzędowania Elon Musk, który stanął na czele Departamentu Efektywności Rządu (DOGE), zablokował 1 mld dol. przeznaczonych na szkolenia z DEI w 14 instytucjach rządowych. W porównaniu z tym, czym dysponowała USAID, te pieniądze nie były nawet na waciki. Kiedy Musk skierował swe oczy na 70 mld dol., odkrył największą instytucję korupcyjną w historii, prawdziwą maszynę do mielenia narodów i ich kultur. Przekopywanie się przez nią przy całkowitej obstrukcji urzędników USAID ledwie się zaczęło, a to, co zobaczyliśmy, nie jest nawet czubkiem góry lodowej. To byłoby zbyt czyste, szlachetne określenie na to, czym była USAID. Rzeczy, które się wyławia i wywozi na taczkach, jeżą włosy na nogach nawet najbardziej fanatycznych feministek. Jak Musk rzućmy okiem na niektóre wydatki:

- 43 mln na stację benzynową w Afganistanie
- 1,5 mln dla Jamajczyków LGBTQ+
- 4 mln dla transpłciowych Serbów
- 1,5 mln na „promowanie równości i integracji na serbskim rynku pracy”
- 5,5 mln na walkę o prawa homoseksualistów w Ugandzie
- 25 mln na promocję „zielonego transportu” w Gruzji
- 8 mln na szkolenia „jak unikać języka binarnego” dla dziennikarzy ze Sri Lanki

- 122 mln trafiły do terrorystów ISIS i Hamasu
- 2 mln na warsztaty z marokańskiej ceramiki
- 20 mln na projekt Ulica Sezamkowa w Iraku
- 1 mln na wysłanie Ukraińców do Paryża na pokaz mody Paris Fashion Week
- 70 tys. na musical o DEI w Irlandii
- 50 tys. na operę dla osób zmiennopłciowych w Kolumbii
- 32 tys. dla Peru na komiks o zmianie płci
- 2 mln na procedury zamiany płci w Gwatemali
- 1 mln na szkolenia w Tadżykistanie dla niepełnosprawnych liderów klimatycznych
- 15 mln na prezerwatywy i środki antykoncepcyjne dla Afganistanu
- 2,5 mln na samochody elektryczne dla Wietnamu
- 5–20 mln dol. dla gwiazd Hollywood za wycieczkę na Ukrainę i płkanie nad tragedią napadniętego kraju. 20 mln miała otrzymać Angelina Jolie. Te informacje krążą publicznie i nie zostały ostatecznie zweryfikowane, ale żadna z gwiazd nie zaprzeczyła, że płacono im za odgrywanie współczucia.

Wstrzymano blisko 270 mln dol. dla mediów i organizacji zajmujących się propagandą i cenzurą, a także 2,5 mld dol. dla Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych ds. Uchodźców. Pod tą pretensjonalną nazwą kryje się agencja ONZ, która finansowała m.in. pozarządowe organizacje prześcące zajmujące się przemytem ludzi – nielegalnych imigrantów. Przykłady są z różnych „branż”, przytoczone bez porządku, bo to efekt przypadkowych odkryć podczas przekopywania się przez zwąły kwitów USAID. Dają jednak wyobrażenie, czym zajmowała się ta agencja i na co przeznaczano pieniądze amerykańskich podatników.

A WOKÓŁ ŚMIERĆ DEMOKRACJI

W reakcji na bezmiar zepsucia i marnotrawstwa wszystkie środki zostały zablokowane. Uwolnione tylko te, które idą bezpośrednio na ratowanie życia – leki i pomoc medyczną. Sze-

fowa USAID Samantha Power, która za prezydentury Obamy była ambasadorem ONZ, podobnie jak większość 10-tys. załogi została zwolniona z agencji, a to, co z niej zostało, przeniesiono do Departamentu Stanu.

Tysiące lewicowych organizacji i mediów na całym świecie straciły pieniądze, za które budowały nowy wspinały świat i lepily nowego postępowego człowieka. Wszędzie więc lament i trwoga. Media i organizacje, które doily amerykańskich podatników, skarżą się i straszą, że bez tych pieniędzy wszyscy poumierają w męczarniach. Płaczą tabuny aktywistów z USAID, bo fajnie było prowadzić projekcik na Sri Lance. O poziomie hysterii dobrze świadczy zamieszony na Facebooku wpis Alexandra Adela, byłego konsultanta USAID: „Dziś straciliśmy z żoną pracę. Za dwa tygodnie będziemy bezdomni, oczekując naszego pierwszego dziecka. Oto wynik demontażu USAID. Prawie 10 tys. pracowników i ponad 51 tys. Amerykanów, którzy niosą światu dobro, traci środki do życia. [...] Destabilizacja się rozprzestrzenia. Terroryzm będzie się rozwijał. Globalne zdrowie spadnie. Wybuchną pandemie. A życia – miliony – zostaną stracone. Okrucieństwo nie zna granic. Żona i ja codziennie płacemy razem z naszymi kolegami, naszymi przyjaciółmi i niezliczonymi społecznościami, które wspieraliśmy”.

Senator demokratów Chris Murphy obwieszcza w CNN: „Ameryka stanęła twarzą w twarz ze śmiercią demokracji. Patrzymy śmierci demokracji prosto w oczy”. Jest zupełnie jak z okazji globalnego ocieplenia i w nieśmiertelnych dowcipach o lotewskich chłopach: a wokołśmierć i halucynacje z niedożywienia.

Polskim prawidłowym i pobudzonym woke organizacjom oraz mediom też skończyły się amerykańskie pieniądze. Wcześniej trafiło im się co najmniej 380 mln dol. Obieg pieniądza jest skomplikowany, poprzez pośredników, np. niemieckie fundacje albo agencje ONZ, a i wyławianie z szamba trwa, więc na razie obdarowywano, także z powodu ostrożności procesowej, nie przypisujemy konkretnych kwot. Szczegóły będą państwo poznawać z codziennych doniesień.

TOUR DE KONSTYTUCJA JUŻ BEZ KROPLÓWKI

Tak czy owak nie ma już dolarów na wycieczki Tour de Konstytucja apolitycznego sędziego Tulei, który jeszcze niedawno jeździł na nie z niespotykane apolitycznym Adamem Bodnarem. A gdzie pieniądze – oburzyli się apolityczni sędziowie i zażądali od Trumpa, żeby im je natychmiast wypłacił. „To decyzja bezprecedensowa i głęboko niepokojąca. Zawieszanie legalnie przyznanych funduszy, podważanie zobowiązań państwa i deprecjonowanie pracy organizacji społecznych oznacza, że umowy przestają mieć znaczenie, a kluczowe inicjatywy mogą być blokowane ze względów politycznych” – napisali niespotykane pozarządowi sędziowie na Facebooku. I wezwali jak w przedsądowym wezwaniu do zapłaty: „Nie zgadzamy się na to. [...] Projekty edukacyjne takie jak Tour de Konstytucja mają fundamentalne znaczenie dla społeczeństwa obywatelskiego i nie mogą stać się ofiarą arbitralnych decyzji administracyjnych. Wzywamy do ponownej oceny tego stanowiska i przywrócenia środków na realizację działań”.

Trump się nie wystraszył i na razie afgańskie pozarządowe prezerwatywy z pozarządowym Tour de Konstytucja nie mają rządowego finansowania.

Pieniądzy amerykańskich podatników nie dostanie pozarządowa Róża Rzeplińska, córka niespotykane apolitycznego byłego prezesa Trybunału Konstytucyjnego Andrzeja Rzeplińskiego, która prowadzi jakąś tam fundację. Ani Kampania Przeciw Homofobii na imprezy LGBTVN, ani Stowarzyszenie na rzecz osób LGBT+ Tolerado, Federacja Znaki Równości, My, Rodzice – stowarzyszenie matek, ojców i sojuszników osób LGBT+ i wiele jakichś takich innych.

Na budynkach ambasady amerykańskiej nie będą powiewały tęczopodobne flagi, a i nowy ambasador Stanów Zjednoczonych w Polsce Tom Rose nie będzie pisał i maszerował tanecznym krokiem jak Zbigniew Brzeziński wśród kochających dziwacznie. Nie ma pieniędzy

USAID dla „Krytyki Politycznej”, „Gazety Wyborczej”, TVN, OKO.press, „Tygodnika Powszechnego” i ponad 20 innych redakcji postępowego nurtu oraz organizacji od propagandy i cenzury.

Kwoty szły od dziesiątków tysięcy po miliony rozłożone w latach. Wszystko na wspieranie jedynie słusznej lewicowej i postępowej agendy. I obalenie rządu PiS. Na wsparcie jakiejś tam biedoty z zacofanej wiochy nie zmarnował się żaden grosz. Nie ma pieniędzy, więc beneficjenci na łasce obcego rządu bezwstydnie wylewają żale. Prezes Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka Maciej Nowicki lamentuje w OKO.press, że budżety niektórych organizacji poza-

Nie ma już dolarów na wycieczki Tour de Konstytucja apolitycznego sędziego Tulei, który jeszcze niedawno jeździł na nie z niespotykane apolitycznym Adamem Bodnarem

rządowych w 80 proc. pochodziły od amerykańskiego rządu.

Wiele rzeczy pozostaje do odkrycia, ale nie ma wątpliwości, że administracja prezydentów Obamy i Bidena wpływała na wybory w Polsce, a tzw. organizacje pozarządowe brały na to od niej pieniądze. Polski oddział Amnesty International organizował kampanię, by bojkotować referendum w sprawie nielegalnej migracji. Propagandą niszczył najbardziej demokratyczną instytucję, jaką mają do dyspozycji obywatele – możliwość bezpośredniego wypowiedzenia się w konkretnej sprawie. To niepojęte, że pozwoliliśmy, by zagraniczna, prowadzona przez cudzoziemców organizacja za pieniądze obcego rządu jawnie ingerowała w wybory Polaków.

Pieniądzy od obcego rządu brało Centrum Edukacji Obywatelskiej (CEO), które prowadziło agitację na

rzecz udziału w wyborach młodych i niezdecydowanych. Z pozoru rzecz neutralna, ale przygotowana przez CEO ankietą „Latarnik Wyborczy” mająca pomóc w decyzji, jak głosować, była skonstruowana tak, by odpowiedzieć, że na PO, Hołownię czy Lewicę. Nawet skrajnie niechętnie PiS OKO.press i TOK FM dostrzegły manipulację. Prezes CEO Jędrzej Witkowski tłumaczył, że „Latarnik” „ma takie proeuropejskie przechylenie”. Europejskie przechylenie za amerykańskie pieniądze.

Mamy własny rachunek spraw do rozliczenia, ale wskażmy też, że podobnych ingerencji w procesy polityczne USAID dopuszczała się np. na Węgrzech i w Mołdawii. Amerykanie byli na tyle bezczelni, że na stronach ambasady w Budapeszcie chwalili się wspieraniem opozycji. Administracja Bidena przeznaczyła 20 mln dol. na program „zjednoczenia Mołdawian wokół wspólnej europejskiej tożsamości – Moldova Resilience Initiative”. Komisji Europejskiej nie wypada wprost korumpować mołdawskich elit, by oddały kraj pod władztwo Brukseli, więc tę usługę pewnie wysłali do niej Amerykanie.

Dlaczego wspominamy o Węgrzech czy Mołdawii? Bo niepomierna korupcja polityczna, której dopuszczały się administracje Bidena i Obamy, działania KE bu-

rzę wiarę w spontaniczność procesów społecznych i politycznych w Europie. To nie nasze paranoje i teorie spiskowe o wpływie obcych rządów, tylko rzeczywistość. Nie da się już patrzeć na protesty na Węgrzech, Słowacji czy w Polsce bez myśli, iż wszystko jest/było sterowane, że to efekt manipulacji, działania obcych rządów i instytucji, jak KE. Do odkrycia pozostaje skala i skuteczność ingerencji. Ale dowiemy się, jakie były efekty spotkania Rafała Trzaskowskiego z szefową USAID w 2022 r. Ile pieniędzy dostał na wspieranie organizacji LGBTQ+, na ich niby-muzeum różnorodności płciowej i seksualnej. Na razie wiemy, że wydał na to razem 40 mln zł – 2,5 razy więcej niż na bezdomnych.

Jak w USA nadszedł czas rozliczeń, tak w Europie zbliża się on nieuchronnie. I my, w Polsce, także dowiemy się, kto komu i za ile nas sprzedawał. 

Czy sędziowie sparalizują rząd Trumpa?

Fundamentalny konflikt o to, co wolno, a czego nie wolno sędziom w polityce, tak dobrze nam znany z własnego doświadczenia, tym razem nie ominie również Ameryki



JAN ROKITA

Co prawda pomysł nie jest nowy, ale nowością ma być skala jego zastosowania. Każde rozporządzenie wykonawcze Donalda Trumpa zmierzające do wyraźniejszej zmiany dotychczasowej polityki jest teraz zaskarżane do sądu z żądaniem wydania tzw. tymczasowego nakazu o wstrzyma-

niu jego mocy. A najlepiej, jeśli pozwy zostaną złożone w różnych terytorialnie sądach, tak by nie jeden, ale wielu sędziów wydało niezależnie od siebie nakazy natychmiastowej blokady decyzji prezydenta.

Blokowanie decyzji rządowych tymczasowymi nakazami sędziów nawet niskiego szczebla, o ile są to sędziowie federalni, w przeszłości niejednokrotnie wpływało na zdolność rządu USA do prowadzenia polityki. Tym razem rzecz wygląda o wiele poważniej. Antytrumpistowska opozycja sprawdza bowiem w praktyce, czy w ustroju amerykańskiej republiki da

się sparaliżować władzę wykonawczą, o ile ma się właściwie ułożonych i politycznie dyspozycyjnych sędziów.

Nie upłynął nawet miesiąc od objęcia urzędu przez Trumpa, a jego rząd musi bronić nowego kursu amerykańskiej polityki w przeszło 50 poważnych procesach sądowych. Co istotne: liczba i zakres pozwów oraz oskarżeń rośnie każdego dnia w coraz szybszym tempie. Można zatem założyć, iż jeśli Trump nie ugnie się i nie zahamuje przyobiecane go w toku kampanii odwrócenia wektorów wielu kluczowych polityk rządowych, to za parę tygodni liczba pozwów i oskar-



zeń sądowych przeciw rządowi osiągnięć poziom trudny do kontrolowania dla administracji. Kolejne sprawy sądowe są wytaczane zarówno przez poszczególne stany, rządzone przez gubernatorów z Partii Demokratycznej, jak i przez najdziwniejsze, wypchnięte do tej roli grupy interesu.

POZWY ZA TYLKO DWIE PŁCIE

Np. w stanie Maryland nakaz blokujący moc rozporządzenia Trumpa, wedle którego tzw. 14. poprawka nie daje automatycznie obywatelstwa dzieciom nielegalnych imigrantów, nawet jeśli urodziły się one na terytorium USA, wydała 5 lutego tamtejsza sędzia federalna na żądanie tak dziwacznej grupy non-profit, jak Reprezentacja Kobiąt w Cięży Nieposiadających Dokumentów. Nietrudno się domyślić, że to anty-

trumpistowscy prawnicy w Maryland wypchnęli do takiej roli sądowej jakieś „turytstki porodowe”, których do Ameryki przybywa całe mnóstwo, tylko po to, aby za sowitą opłatą móc urodzić dziecko, które od razu dostanie amerykański paszport. Zresztą sędzia Boardman z Maryland nie była pierwszą, która obwieściła blokadę tego rozporządzenia. Przed nią nakaz sądowy w tej samej sprawie zaledwie trzeciego dnia po objęciu urzędu przez Trumpa zdążył już wydać w Waszyngtonie sędzia Coughenour.

Trzy dni później, 26 stycznia, sędzia O'Toole w Massachusetts zabronił stosować rozporządzenia Trumpa o dwóch płciach, skutkiem którego władze penitencjarne próbowały usunąć z kobiecych więzień hermafrodytów. W tej kwestii, a także w odniesieniu do zakazu przeznaczania środków rządowych na przeprowadzanie zabiegów zmiany płci, w szczególności dzieci, pozwy sypią się od tamtej chwili niemal każdego dnia. Bo też akurat ten element tzw. wojny o kulturę stał się w toku kampanii nerwalgicznej osią ideowego sporu republikanów i demokratów.

Na początku lutego rozwinął się także uboczny wątek sądowy tego sporu. Na polecenie Trumpa Ministerstwo Zdrowia usunęło bowiem rządowe strony internetowe, na których propagowano zmianę płci i ideologię gender. Akcja natychmiast napotkała na liczne pozwy, w efekcie których 11 lutego stołeczny sędzia Bates nakazał nie tylko ministerstwu, lecz także innym agencjom rządowym natychmiastowe przywrócenie w sieci wszystkich usuniętych stron w ich pierwotnym kształcie. Trudno nie odnieść wrażenia, iż w istocie chodzi tutaj o ośmieszenie nowego rządu, któremu nakazuje się propagować w sieci antywartości kategorycznie dezawuowane przez głowę państwa.

Z kolei 29 stycznia sędzia w Rhode Island zablokował decyzję Trumpa o czasowym wstrzymaniu przekazywanych stanom dotacji, tak by rząd USA mógł sprawdzić, czy są one zgodne z nowymi rozporządzeniami prezydenta.

Już kilka dni później okazało się, że ta sprawa ma daleko idące konsekwencje. Sędzia McConnell z Rhode Island, który wydał ów nakaz sądowy, oskarżył następnie prezydenta, iż ten nie zastosował się

wystarczająco do nakazu, aby „nie wstrzymywać, nie zamrażać, nie utrudniać, nie blokować, nie anulować i nie wygaszać” żadnych funduszy federalnych. A zaraz potem 22 prokuratorów generalnych ze stanów rządzonych przez Partię Demokratyczną wszczęło sprawę karną, której celem jest aresztowanie i skazanie na więzienie kierownictwa Biura Budżetowego Białego Domu za „obrazę sądu” i „złamanie konstytucji”. W tym przypadku politycy i media lewicy oskarżają prezydenta o podwójne złamanie konstytucji: raz – przez zawieszenie funduszy wynikających z ustawy budżetowej, dwa – za nieposłuszeństwo wobec nakazu sądowego. Kolejne postępowanie o impeachment (już trzecie w historii Trumpa) wisi tu jak na włosie, choć rzecz jasna do czasu wyborów w listopadzie 2026 r. lewica nie ma w Kongresie sił do przeprowadzenia takiego wniosku.

Wreszcie olbrzymia liczba pozwów dotyczy porządków i oszczędności, które Trump próbuje przeprowadzić wewnątrz samej administracji.

I tak 7 lutego stołeczny sędzia Nichols wstrzymał rozporządzenie prezydenta o wysłaniu na przymusowy urlop przeszło 2 tys. funkcjonariuszy USAID (czyli Agencji Pomocy Zagranicznej), która po kontroli DOGE (czyli nowo utworzonego Departamentu Efektywności Rządu) kierowanego przez Elona Muska została uznana za ośrodek finansujący lewicową propagandę, szkodliwy dla interesów USA, a na dodatek trwoniący większość funduszy na własny urzędniczy „metabolizm”. A trzy dni później wspomniany wcześniej sędzia O'Toole z Bostonu, szczególnie aktywny w politycznej walce z Trumpem, zawiesił rozporządzenie o przymusowych odprawach dla 2 mln urzędników federalnych, o których prezydent chce odchudzić administrację.

PRÓBY BLOKOWANIA MUSKA

Te procesy sądowe wiążą się oczywiście z działalnością Elona Muska i jego „genialnych chłopców” z DOGE, gdyż w zasadzie każda kontrola czy ingerencja tego nowego departamentu w zastany, inercyjny układ administracji wywołuje zaciepły opór, protesty i oskarżenia sądowe.

Pierwszy zakaz dostępu DOGE do danych finansowych gromadzonych w ministerstwach i agencjach rządowych wydała już 6 lutego w Waszyngtonie sędzia Kollar-Kotelly, a od tego czasu kolejne blokady i zakazy nakładane na departament Muska sypią się jak z rękawa w różnych sądach. Ta zorganizowana kampania sądowa przeciw misji, którą Trump zlecił miliarderowi, zmusiła ich obu do urzędowania w Gabiniecie Ovalnym spektakularnej konferencji prasowej. Musk w obecności zasiadającego przy biurku prezydenta wyjaśniał sens i celowość reform administracyjnych, które choć trochę przybliżyłyby ociężałą machinę biurokracji do stylu działania biznesu nastawionego na uzyskanie efektów (to ta konferencja, której obraz zdominował dłubiący w nosie i szepczący coś do Trumpa czteroletni syn Muska).

Jasno widać, że stawką tej wielkiej, dobrze zorganizowanej kampanii sądowej jest nie tylko zatrzymanie reform wdrażanych przez Trumpa i obrona za wszelką cenę *status quo ante* z czasów prezydentury Joe Bidena. Tym razem skala i zakres nakazów sądowych zmusza do postawienia pytania o to, czy jest możliwe unieruchomienie konstytucyjnego systemu władzy Stanów Zjednoczonych stworzonego dwa i pół wieku temu przez, przynajmniej to, nieco idealistycznych ojców założycieli.

Wiadomo, że w tym ustroju sądy były traktowane ze sporą dawką idealizmu jako ostoja sprawiedliwości i obrona przed niebezpieczeństwem opresji ze strony władzy politycznej, gdyż ojcowie założyciele Ameryki byli doskonale świadomi właśnie tego niebezpieczeństwa i obawiali się go w przyszłości. Nie przewidzieli, bo też pewnie nie mogli, iż tzw. rewolucja praw, która dokonała się w Ameryce w latach 60. XX w., uczyni z niektórych sędziów narzędzia forsowania lewicowej ideologii i agendy politycznej. Teraz Trump próbuje cofnąć ów proces, więc sędziowie w coraz większym stopniu biorą na siebie ciężar bezpośredniej walki politycznej z jego prezydenturą.

Oczywiście wszystko to dzieje się z jawnej inspiracji przywódców Partii Demokratycznej, którzy po przegranych wyborach w listopadzie 2024 r.

poza ostrą propagandą i polityczną aktywizacją sędziów nie mają innych ustrojowych narzędzi walki z rządem Trumpa. Zresztą przywódca demokratów w Kongresie, nowojorski poseł Hakeem Jeffries, przyznaje otwarcie, że chodzi tu o polityczną strategię Partii Demokratycznej. „Widzimy lawinę skandalicznych rozporządzeń prezydenta, która wywoła odpowiedź w postaci sprawiedliwych procesów sądowych” – mówi Jeffries. I dodaje: „Tę strategię będziemy kontynuować”.

A jego partyjny kolega ze stanu Maryland Jamie Raskin, skądinąd profesor prawa zasiadający w kongresowej Komisji Sądownictwa, nie zostawia wątpliwo-

26 stycznia w Massachusetts sędzia O'Toole zabronił stosować rozporządzenia Trumpa o dwóch płciach, skutkiem którego władze penitencjarne próbowały usunąć z kobiecych więzień hermafrodytów

ści co do politycznego zaangażowania partii w (jak to nazywa) „dodawanie odwagi sędziom”. Zapewnia: „Będziemy zaangażowani we wszystkie procesy i oczywiście robimy wszystko, co w naszej mocy, aby zabierać głos i dodawać odwagi sędziom, którzy to robią”.

„NADZWYCZAJNA KASTA”

W Ameryce szykuje się zatem ciekawa, a przede wszystkim ważna dla przyszłości całego Zachodu podwójna batalia.

Będziemy świadkami zalewu informacji na temat kolejnych przełomów w niezliczonych procesach sądowych, które muszą paraliżująco wpłynąć na merytoryczną aktywność rządu Trumpa. Można założyć, że jasnowłosa prokurator z Florydy Pamela Bondi, która od kilku dni stoi na czele federal-

nego resortu sprawiedliwości, będzie zmuszona przekształcić to ministerstwo w wielką kancelarię prawniczą zajmującą się obroną polityki rządu w setkach procesów sądowych w całym kraju. I wszyscy będą czekać na to, kiedy i które procesy dotrą w końcu do Sądu Najwyższego, w którym Trump ma przewagę 6:3 nad swymi lewicowymi przeciwnikami, co jednak wcale nie gwarantuje mu każdorazowego zwycięstwa.

Nie ma wątpliwości, że w takich kwestiach jak dwie płcie, cięcia administracji, prawa departamentu Muska czy obywatelstwo dzieci nielegalnych imigrantów rozstrzygnięcia Sądu Najwyższego będą koniecznością. I że będzie im towarzyszyć kulminacja politycznych namietności Amerykanów.

Ale to tylko jedna strona tej batalii. W amerykańskiej polityce po raz pierwszy nieuchronny staje się również ustrojowy problem nieodpowiedzialnie poszerzonej politycznej władzy sędziów. Pierwszy miesiąc urzędowania Trumpa unaoczniał fakt, iż skoordynowaną i zmasowaną akcją spolityzowanych sędziów można próbować sparaliżować prezydenta i jego rząd. Odkąd przeszło pół wieku temu sędziowie tak dalece poszerzyli sobie zakres władzy politycznej w USA za sprawą sławetnej „rewolucji praw”, taka sytuacja nie zdarzyła się w Ameryce. Walka lewicy z Trumpem stwarza ustrojowy precedens.

Sam prezydent, pytany ostatnio (podczas wspomnianej konferencji z Muskiem), czy podporządkuje się tymczasowym nakazom wydawanym przez sędziów, odpowiada: „Zawsze jestem posłuszny wyrokom sądowym”. Nie sposób dziwić się tej odpowiedzi, jeśli zważyć, jak głęboko w amerykańskiej kulturze politycznej tkwi zasada posłuszeństwa wobec sądu. Ale już bardziej krnąbrny i skłonny do konfrontacji wiceprezydent Vance mówi: „Sędziowie nie mają prawa nadzorować prawowitej władzy wykonawczej”. Widać więc jasno, że fundamentalny konflikt o to, co wolno, a czego nie wolno sędziom w polityce, tak dobrze nam znany z własnego doświadczenia, tym razem nie ominie również Ameryki.

Już pierwszego dnia urzędowania Donald Trump podpisał 100 dekrety dotyczących niemal wszystkich sfer życia publicznego. Szybkość i rozmach działania zszokowały zwłaszcza przeciwników prezydenta, którzy wciąż przypominają boksera nie mogącego ocknąć się po nokaucie, jakim były ostatnie wybory.

Zdezorientowani demokraci nie byli w stanie porozumieć się nawet przeciw jakimś decyzjom Białego Domu, powinni zaprotestować, ponieważ rozporządzeń wykonawczych nowej administracji było tak wiele. A za nimi każdego dnia szły nowe.

ZMIENIĆ PARADYGMAT MYŚLENIA

Dla uważnego obserwatora amerykańskiej sceny politycznej seria dekrety Donald Trumpa nie powinna być zaskoczeniem. W rzeczywistości konsekwentnie wciela on w życie plan zwany Projektem 2025, opracowany przez najbardziej wpływowy konserwatywny think tank w USA – The Heritage Foundation. Opracowanie tego dokumentu zapowiedziano już w styczniu 2023 r. z myślą o nowym prezydencie USA, a było to jeszcze zanim Trump uzyskał w wyborach nominację Partii Republikańskiej.

Prezentując zarysy Projektu 2025, Spencer Chretien, były wiceprezes fundacji, pisał: „Kiedy konserwatyści w końcu dostają się do administracji, często nie wiedzą, co robić ani jak skutecznie przejąć władzę. Przez dziesięciolecia, gdy lewica kontynuowała swój marsz przez amerykańskie instytucje, konserwatyści byli przez nią zdominowani i nie dorównali jej, jeśli chodzi o sztukę rządzenia. Jednym z powodów jest to, że republikański establishment nigdy nie wyszedł poza lata 80. Konserwatyści z Waszyngtonu nadal stawiają na pierw-

szym miejscu ekonomię podaż i wojowniczą politykę zagraniczną. Wiara w mały rząd, co dziwne, przejawiała się w przekonaniu niektórych konserwatystów, że powinniśmy świecić przykładem i nie obsadzać wszystkich stanowisk politycznych. Wiara w prymat państwa bezpieczeństwa narodowego spowodowała,

w końcu mechanizmy funkcjonowania różnych agencji federalnych i skompletowali odpowiedni personel. Jego zdaniem nowy prezydent z Partii Republikańskiej (ktokolwiek nim będzie) nie może popełnić takiego błędu i musi przejąć władzę, będąc do tego przygotowany. Dlatego The Heritage Foundation opracowała program dla przyszłego lokatora Białego Domu ze szczególnym uwzględnieniem tego, co republikańska administracja powinna zrobić w ciągu pierwszych 180 dni swojego urzędowania.

Rewolucja zdrowego rozsądku

Donald Trump chce skończyć z długim marszem lewicy przez instytucje i rewolucją kulturową. W związku z tym w Ameryce pojawiły się już plakaty z nowym znaczeniem skrótu LGBT: Liberty, Gun, Beer, Trump (Wolność, Broń, Piwo, Trump)



GRZEGORZ GÓRNY

wała, że konserwatywne administracje odkładały decyzje polityczne na rzecz generalów i społeczności wywiadowczej”.

Chretien zauważał, że wiele z najlepszych decyzji Trumpa miało miejsce dopiero w ostatnim roku rządów, gdy członkowie jego administracji rozgryźli

PRZETRACIĆ KREGOSŁUP „DÉEP STATE”

Twórcy dokumentu postawili sobie niezwykle ambitne zadanie. Ich zdaniem Stany Zjednoczone pozostaną niezdolne do utrzymania swej dominującej roli w świecie, dopóki w USA nie zostanie zahamowany długi marsz lewicy przez instytucje, a tym samym nie zostanie zatrzymana neomarksistowska rewolucja kulturowa, która rozkłada Amerykę od środka.

W tym celu autorzy Projektu 2025 zaangażowali grupę ponad 400 ekspertów z wielu dziedzin, by przygotować plan całościowych reform mających uzdrowić funkcjonowanie państwa. Dokument składa się z czterech elementów, z których kluczowy pozostaje pierwszy. Definiuje on zestaw liberalno-lewicowych ideologii (np. teoria gender, krytyczna teoria rasy, ideologia klimatyczna) jako jedną z głównych przyczyn kryzysu USA. Celem nowej administracji powinno być zatem złamanie hegemonii kulturowej środowisk, które szerzą owe ideologie w społeczeństwie. W pierwszej kolejności należy więc skasować wszelkie programy w rodzaju DEI (Diversity, Equity, Inclusion – różnorodność, równość, inkluzywność) czy ESG (Environmental,



Social, Governance – środowisko, społeczna odpowiedzialność, ład korporacyjny), a także zlikwidować urzędy federalne, które zajmują się wcielaniem w życie tego rodzaju pomysłów. Zmiana powinna objąć wszystkie instytucje, począwszy od rządowych departamentów po biblioteki korzystające ze środków publicznych. Zamiast tego zalecono działania na rzecz promowania tradycyjnej rodziny jako podstawowej instytucji społecznej.

Projekt 2025 przewiduje także deregulację i walkę z przerosniętą biurokracją, reindustrializację Stanów Zjednoczonych, m.in. poprzez powrót produkcji do USA, odejście od polityki klimatyzmu i nowego zielonego ładu oraz powrót do tradycyjnych źródeł energii, zwłaszcza gazu ziemnego, przywrócenie władzy obywatelom poprzez delegowanie uprawnień rządu ze szczególnej federalnego na poziom stanowy, obronę granic państwa i zahamowanie nielegalnej imigracji, ochronę konstytucyjnych swobód obywatelskich tłumionych przez polityczną poprawność itd.

Autorzy Projektu 2025 przewidywali, że próba wcielenia go w życie wywoła zdecydowany opór lewicowo-liberalnego establishmentu, dlatego program został rozbudowany o kolejne elementy. Drugim było stworzenie bazy danych wszystkich pracowników, którzy mogą objąć stanowiska w nowej administracji. Problemem poprzedniej ekipy republikańskiej w Białym Domu pozostawał bowiem opór i sabotaż ze strony „deep state”. Wiele pomysłów Trumpa było opóźnianych lub torpedowanych przez

wyższy i średni szczebel zarządczy, który pozostawał do niego nieprzychylnie nastawiony. Dlatego tym razem postanowiono nie popełnić tego błędu i wykorzystać kadry, do których Trump będzie miał zaufanie. Z podobnych powodów opracowany został trzeci element programu, czyli plan utworzenia Prezydenckiej Akademii Administracji, której celem będzie stworzenie nowej kadry urzędniczej dla przyszłych rządów.

Ostatnim elementem Projektu 2025 jest swoisty podręcznik zawierający plan działania dla republikańskiego prezydenta na pierwsze 180 dni jego urzędowania. Warto zaznaczyć, że nie jest to abstrakcyjny traktat, lecz bardzo szczegółowy instruktaż, w którym każda instytucja podlegająca rządowi posiada odrębny rozdział z rozpisaną listą celów do osiągnięcia i sposobów, w jaki należy to uczynić. To, co robi dziś Biały Dom, jest więc logiczną realizacją opracowanego wcześniej programu (nie bez znaczenia jest fakt, że jedną z osób, które firmowały Projekt 2025, był obecny wiceprezydent J.D. Vance).

ZŁAMAĆ MONOPOL INTERPRETOWANIA ŚWIATA

Dla Trumpa raport opracowany przez The Heritage Foundation był darem z nieba. Miał bowiem za sobą doświadczenie czterech lat rządów, podczas których spora część administracji była mu wroga, starając się za wszelką cenę zniweczyć jego plany. Konserwatywny publicysta David Samuels pisał: „Jak działał ten system, pokazała historia laptopa

Huntera Bidena, gdy działacze partyjni [Partii Demokratycznej – przyp. red.] zmusili 51 byłych wysokich rangą urzędników wywiadu i bezpieczeństwa rządu USA do podpisania listu, który niemal ogłosił, że laptop jest podróbką i częścią rosyjskiego spisku dezinformacyjnego – podczas gdy większość z tych urzędników miała bardzo mocne powody, aby wiedzieć lub wierzyć, że laptop i jego zawartość są prawdziwe. Ten list został następnie wykorzystany jako podstawa do ograniczenia i zakazu publikowania faktycznych raportów na temat laptopa i jego zawartości na platformach cyfrowych, z sugestią, że umożliwienie czytelnikom dostępu do tych raportów może być podstawą przyszłego oskarżenia o przestępstwo. Oczywiście żadna z tych cenzur nie była oficjalna: w Białym Domu był Trump, a nie Obama czy Biden. To pokazało, że prawdziwa władza, w tym władza kontrolująca funkcje państwa, znajdowała się gdzie indziej”.

W tym czasie Trump padł też ofiarą jednej z największych operacji dezinformacyjnych w historii USA, czyli Russiagate. W kampanię fałszywego oskarżenia go jako rosyjskiego agenta byli zaangażowani zarówno urzędnicy państwowi, jak i najbardziej opiniotwórcze media, zwłaszcza internetowe, posiadające dominującą pozycję w przestrzeni informacyjnej.

W tej sytuacji zwycięstwo Trumpa w ostatnich wyborach było możliwe tylko dzięki przełamaniu monopolu interpretowania świata w mediach społecznościowych. Nie doszłoby jednak do tego, gdy Elon Musk nie kupił Twittera



i nie zlikwidował liberalno-lewicowej cenzury, eufemistycznie zwanej „weryfikacją faktów”. Ten krok spowodował, że obóz Bidena i Harris stracił swą hegemonistyczną pozycję opiniotwórczą. Jedna szczelina w systemie wystarczyła, by nowy rodzaj ośrodka władzy stworzony za pomocą narzędzi cyfrowych za prezydentury Obamy został rozmontowany.

OBRONIĆ SIĘ PRZED WSZECHWŁADZĄ RZĄDU

Akces Muska do drużyny Trumpa to jedynie wierzchołek góry lodowej. W ceremonii zaprzysiężenia prezydenta wzięli udział tacy potentaci branży IT, jak Mark Zuckerberg (Meta), Jeff Bezos (Amazon), Sam Altman (OpenAI), Tim Cook (Apple) czy Sundar Pichai (Alphabet/Google). Z informacji, które dochodzą z oceanu, wynika, że najwięksi gracze Doliny Krzemowej masowo przechodzą na stronę republikanów. I wcale nie jest to proces, który zaczął się po ostatnich wyborach, lecz znacznie wcześniej. Już od jakiegoś czasu łącznikami między otoczeniem Trumpa a Silicon Valley byli tacy krezusi branży high-tech, jak Peter Thiel, David Sacks czy Marc Andreessen.

Ten ostatni w wywiadzie dla „The New York Times” rzucił nieco światła na kulisy tej zmiany. Opowiada, że 24 maja 2024 r. pojechał ze swym współlnikiem Benem Horowitzem do Waszyngtonu, gdzie spotkał się w Białym Domu z wysoko postawionymi osobistościami z najbliż-

szego otoczenia prezydenta. Dowiedzieli się wówczas od urzędników z wewnętrznego kręgu administracji, że podczas następnej kadencji Bidena zostanie

wdrożony program całkowitej kontroli nad sztuczną inteligencją. Usłyszeli: „Musimy mieć pewność, że AI będzie funkcją dwóch lub trzech dużych firm. Będziemy bezpośrednio regulować i kontrolować te firmy. Nie będzie żadnych start-upów. Cała ta sprawa, gdzie myślicie, chłopaki, że możecie sobie po prostu zakładać firmy, pisać kod i udostępnić ten kod w internecie – to już przeminęło. To się nie zdarzy”.

Andreessen wspomina, że był zszokowany. Zapytał współpracowników Bidena: „Szczzerze mówiąc, nie rozumiemy, jak zamierzacie kontrolować i zakazywać otwartego kodu źródłowego (open so-

Zmiany systemowe dokonywane przez republikanów mają duże szanse na sukces, ponieważ w przypadku oporu ze strony demokratów mogły liczyć na poparcie Sądu Najwyższego USA. Składa się on bowiem z dziewięciu członków, z których sześciu jest konserwatystami, a trzech liberałami

urce) AI, ponieważ to tylko matematyka i kod w internecie. Jak zamierzacie to kontrolować?”. Odpowiedź brzmiała: „Podczas zimnej wojny narzuciliśmy tajemnicę na całe obszary fizyki. Jeśli w przyszłości będziemy musieli to zrobić w przypadku matematyki lub sztucznej inteligencji, zrobimy to również”.

Andreessen i Horowitz wyszli z Białego Domu przygnębieni: „Powiedzie-

liśmy sobie: »O mój Boże, oni nas zabiją. Oni zabiją nasze firmy. Oni zabiją otwarty kod źródłowy (open source)«. A tak przy okazji, jeśli zabijesz oprogramowanie otwarte AI, to zabijesz również wszystkie badania akademickie, więc uniwersytety zostaną całkowicie wykluczone z obiegu. Tego dnia wyszliśmy, stanęliśmy na parkingu West Wing, spojrzeliśmy na siebie i powiedzieliśmy: »Tak, jesteśmy za Trumpem«.

Mark Andreessen zdawał sobie sprawę, że demokraci nie żartują i potrafią zniszczyć ludziom biznes. Widział, jak są w stanie posunąć się do gróźb i zastraszania całych branż, np. energetycznej, nękając je przez narzucanie wciąż nowych regulacji i surowe egzekwowanie kolejnych przepisów. Obserwował, jak rozprawiono się z całym pokoleniem twórców kryptowalut, które (łącznie z rodzinami) zostało poddane debankingowi. Wiedział, że „surowa autorytarna władza administracyjna” w następnej kolejności weźmie się za branżę AI.

W takim położeniu opowiedzenie się po stronie Trumpa kolejnych przedsiębiorców z Doliny Krzemowej było tylko kwestią czasu. To przestała być sprawa sympatii politycznych, a stało się być albo nie być. W sytuacji egzystencjalnego zagrożenia dla firmy nikt nie ogląda się na lewicowe programy ideologiczne – trzeba ratować biznes.

Zmiany systemowe dokonywane przez republikanów mają duże szanse na sukces, ponieważ w przypadku oporu ze strony demokratów mogły liczyć na poparcie Sądu Najwyższego USA. Składa się on bowiem z dziewięciu członków, z których sześciu jest konserwatystami, a trzech liberałami. Podczas swej poprzedniej kadencji Trump mianował trzech sędziów o chrześcijańskim światopoglądzie. Wszystkie były osobami stosunkowo młodymi, a ponieważ posada w tym gronie jest dożywotnia, mogą one zasiadać w owym gremium jeszcze przez 20–30 lat. Przede wszystkim jednak Trump ma obecnie olbrzymie poparcie społeczne, które daje mu mandat do przeprowadzenia daleko idących reform. Czy uda mu się zmienić Amerykę? Zobaczmy.



Albańska awantura

Według premier Włoch Giorgii Meloni centra azylowe w Albanii miały być „nową, odważną drogą” dla Europy. Na razie jednak świecą pustkami, bo sądy nie pozwalają na umieszczenie w nich nielegalnych migrantów



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

14 października 2024 r. z Libii wypłynęła łódź z 86 nielegalnymi migrantami na pokładzie. Po wielu godzinach na morzu zaczęła się niebezpiecznie przechylać. Tych, którzy nie utonęli, przejęła włoska straż przybrzeżna. 12 z nich zostało przewiezionych do nowo otwartego obozu dla azylantów w Albanii, gdzie ich wnioski o azyl miały być procedowane w przyspieszonym trybie. Ponieważ pochodzili z Bangladeszu i Egiptu, było jasne, że nie mają co liczyć na azyl we Włoszech i szybko zostaną deportowani. Ale te plany pokrzyżował sąd w Rzymie, który uznał, że kraje pochodze-

nia migrantów nie są „bezpieczne”, więc nie można ich tam odesłać.

Sąd powołał się przy tym na orzeczenie Trybunału Sprawiedliwości UE (TSUE), które zapadło zaledwie tydzień wcześniej. Zgodnie z nim dany kraj jest bezpieczny tylko wtedy, gdy na całym jego terytorium respektowane są prawa człowieka i nie istnieje ryzyko przesładowań. Orzeczenie TSUE dotyczyło konkretnego przypadku: migranta z Mołdawii, któremu odmówiono azylu w Czechach, ale sąd w Rzymie je podchwycił i uznał, że ani Egipt, ani Bangladesz nie spełniają wymaganych warunków. Migranci więc mają prawo do rozpatrzenia ich wniosków o azyl na terytorium Włoch.

Decyzja sądu rozżłościła rząd. Jak podkreślił minister sprawiedliwości Carlo Nordio, zadaniem wymiaru sprawiedliwości „nie jest określanie, czy dane państwo jest mniej lub bardziej bezpieczne”. „Jest to decyzja polityczna podejmowana na bardzo wysokim szczeblu” – dodał.

OSOBLIWA GRA W PING-PONGA

Był to bardzo bolesny cios dla premier Włoch Giorgii Meloni, która w 2023 r. zawarła umowę z władzami w Tiranie, na mocy której część osób próbujących przedostać się do Europy szlakiem śródziemnomorskim miała trafić do zbudowanych specjalnie w tym celu placówek w Albanii, w których można trzymać do 36 tys. osób rocznie. Dwa ośrodki – recepcyjny w porcie Shëngjin i detencyjny w położonym o 20 km w głąb lądu Gjadër – do dziś świecą jednak pustkami.

Na początku listopada ub.r. włoski rząd podjął drugą próbę i przeniósł siedmiu migrantów z Bangladeszu i Egiptu do Shëngjin. Kilka dni później sąd w Rzymie nakazał powrót całej siódemki do Włoch. Okręt zabrał ich do portu w Brindisi. Kolejna próba, już trzecia, nastąpiła w styczniu tego roku. Tym razem 49 migrantów trafiło do Gjadër. Ale także i oni nie gościli w Albanii długo. Pięć osób natychmiast

zawrócono do Włoch, bo były nieletnie, a jedną uznano za ofiarę handlu ludźmi. Pozostali – głównie mężczyźni z Bangladeszu, Egiptu, Gambii i Wybrzeża Kości Słoniowej – także wrócili do Włoch. 2 lutego po odpowiedniej decyzji sądu apelacyjnego w Rzymie straż przybrzeżna przywiozła ich do Bari. Przy akompaniamencie głośnych okrzyków: „Żadnych granic!” proimigracyjnych aktywistów. W osobliwej grze w ping-ponga między włoską władzą sądowniczą a wykonawczą ta pierwsza prowadzi na razie 3-0.

Ini nie chodzi tu o dobro nielegalnych migrantów, tylko o to, by osłabić prawicowy rząd złożony z Braci Włochów (Fratelli d'Italia), Lega Nord oraz Forza Italia, a w szczególności Meloni. Premier chciała bowiem, by układ z Albanią stał się wzorem dla całej Unii Europejskiej, gdzie od lat toczy się dyskusja nad „eksternalizacją” procedury azylowej, czyli przeniesieniem jej do krajów trzecich. W końcu „model albański” był nawet chwalony przez szefową Komisji Europejskiej Ursulę von der Leyen. Tyle że na razie projekt Me-

loni głównie generuje koszty: budowa ośrodków pochłonęła ponad 100 mln, a ich utrzymanie już ponad 500 mln euro.

O co chodzi sędziom, którzy wydali wyroki uniemożliwiające umieszczenie nielegalnych migrantów w Albanii, dobrze obrazuje e-mail, który Meloni opublikowała w mediach społecznościowych. Pochodzi on od sędziego Marca Patarnella, który pisze, że premier „jest gorsza od Berlusconi”, bo „działa z przekonania”, a „nie ma na koncie żadnych [prawnych] przewinień”. „Należy temu zaradzić” – stwierdza sędzia. Gazeta „Il Tempo” uznała, że „Meloni to wróg publiczny numer jeden sędziów”. A sama premier widzi w e-mailu Patarnella, który należy do lewicowego stowarzyszenia Magistratura Democratica, próbę ingerowania w politykę, czemu on sam zresztą stanowczo zaprzecza.

Opozycja skorzystała jednak z okazji, by uderzać w premier jak w bęben. „Meloni powinna podać się do dymisji” – powiedział mediom Elly Schlein, przywódczyni Partii Demokratycznej. Według niej

model albański „nie ma sensu”, tymczasem jego koszt „zbliża się do 1 mld euro”.

„Ośrodki detencyjne w Albanii działają całkowicie nielegalnie. Stanowią porażkę polityki migracyjnej realizowanej przez rząd Meloni” – zaznaczył także Riccardo Magi z liberalnej partii Więcej Europy.

MNIEJ ŁODZI

Tyle że z tą porażką to nie do końca prawda. Gdy Meloni obejmowała urząd w październiku 2022 r., do włoskich plaż dotarło 105 tys. migrantów, a w 2023 r. napływ był jeszcze większy – 157 tys. osób przedostało się przez Morze Śródziemne z Afryki Północnej.

Jednak do końca 2024 r. przybyło już tylko 66 tys. migrantów, co stanowi wielką redukcję w porównaniu z poprzednimi dwoma latami. W styczniu Frontex, europejska agencja ochrony granic, poinformowała, że liczba osób, którym w ub.r. udało się przedostać przez Morze Śródziemne z Tunezji i Libii, spadła o 59 proc. w porównaniu z 2023 r.

REKLAMA

PIĄTEK **21** lutego



**Świętuj z telewizją
wPolsce 24**

**Nagraj filmik, na którym
czytasz swój ulubiony
fragment polskiej literatury
lub hymn**

Nagranie prześlij na adres:

info@wpolsce24.tv

**Pierwsze 30 osób otrzyma
od nas upominek!**

Partnerem akcji jest **FUNDACJA STEFCZYKA**

Jak Meloni tego dokonała? Włochy przyjęły model turecki (pieniądze za powstrzymywanie przemytników) i zastosowały go w Afryce Północnej, przekazując setki milionów euro „pomocy rozwojowej” Tunezji i Libii. Jak pisze francuski dziennik „Le Monde”, koncepcja „rozszerzonego” Morza Śródziemnego jest powszechna we włoskim myśleniu geopolitycznym obejmującym Afrykę Północną i Sahel jako strefę interesów strategicznych. Meloni podchwyciła tę ideę, twierdząc, że Włochy muszą wypełnić misję wynikającą z ich położenia geograficznego: stać się europejskim mostem na południe. Formuła łącząca kontrolę nielegalnej migracji i pomoc dla państw afrykańskich została nazwana planem Mattei w hołdzie założycielowi włoskiego koncernu węglowodorowego ENI, który nad Tybrem jest symbolem działań sprzyjających emancypacji krajów Trzeciego Świata.

„Skupienie się na kwestiach migracji leży u podstaw afrykańskiej misji, w którą Meloni jest osobiście zaangażowana i która ma pomóc zapewnić Włochom należnego im miejsca w Europie” – czytamy na łamach gazety. Tyle że, jak argumentują krytycy włoskiej premier, gdy w 2023 r. do Włoch trafiło ponad 150 tys. migrantów, Meloni rządziła już od roku. Sukces jest więc co najwyżej połowiczny. A model pieniędzy za powstrzymanie migracji tylko otwiera Europę na szantaż ze strony państw Afryki Północnej. Zachwyt w UE nad modelem albańskim także nieco przygasł.

TEORIA A PRAKTYKA

Według Kacpra Kity z Nowego Ładu, autora książki „Jestem Giorgia”, autobiografii włoskiej premier, sędziowie we Włoszech są bez wątpienia „spolityzowani”. – Włochy mają długą tradycję sędziów angażujących się politycznie. Prawica mierzyła się z tym wielokrotnie, także pod rządami Silvia Berlusconi – podkreślił Kita w rozmowie z tygodnikiem „Sieci”. Według niego to jednak tylko część problemu. – Kolejnym jest to, że

przez długie lata, właściwie od początku swojej kariery politycznej, Meloni mówiła o powstrzymaniu imigracji poprzez blokadę na morzu. Budowała na tym swoją tożsamość. Odkąd doszła do władzy, odkryła, że łatwiej to powiedzieć, niż zrobić. Nie ma więc blokady morskiej, a jej ton w sprawie migracji znacznie złagodniał – przekonuje ekspert. Dodał, że państwa europejskie nie chcą się angażować w siłowe blokowanie migrantów na morzu,

Włochy przyjęły model turecki (pieniądze za powstrzymywanie przemytników) i zastosowały go w Afryce Północnej, przekazując setki milionów euro „pomocy rozwojowej” Tunezji i Libii. Ale model pieniędzy za powstrzymanie migracji otwiera Europę na szantaż ze strony państw Afryki Północnej

a Meloni obawia się konfrontacji z UE, prezydentem Sergiem Matarellą oraz włoskim „deep state”. Chce także zachować umiarkowanego wyborcę centrum. Co się za tymczy modelu albańskiego, to on zdaniem Kity jest nieco kłujący. – Zgodnie z prawem europejskim migranci muszą być wypuszczani z tych centrów po 12 miesiącach. Meloni wydłużyła ten okres do 18. Ale nie ma ich dokąd deportować, więc to niewiele zmienia. Ponadto ich pojemność jest mała. W praktyce mówimy więc o kilku tysiącach osób rocznie – uważa ekspert. Jego zdaniem na razie Meloni jest w stanie skutecznie utrzymywać poparcie wyborców mimo tych niedociągnięć. – Wynika to ze słabości alternatywnych opcji prawicowych. Matteo Salvini z Lega Nord był już u władzy, a w 2019 r. wysadził się spektakularnie z siodła. On nie zdobędzie wyborców dla prawicy. Tymczasem Meloni utrzymuje popularność, bo daje Włochom poczucie stabilności. Przez ostatnie 11 lat, odkąd

Berlusconi został obalony przez Merkel i Sarkozy’ego, rządy zmieniały się nader często. Teraz jest stabilnie, a wyniki gospodarcze nie są złe – podkreśla Kita.

STRAŻNICY PORZĄDKU

Meloni robi zresztą, co może, by uratować „model albański”. Rząd zaktualizował listę krajów, które Włochy uważają za bezpieczne do repatriacji, zmniejszając ich liczbę z 22 do 19. Jak powiedział włoskim mediom minister spraw wewnętrznych Matteo Piantedosi, w przyszłości w albańskich obozach będą mogli przebywać migranci, których wnioski o azyl zostały już odrzucone na włoskiej ziemi. Ale druga strona także się nie poddaje. W grudniu o weryfikację legalności listy bezpiecznych krajów trzecich sporządzonej przez włoski rząd poproszono Sąd Najwyższy oraz TSUE, którego orzeczenie w tej sprawie ma zapaść 25 lutego. Do tego czasu ośrodki w Albanii będą zapewne świeciły pustkami. To przeciąganie liny między sądami a rządami staje się zresztą motywem przewodnim problemów imigracyjnych Europy. Zachodni przywódcy coraz częściej przeciwstawiają się „prawom człowieka”, aby honorować demokratyczne mandaty udzielone im przez wyborców, którzy chcą redukcji napływu nielegalnych migrantów. Jak pisze dziennik „The Daily Telegraph”, były premier Wielkiej Brytanii Rishi Sunak chciał przeforsować wysyłanie migrantów do Rwandy, nawet jeśli oznaczałoby to ignorowanie orzeczeń Europejskiego Trybunału Praw Człowieka (ETPC). Francja jest znana z lekceważenia decyzji tego trybunału, szczególnie w sprawach o deportację.

Duża część kontroli sądowych, w ramach których kwestionują one politykę rządów w Europie, skupia się więc obecnie na sprawach dotyczących migracji i azylu. Sędziowie często przyjmują rolę obrońców „międzynarodowego porządku” i „uniwersalnych wartości” w przeciwieństwie do ich zdaniem nieuzasadnionych „narodowych” interesów danych krajów i społeczeństw. Rzuca to wyraźny cień na kształtującą się obecnie politykę migracyjną i azylową kontynentu, gdzie rządy, jak choćby niemiecki, prą do wyraźnego zwiększenia liczby deportacji. Przy takim podejściu sądów, które uznają, że nie ma w zasadzie państw bezpiecznych, repatriacje stają się bardzo trudne.



Fot. KPRM



MACIEJ WOŚKO

Plan gospodarczy, którego nie ma

To miał być niezwykle dzień na Giełdzie Papierów Wartościowych w Warszawie. Dzień, na który czekaliśmy od 14 miesięcy. Dzień, w którym premier i minister finansów przedstawia założenia wyczekiwanego planu gospodarczego. Niektórzy liczyli nawet na jakieś zręby strategii gospodarczej. Inni, jak choćby przedsiębiorcy z Lewiatana, życzymy się, że nikt im nie powiedział, że taki plan powstaje, bo chętnie włączyliby się w jego tworzenie

Konferencję pod hasłem „Polska. Rok przełomu”, na której w poniedziałek 10 lutego zgromadzono przedstawicieli przedsiębiorców z kilku organizacji branżowych i samorządów gospodarczych, wszyscy oglądali z nadzieją. Z naiwną wiarą, że oto premier obróci w pył wszystkie złośliwo-

ści na temat chaotycznego zarządzania polską gospodarką, odparuje zarzuty, że rząd nie działa, bo brak mu strategii albo gorzej – plan gospodarczy jest na bieżąco pisany w Berlinie i Brukseli. Bo przecież, jak sam zaczął Donald Tusk (choć w nieco innym kontekście): „Wszyscy czekaliśmy na dobre wieści. Wszyscy

czekaliśmy z takim utęsknieniem na ten wielki zastrzyk energii ludzi, którzy wierzą we własne siły i własne możliwości...”

Wygląda jednak na to, że przyjdzie nam jeszcze poczekać. Przynajmniej na konkrety lub konkrety w strategii gospodarczej rządu, czegoś, co dałoby się ostatecznie nazwać government policy.

CHROBRY BYŁ DOBRY

Zaczął się, jak na magistra historii przystało, od nieco naciąganych analogii historycznych związanych z jubileuszem tysiąclecia koronacji Bolesława Chrobrego. Jak w licealnej rozprawce, premier zawiesił więc na królu swoje wystąpienie. Bo Chrobry był do tego dobry.

„Chodzi o to, żeby wrócić do tej wielkiej odwagi, do tego wielkiego marzenia, jakie cechowało wówczas, 1000 lat temu, Bolesława Chrobrego i żeby na nowo uwierzyć w coś, co jest możliwe, w coś, co jest w zasięgu ręki, coś, co tak naprawdę w decydującej mierze zależy od nas samych, od was tutaj zgromadzonych” – mówi premier, przedstawiając założenia „Przełomu 2025 roku”. „Ambitna nazwa, ale uzasadniona. Trochę wzorem Bolesława Chrobrego postanowiliśmy, i to jest chyba nasze takie narodowe, wzajemne zobowiązanie, rozpocząć nowy etap. Do tej pory marzyliśmy o tym, żeby doganiać najbardziej rozwinięte kraje, żeby doganiać najzamożniejsze społeczeństwa. A dzisiaj chyba jest ten moment, kiedy możemy powiedzieć, że to jest możliwe, żeby przegonić tych, którzy jeszcze stosunkowo niedawno patrzyli czasami na nas trochę z góry, trochę ze współczuciem, często z solidarnością. Dzisiaj to światło w Europie jest widoczne głównie stąd, z Warszawy, z Polski, z każdej polskiej firmy, z każdego polskiego domu”.

Może i w formie wyglądało to na rozbudowany wstęp, inwokację niemal, więc naiwni oczekiwali wciąż na kulminacyjny zwrot akcji i konkrety. Tymczasem...

„Rok przełomu to prosta strategia, właściwie najprostsza z możliwych. To są inwestycje, inwestycje, inwestycje. I te inwestycje już są faktem” – usłyszeliśmy od premiera. I nagle jest konkret! „Polsce inwestycje w 2025 r. to będzie ponad 650 mld zł. Jesteśmy przekonani w rządzie, że to ostrożny szacunek, dzisiaj właściwie mógłbym tutaj przed państwem powiedzieć, że będzie bliżej 700 mld niż 650 mld. I to jest rekordowa kwota, takiej nie było jeszcze w historii polskiej gospodarki”.

NIE TAKI REKORD, O JAKIM MARZY TUSK

650 mld zł na inwestycje? Podobnie jak nawiązanie do Chrobrego, może to wy-

gląda dobrze w tytułach relacji prasowych. Gorzej, gdy przyjrzymy się faktom. Rzekomo rekordowe nakłady na inwestycje w tym roku kontrują ekonomiści, a były premier Mateusz Morawiecki wprost mówi o maskaradzie.

– Tusk ogłasza „przełom”, ale liczby mówią coś innego. 16,7 proc. PKB na inwestycje to najgorszy wynik od 30 lat. 650 mld zł? To nie pieniądze rządu, ale suma wszystkich inwestycji, także prywatnych, czyli tak, jakby burmistrz miasta chwalił się, że „zainwestował” wszystko, co mieszkańcy wydali na zakupy i remonty. W rzeczywistości rząd nie przedstawił żadnej strategii – poza PR-ową maskaradą, w której próbuje sprzedać stare projekty jako nowe, a rekordowo niski poziom inwestycji jako sukces – ocenia Morawiecki.

Podobne komentarze studzą zapal tych, którzy próbują chwalić „przełom” Tuska. „To nie jest konferencja dla ekonomistów, tylko wiec wyborczy” – można przeczytać na platformie X. Zaskoczony deklaracją premiera wydaje się także ekonomista prof. Marcin Piątkowski, ekspert Banku Światowego, który pisze: „Ale 650 mld zł inwestycji to raptem ok. 16,5 proc. PKB w 2025 r., mniej niż wcześniej”.

Główny ekonomista Konfederacji Lewiatan Mariusz Zielonka wyliczył, że deklarowane 650–700 mld zł nakładów inwestycyjnych nie odbiega od tego, co rokrocznie wydają w Polsce państwo i inwestorzy, a przedstawiony plan nie zawiera konkretów, „ani na co te środki zostaną wydatkowane, ani skąd je dokładnie pozyskamy”.

ENERGIA UKRYTA W LUDZIACH

Po nietrafionej deklaracji premiera o rekordzie w nakładach inwestycyjnych było już tylko coraz bardziej memicznie. Trzeba oddać, że Tusk jednym tchem wymienił jeszcze podstawowe cele inwestycji, a zatem bezpieczeństwo, energię, sprawną logistykę, infrastrukturę oraz inteligentną, „sprytną” – polskie słowo nie jest najlepsze – wyjaśnił premier – Anglicy mówią „smart gospodarka”.

„To wszystko wymaga uwolnienia energii, bo kiedy mówimy, że potrzebujemy bezpieczeństwa i energii, to mówimy nie tylko o tej energii, która płynie z elektrowni, którą dają wiatraki,

fotowoltaika, mówimy też o energii ukrytej w ludziach. Czasami właśnie ukrytej i dlatego słowem kluczem dzisiaj są nie tylko bezpieczeństwo i energia, lecz także deregulacja” – stwierdził Tusk.

Trzeba też oddać premierowi, że po raz pierwszy od 14 miesięcy padła z jego strony tak jasno sformułowana myśl o znaczeniu realizowanego przez osiem lat rządów PiS i dziesięcioleciu prezydenta Andrzeja Dudy projektu geopolitycznego na osi północ-południe. Jak wyjaśnił premier, to oś „kluczowa ze względu na polskie bezpieczeństwo”.

Itu nie da się uniknąć pytania o polskie porty. Tusk zatem wyjaśnia, że „od tego zależy kondycja wielu firm i możemy liczyć na trzykrotny wzrost przeładunków w polskich portach do 2030 r.”. Deklaracja piękna. Tyle że bez natychmiastowych inwestycji w portach w Trójmieście, a zwłaszcza w porcie Szczecin-Świnoujście, nie wspominając o Elblągu, bez rozbudowy drogi podejściowej i użegłowania Odry to opowieść warta tyle, co słaby publicystyczny bon mot.

„Po co nam porty, jeśli nie będziemy mogli do nich skutecznie przewieźć towarów?” – pytał premier. I natychmiast udzielił odpowiedzi: „Do roku 2032 – 7 lat, tak, 7 lat, szczęśliwa siódemka – zainwestujemy w polską kolej 180 mld zł. Łapię się za głowę, bo to naprawdę robi wrażenie i to nie jest inwestycja odłożona w czasie. Te inwestycje już się zaczęły, trwają i m.in. zadaniem będzie też umożliwienie budowy zarówno elektrowni jądrowej – tam, na północy, jak przede wszystkim obsługę portów i uczynienie tej osi, która jest wielką szansą dla Polski” – wyjaśnił premier, choć budowa tzw. suchego portu w Małaszewiczach, kluczowej inwestycji dla transportu kolejowego, utknęła w biurokratycznym gąszczu związanym m.in. z brakiem decyzji o przejęciu CARGOTOR przez PKP PLK, o co od miesięcy zabiegają samorządowcy i eksperci. Jeśli jednak ktokolwiek spodziewał się w „strategii” konkretnego zapewnienia, że powstanie centrum przeładunkowe na wschodniej granicy, to na razie musi zadowolić się „faktami inwestycyjnymi pełną gębą”: „Dlatego te inwestycje w infrastrukturę kolejową, ale przecież także w infrastrukturę drogową, także w centralne lotnisko, stają się dokładnie w 2025 r. pełną gębą

takim faktem inwestycyjnym i o tym też mogą z dumą państwu zameldować” – chwalił się Tusk w „roku przełomu”.

TEN PAN NAPISZE PROGRAM

Oddajmy głos premierowi, by wyczuć ten specyficzny klimat panujący na GPW w miniony poniedziałek, bo Tusk do perfekcji opanował operowanie okrągłymi zdaniem, z którymi właściwie trudno się nie zgodzić, a z których niewiele wynika. Chociaż... może chodzi o to, że premier tylko ogłasza ten przełom, a wszystko pozostaje w rękach towarzyszy i towarzyszek?

„Kiedy mówimy o energii, to mówimy też o uwolnieniu energii ludzi, od których zależy nie tylko wzrost, lecz także dobrobyt w każdym polskim domu, czyli o was, o przedsiębiorcach i menedżerach, o tych, którzy mają kilkusobową firmę, o tych, którzy prowadzą gospodarczą działalność jednoosobową po największe firmy i giganty, spółki skarbu państwa. To właśnie od was będzie zależało, czy ta wielka wizja, ten inwestycyjny przełom stanie się faktem. W 100 proc. to od was zależy, czy Polska rzeczywiście nie tylko dogoni, ale przegoni niektóre państwa Zachodu, które były symbolem dobrobytu, wzrostu gospodarczego i sukcesu. Oczywiście jeśli mówimy o tej energii, która drzemie w ludziach, to musimy mocno podkreślić jedną rzecz: deregulacja!” – i to słowo ożywiło cały hol na GPW. A premier kontynuował: „Ja oczywiście mam już trochę dosyć, bo od wielu, wielu miesięcy słyszę te dość buńczuczne wezwania deregulacyjne i musimy przejść od sloganów do bardzo konkretnych decyzji. Deregulacja jest warunkiem *sine qua non* tego sukcesu inwestycyjnego, a także zdolności konkurencyjnych Polski w Europie i Europy z całym światem”.

To co? Pomożecie? – aż chciałoby się zapytać, jak Edward Gierek pytał niegdyś lud robotniczy. I Tusk też zapytał. Tyle że siedzącego w pierwszym rzędzie Rafała Brzosi, założyciela i prezesa InPostu.

„Ma pan tutaj kapitalnych towarzyszy i towarzyszek, ja mogę tutaj złożyć bardzo serio zobowiązanie: jeśli przygotujecie i tutaj wiecie, to jest gra na czas, znacz-

z czasem, właśnie nie na czas... więc, gdyby się pan np. zechciał zobowiązać razem z gromem tych, którzy by chcieli panu pomóc, gdybyście przygotowali możliwie szybko rekomendacje do zmian. [...] Chciałbym, żeby to były działania dokładne i precyzyjnie opisane przez takich ludzi jak wy, a nie przez urzędników [...]. Przepraszam, że może stawiam pana w trudnej sytuacji, panie Rafale, ale co, bierze pan to? Nie wiem, czy będzie pan tego żałował, ale usłyszałem »challenge accepted«, czyli wyzwanie przyjęte”.

BĘDZIE „SPRAWDZAM”

Wezwanie Rafała Brzosi do spisania przepisów deregulacyjnych wraz z „to-

Tusk ogłasza „przełom”, ale liczby mówią coś innego. 16,7 proc. PKB na inwestycje to najgorszy wynik od 30 lat. 650 mld zł? To nie pieniądze rządu, ale suma wszystkich inwestycji, także prywatnych – mówi Mateusz Morawiecki

warzyszami i towarzyszkami” okazało się kulminacyjnym momentem „strategii” Tuska. Na nic były padające potem zakłęcia o powołaniu Rady Przedsiębiorczości i wezwania do rozprawiania się z korupcją.

Ostatecznie to właśnie przekazanie Brzosce „stanowiska” głównego deregulatora polskich przepisów gospodarczych stało się centralnym punktem zapowiadanego planu gospodarczego rządu. Sam szef InPostu, który jest symbolem biznesowego sukcesu, przyjął zaproszenie premiera, tak komentując to na platformie X: „Na konferencji rzucono mi rękawicę – podejmuję wyzwanie. Premier postawił sprawę jasno: »Chciecie deregulacji? To ją proponujecie w konkretach«. I tak właśnie zrobimy. Od dawna podkreślam, że kajdany regulacji – zarówno euro-

pejskich, jak i krajowych – ograniczają konkurencyjność polskiej gospodarki. Nie możemy się rozwijać, inni nas wyprzedzają. Czas działać. [...] Dość obietnic pod hasłem »deregulacja«. Przyszł czas na »sprawdzam«”.

SHOW MUST GO ON

O komentarz poprosiliśmy Mateusza Morawieckiego, który był przecież autorem udanej i skutecznie wprowadzanej „Strategii na rzecz odpowiedzialnego rozwoju” – programu gospodarczego, dzięki któremu polska gospodarka nie tylko uniknęła „pułapki średniego rozwoju”, lecz także pokonała pandemię i kryzys energetyczno-wojenny z całkiem

dobrym wynikiem gospodarczych wskaźników.

– Deregulacja w wydaniu Tuska? Nie plan, nie konsultacje z przedsiębiorcami, tylko PR-owy happening i wrzucenie odpowiedzialności na jednego biznesmena. To jakby rząd zapowiedział reformę służby zdrowia, a potem ogłosił, że zajmie się nią Jerzy Owsiak. Deregulacja to poważny temat, wymagający systemowej zmiany przepisów, a nie konferencyjnego show. Ale ten rząd zamiast działać woli przekazywać obowiązki innym i robić sobie zdjęcie – mówi nam Morawiecki, który zasugerował Rafałowi Brzosce, że jest gotów włączyć się w pracę z przedsiębiorcami.

„Z przyjemnością się spotkam ze środowiskiem biznesowym i dołączę do tej inicjatywy [...]” – napisał były premier na platformie X.

Przez wiele dni po konferencji na GPW nie milkły echa zaskakującej nominacji szefa InPostu, w których poza wspomnieniem powołanej w czasach poprzednich rządów Donalda Tuska komisji „Przyjazne państwo” powierzono wówczas innemu biznesmenowi, Januszowi Palikotowi, prym wiodły porównania polskiego miliardera do Elona Muska w administracji Trumpa.

Dwa dni po konferencji premiera w mediach pojawiła się informacja o danych Eurostatu, z których wynika, że oto Rumunia wyprzedziła Polskę pod względem PKB na mieszkańca z uwzględnieniem parytetu siły nabywczej.

Wojna palikowa, czyli jak Kaszubi chcieli do Polski

Kiedy w 1920 r. na wschodzie Wojsko Polskie walczyło z bolszewicką nawałą, na Zachodzie rozstrzygał się kształt nowej polsko-niemieckiej granicy. Mało kto wie, że Kaszubi do ostatnich chwil walczyli, by jak największa część Pomorza została przyznana II Rzeczypospolitej



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

16 lutego 1920 r. w okolicy jeziora Gwiazda miało się odbyć spotkanie przedstawicieli stron polskiej i niemieckiej w celu wytyczenia linii granicznej między państwami. Kilka dni wcześniej ks. Bernard Gończ wezwał z kościelnej ambony w Borowym Młynie do powszechnego uczestnictwa w tym wydarzeniu. Miejscowi Kaszubi nie mieli zamiaru patrzeć, jak przecina się ich region granicą na pół.

RADY LUDOWE

W listopadzie 1918 r., gdy w Niemczech wybuchła rewolucja, a I wojna światowa dobiegła końca, w całym zaborze pruskim zaczęło wrzeć. We wszystkich ośrodkach zamieszkałych przez Polaków zaczęły powstawać rady ludowe, które stały się ośrodkami skupiającymi niepodległościową działalność Polaków w upadającym cesarstwie.

Jednym z największych przejawów tej aktywności był Sejm Dzielnicowy, który zebrał się w grudniu 1918 r. w Poznaniu. Do stolicy Wielkopolski zjechało ponad 1,4 tys. polskich delegatów z Pomorza, Śląska, Mazur czy nawet z Nadrenii. Bardzo ważnym efektem obrad było utworzenie



Podkomisariatu Naczelnej Rady Ludowej w Gdańsku ze Stefanem Łaszewskim na czele. Wkrótce tysiące Pomorzan wzięło udział w rozpoczętym 27 grudnia 1918 r. powstaniu wielkopolskim. To samo dotyczyło trzech kolejnych powstań śląskich.

Na przełomie 1918 i 1919 r. konspiratorzy z Pomorza rozpoczęli przygotowa-

nia do przejęcia tych ziem przez Polskę. Rozpatrywano nawet możliwość wzniecenia insurekcji. Niemcy, chcąc zdusić polski ruch narodowy, odpowiedzieli trwającymi kilka miesięcy szykanami i represjami.

W międzyczasie pod Paryżem debatowano na temat powojennego kształtu

Europy, także przyszłości Pomorza. Rozmowy zakończyły się podpisaniem 28 czerwca 1919 r. traktatu wersalskiego. Na jego mocy Polska otrzymała część dawnych Prus Zachodnich, Prus Królewskich i 140-km pas wybrzeża. Polakom zagwarantowano także wpływ w utworzonym Wolnym Mieście Gdańsku. 25 listopada 1919 r. podpisano z Niemcami porozumienie, które obejmowało etapowy harmonogram przejścia Pomorza przez Polskę. Zadanie to powierzono Frontowi Pomorskiemu, którego dowódcą został gen. Józef Haller. Od połowy 1919 r. działała także Międzynarodowa Komisja Graniczna w Poznaniu, której zadaniem było wytyczenie nowej granicy państwowej.

Ludową i wybrano delegata na Sejm Dzielnicowy do Poznania. Po pewnym czasie w Brzeźnie sformowano oddział zbrojny, któremu udało się rozbroić miejscowy oddział niemieckiego Grenzschutzu. Okupant błyskawicznie przysłał posiłki, które spacyfikowały polską jednostkę.

Wiosną 1919 r. na wieść o tym, że okolica ma zostać przyznana Niemcom, przedstawiciele Gochów wysłali do Paryża dokumenty z postulatami przyłączenia ich regionu do Polski. Tak samo uczynili Polacy w innych częściach Kaszub, m.in. przedstawiciele Konarzyn. Nie powstrzymało ich nawet aresztowanie przez Niemców miejscowego przewodniczącego Rady Ludowej ks. Alfonsa Wacława Schulza.

POMORZE W POLSKICH RĘKACH

Przejmowanie pomorskich terenów rozpoczęto 17 stycznia 1920 r., siedem dni po ratyfikacji traktatu wersalskiego przez Niemców. W odezwie do mieszkańców Pomorza gen. Józef Haller obwieszczył: „Po blisko 150 latach niewoli nadeszła chwila wyzwolenia – wkraczające Wojsko Polskie dokonuje przyłączenia tych ziem do państwa polskiego. Jako wódz armii, której przypadło w udziale szczęście dokonania tego uroczystego i historycznego aktu, witam was przepelnionym radością sercem”. 18 stycznia zajęto Toruń, a dwa dni później Bydgoszcz. Polska ludność z ogromną radością witała wojsko idące aż po brzeg Bałtyku. 10 lutego odbyły się uroczyste zaślubiny Polski z morzem.

31 stycznia 59. Pułk Piechoty Wielkopolskiej wkroczył do Chojnic. Najprawdopodobniej żołnierze tej jednostki 2 lutego w godzinach popołudniowych niespodziewanie weszli do położonej w Gochach Upilki. Na widok białych orzelków na rogatywkach mieszkańcy zgotowali przybyšom gorące powitanie. Wojsko ruszyło dalej, do Borowego Młyna, gdzie trwająca w lokalnej karczmie zabawa szybko przerodziła się w manifestację patriotyczną. Borowianie, ciesząc się widokiem żołnierzy w polskich mundurach, gorączkowo wypytывali o dokładny przebieg przyszłej granicy.

Podniosły nastrój szybko popsuła rosnąca obawa przed reakcją Niemców na nieoczekiwane pojawienie się Wojska Polskiego w Borowym Młynie. Nieopodal w miejscowości Wierzchocin stacjo-

nował oddział Grenzschutzu, który miał nie dopuścić do jakichkolwiek wystąpień niepodległościowych wśród miejscowej ludności. Po krótkiej naradzie zdecydowano o rozbrojeniu Niemców. Polski oddział liczył jedynie 11 żołnierzy, był więc licznie słabszy od przeciwnika. Postanowiono wykorzystać element zaskoczenia i wsparcie miejscowej ludności. Polacy wzmocnieni ochotnikami z okolicy podeszli pod wieś, a następnie rozbroili niczego niespodziewający się oddział Grenzschutzu. Zaskoczeni Niemcy nie widzieli sensu walki, więc złożyli broń. Wziętych do niewoli żołnierzy umieszczono w karczmie, a następnie wystawiono posterunki w okolicy.

Taki stan rzeczy trwał trzy dni. Dowództwo rozkazało wypuścić jeńców, oddać im broń, a następnie wycofać się ze wsi. Kontrolę nad okolicą ponownie przejął Grenzschutz. To wtedy okazało się, że Wierzchocina, jak i cała okolica miała pozostać po niemieckiej stronie granicy. Poza Polską miały się ponadto znaleźć Brzozowo, połowa Upilki, Pietrzykowo, Kiełpin, a także znaczne obszary lasów i łąk (Rosochy), które od zawsze służyły jako pastwiska i zapewniały siano większości wsi na Gochach. Wzburzenie i rozczarowanie miejscowych było ogromne, w tamtym momencie nikt nie spodziewał się takiego obrotu spraw. Okazało się, że na nic się zdały pisma wysyłane do Paryża, skoro wprowadzono tak niesprawiedliwe korekty.

DECYDUJĄCE STARCIE

12 lutego w Borowym Młynie pojawiły się plakaty informujące, że 16 lutego przy jeziorze Gwiazda polscy i niemieccy pełnomocnicy spotkają się w celu wytyczenia linii granicznej. Po wezwaniach ks. Bernarda Gończy zebrał się tłum wściekłych Kaszubów, który ruszył na miejsce spotkania. Według niektórych relacji zgromadziło się ponad 1 tys. osób, których zorganizowano w procesję z kościelnymi sztandarami. Na szosie Pietrzykowo–Upilka stały już dwa niemieckie samochody załadowane kolkami granicznymi. Koło jeziora czekał niemiecki oficer na koniu i kilku podległych mu żołnierzy. Do momentu przyjazdu polskich wojskowych doszło już do kłótni miejscowych z Niemcami. Po chwili rozmowy z zebranymi polski oficer poprosił o wybranie



CZYJE BĘDĄ GOCHY?

Gochy to region Kaszub leżący na dawnych obszarach historycznego powiatu człuchowskiego. Jedną z głównych miejscowości w okolicy jest Brzeźno Szlacheckie. 1 grudnia 1918 r. odbył się tam wiec patriotyczny, w trakcie którego powołano Radę

ich przedstawiciela. Został nim ks. Gończ. Spokojnie próbował przedstawić on rację Kaszubów, jednak Niemcy trzymali się ustaleń, według których mieli wytyczyć granicę zgodnie z mapą. Tłum podchodził do pertraktujących coraz bliżej. Jeden z zebranych, Jakub Trzeciński, krzyknął: „Granica je pod Białym Borem. Tu je święto ziemia polsko”. Ale polski oficer ze smutkiem przyznał, że trzeba wytyczyć granicę tak, jak to odgórnie postanowiono.

Nad wzburzonym tłumem próbowali zapanować polscy wojskowi. Zażądali odejścia od linii rozgraniczenia i oddali dwa ostrzegawcze strzały w powietrze. Sytuację próbował załagodzić ks. Gończ, jednak nikt nie zamierzał rezygnować z negocjacji. Aby móc prowadzić dalsze rozmowy, wyłoniono sześcioposobową delegację. Kaszubi cały czas przekonywali, że po drugiej stronie, poza jednoznacznie polskimi miejscowościami, znajdują się także pola i łąki, które stanowią jedyne źródło utrzymania wielu rodzin. Apelowano o przesunięcie granicy dalej na zachód albo o przerwanie jej wyznaczania, by dać miejscowym czas na zwrócenie się do władz zwierzchnich. Polscy wojskowi byli jednak bezradni wobec rozkazów i nie byli w stanie spełnić próśb zgromadzonych.

Tymczasem zniecierpliwieni Niemcy, nie czekając na wyniki rozmów, rozpoczęli wbijanie palików. Reakcja ludzi była natychmiastowa. Gromadnie zaczęto wyciągać i odrzucać tyczki. Doszło do starcia z niemieckimi żołnierzami, kilku z nich zostało poturbowanych. Przewaga liczebna Kaszubów, ich determinacja, a także postawa polskich żołnierzy sprawiły, że nie zdecydowano się na użycie broni palnej.

Jak się później okazało, w tym samym czasie podobne wydarzenia miały miejsce w niedalekich Konarzynach. Tam ludzie również czynnie sprzeciwili się niesprawiedliwej linii granicznej i przerwali jej wytyczanie.

Po osiągnięciu sukcesu od razu wysłano łącznika do Borowego Młyna, aby przekazał szczęśliwą wieść. Moment okazał się kluczowy, a polski oficer stanął po stronie protestujących Kaszubów. Z Borowego Młyna natychmiast wyjechała delegacja do starosty chojnickiego. Stamtąd

po uzyskaniu stosownych dokumentów Kaszubi udali się do kierowanej przez gen. Charles'a Duponta Międzynarodowej Komisji Granicznej w Toruniu. Tam ponownie zajęto się sprawą granicy.

Na rezultat tych rozmów trzeba było czekać kilka miesięcy. W maju 1920 r. na Gochy udała się Międzynarodowa Komisja i ku radości miejscowych uznała żądania Kaszubów za słuszne. Dzięki ich uporowi dokonano korekty granic. Do Polski w rejonie Borowego Młyna zostały dołączone wsie Wierzchocina, Brzozowo i trzy leśnictwa – Stary Most, Kobylegóry i Wieczywno. Wraz z nimi na drugą stronę przeszły także całe łąki Rosochy. W rejonie Konarzyn Polsce przyznano Żychce, Ciecholewy oraz połacie lasów po zachodniej i wschodniej stronie szosy Chojnice–By-

Dzięki determinacji Kaszubów granica polsko-niemiecka została przesunięta miejscami nawet o ponad 10 km na zachód i przebiegała pomiędzy Człuchowem a Chojnicami

tów. Ostatecznie granica polsko-niemiecka została przesunięta miejscami nawet o ponad 10 km na zachód i przebiegała pomiędzy Człuchowem a Chojnicami.

PATRIOTYCZNE WRZENIE

Warto podkreślić, że wydarzenia z Borowego Młyna i Konarzyn nie były odosobnione. Na całych Kaszubach organizowano liczne zgromadzenia patriotyczne, ludzie zbierali się i pisali petycje o przyłączenie kolejnych terenów do odrodzonej Rzeczypospolitej. Działania te nie były ze sobą skoordynowane, odbywały się jednak w podobnym czasie, co wydarzenia z Gochów.

Warto wspomnieć o Kaszubach z okolic Bytowa. 16 maja 1920 r. tamtejsi Polacy zorganizowali marsz na to miasto. Był to kolejny protest przeciw niesprawiedliwym decyzjom granicznym, który miał wpłynąć na decyzję Międzynarodowej Komisji Gra-

nicznej. Mimo wielu podobnych działań niemal cała ziemia bytowsko-lęborska pozostała po niemieckiej stronie. Na kilka korekt w tej okolicy zdecydowano się w sierpniu 1920 r., jednak na drodze wymiany nieoczekiwano więcej terenów oddano Niemcom, niż przekazano Polsce.

UPAMIĘTNIENIE

Określenie „wojna palikowa” od lat popularyzuje Zbigniew Talewski, prezes Fundacji Naji Gòchè oraz członek Rady Naczelnej Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. Uroczystości upamiętniające to wydarzenie co roku odbywają się m.in. w Borowym Młynie.

„O zaangażowanych postawach tutejszych obywateli i ich przodków zaświadcza wznosząca się tu od 2008 r. wybudowana w Borowym Młynie społecznym sumptem Strażnica Patriotyzmu i Pamięci pw. Chrystusa Króla Zwycięzcy im. Bohaterskich Gochów. Jej ideowym przesłaniem są wyryte słowa: »Tu jest – była i będzie Polska«” – mówił Zbigniew Talewski pięć lat temu, w 100-lecie powrotu Borowego Młyna i regionu Gochów do Polski. W świadomości regionalnej to określenie na ogół odnosi się do wydarzeń, które miały miejsce 16 lutego 1920 r. nad jeziorem Gwiazda. Warto jednak mieć na uwadze, że Kaszubi z Gochów znacznie dłużej prowadzili walkę

o wyzwolenie spod władzy niemieckiej. Działania, które bezpośrednio doprowadziły do „wojny palikowej”, rozpoczęły się już w 1918 r. od patriotycznego wiecu dwóch parafii zorganizowanego w Brzeźnie Szlacheckim. Kończy je natomiast ostateczne podjęcie decyzji przez przebywającą w Borowym Młynie w maju 1920 r. Międzynarodową Komisję Graniczną.

Nieugięta postawa ludności Gochów odniosła oczekiwany skutek, a jej starania zakończyły się sukcesem. Jednak po drugiej stronie pozostało wielu Kaszubów od pokoleń uważających się za Polaków. Ci, którzy do samego końca starali się o przyłączenie do swojej ukochanej ojczyzny, byli potem poddawani brutalnym represjom przez żądnych zemsty Niemców. Jeszcze gorszy los spotkał Kaszubów po 1939 r., kiedy III Rzesza rozpoczęła eksterminację wszystkich, którzy na tych terenach byli przywiązani do polskości.

Czy dzięki roli w filmie „Nosferatu” Lily-Rose Depp znajdzie własne, mocne miejsce w Hollywood? Czy może pozostanie córką Johnny’ego Deppa i Vanessy Paradis, jedną z nepo baby, funkcjonującą w show-biznesie za sprawą znanego nazwiska?

Mocne wyjście Z mroku

Fot. ULP



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

W tym tygodniu polskie kina opanuje groza. Ta realistyczna, związana z trwającą za naszą wschodnią granicą wojną (w dojmujący sposób obecna w filmach „Dwie siostry” Łukasza Karwowskiego oraz „Ludzie” Macieja Ślesickiego i Filipa Hilleslanda), a także ta wykreowana z hollywoodzkim rozmachem w „Nosferatu” Roberta Eggersa. Co poza makabrą łączy wspomniane obrazy? Są opowiadane z perspektywy kobiet. Są przeżycia bohaterek nadają im ton.

MAGNETYZM WAMPIRA

W najnowszym filmie Eggersa (reżysera, który zaistniał w kinie dzięki horrorom, ale ma też na koncie m.in. „Wikinga” z Alexandrem Skarsgårdem) świat mroku modeluje nowa interpretacja ikonicznego obrazu Friedricha Wilhelma Murnaua z 1922 r. Hrabiego Orloka/Nosferatu gra w nim młodszy brat Alexandra Bill Skarsgård, ale to inne aktorskie nazwisko o wiele mocniej przyciąga do filmu Eggersa.

Kluczową rolę w tej mrocznej historii odgrywa zjawiskowa Ellen, nieświadomie przywołująca i prowokująca zło. Młoda kobieta działa nie tylko na krwiożercze monstrum, lecz także na

całe swoje otoczenie. Wydaje się, że podobnie magnetyczną siłę ma grająca bohaterkę Lily-Rose Depp – 25-latką z dziesięcioletnim stażem przed kamerą oraz obyciem wyniesionym z modowych wybiegów, która właśnie zagrała przełomową rolę w swojej karierze.

PARYSKI CZAS

Można powiedzieć, że od urodzenia przygotowywała się do tej roli, budząc nieustające zainteresowanie mediów. W końcu jest córką Vanessy Paradis, piosenkarki i aktorki, oraz Johnny’ego Deppa.

Para poznała się w 1998 r. w Paryżu. Rok później, 27 maja, urodziła się Lily-Rose. W 2002 r. przyszedł na świat jej młodszy brat Jack. By zapewnić rodzinie trochę prywatności i „normalności”, Depp i Paradis zdecydowali się zamieszkać we Francji. Vanessa poświęciła się domowemu życiu, ale nie przytłaczała opiekuńczością córki i syna. „Moi rodzice nie byli zbyt surowi” – wspominała Lily-Rose w wywiadzie dla „The Sun”. „Zawsze chcieli, żebym była niezależna i sama podejmowała decyzje”.

Całkiem sprawny rodzinny układ zakończył się w 2013 r. rozstaniem znanej pary. Ich dzieci zaczęły kursować między Paryżem a Los Angeles. Co pozostało im z francuskiego okresu? Oboje biegle posługują się zarówno językiem angielskim, jak i francuskim. Potrafią też wyznaczać medialne granice.

CENNA PRYWATNOŚĆ

Jack Depp funkcjonuje poza show-biznesem, skutecznie unikając mediów.

Jego siostra wyraźnie oddziela sprawy zawodowe i osobiste. „Zawsze uczono mnie, że prywatność jest czymś, co należy cenić i zachować dla siebie w jak największym stopniu. Wolę, żeby ludzie myśleli, że jestem nudna, niż wiedzieli za dużo o moim życiu” – mówiła w jednym z wywiadów.

Tego, jak trudne do zaakceptowania potrafi być tabloidowe wścibstwo, doświadczyła już jako nastolatka, kiedy portale rozpisywały się o jej anoreksji. „To było bolesne i przygnębiające, bo poświęciłem dużo energii na walkę z tą chorobą. Byłam znacznie młodsza, kiedy miałam do czynienia z anoreksją. Wszyscy, którzy znają ten problem, wiedzą, jak trudno jest wrócić do normalnego życia” – zaznaczała w wywiadzie dla francuskiego „Elle”.

W ostatnich latach także na jej życiu mocno odbił się głośny sądowy proces Johnny’ego Deppa i jego kolejnej żony Amber Heard. Lily-Rose nie zdecydowała się na publiczne wsparcie ojca w czasie medialnej nagonki. Dociśnięta przez dziennikarza amerykańskiego „Elle”, odnosząc się do pikantnych szczegółów związanych z pożyciem Johnny’ego i Amber, które wyciekły przy okazji procesu, stwierdziła: „Kiedy sprawa jest tak prywatna i tak osobista, a nagle przestaje taką być... czuję, że mam prawo do zachowania swoich przemyśleń dla siebie”.

Przy innej okazji napisała na Instagramie: „Mój tata jest najsłodsza, najbardziej kochającą osobą, jaką znam. Nigdy nie był innym jak tylko wspaniałym ojcem dla mojego młodszego brata i mnie, każdy, kto go zna, powiedziałby to samo”.





ZAWSZE CHCIAŁAM PRACOWAĆ

Podobnie, jak jej rodzice (oboje wcześniej rzucili szkołę) Lily-Rose również szybko zakończyła edukację. „Uniwersytet nigdy nie był moim celem. Zawsze chciałam pracować” – komentowała.

Na dobre weszła do show-biznesu w 2015 r., choć epizodyczną rolę zagrała już w 2014 r. w produkcji zatytułowanej „Kiel”. Plany filmowe od początku łączyła z występami na wybiegu. W kwietniu 2015 r. wzięła udział w sesji zdjęciowej dla australijskiego magazynu „Oyster”. Dwa miesiące później pojawiła się na pokazie mody Chanel, stając się najmłodszą twarzą tej marki (ambasadorką Chanel była też Vanessa Paradis).

Ponoć uroda i wycucie stylu Lily-Rose przyciągnęły również uwagę Karla Lagerfelda. W obu przypadkach modowym guru nie przeszkadzał wzrost dziewczyny – ledwie 160 cm.

Znane nazwisko przydawało się także przy kompletowaniu obsad kolejnych filmów z udziałem młodej adeptki aktorstwa. Zagrała m.in. w „Planetarium” (z Natalie Portman) i „Tancerce” (oba filmy z 2016 r., drugi przyniósł jej nagrodę dla Najbardziej Obiecującej Aktorki na 42. rozdaniu francuskich nagród filmowych César). W „Królu” (2019) wystąpiła u boku swojego ówczesnego chłopaka Timothée’a Chalameta. W 2021 r. zagrała w „Kryzysie” (z Garym Oldmanem); „Silent Night”



(z Keirą Knightley) i polsko-irlandzkiej produkcji „Wilk”. Międzynarodowy rozgłos, a także sporo kontrowersji związanych z rolą oraz całym projektem, wywołał serial „Idol” (2023) w reżyserii Sama Levinsona (twórcy „Euforii”).

W 2016 r., w filmie „Yoga Hosers” wystąpiła razem z ojcem. Tak wspomina tamto doświadczenie: „Mia-

łam okazję zobaczyć go (Johnny’ego Deppa) w nowym świetle. Jako dziecko nie postrzegasz rodziców z perspektywy ich zawodu. Oboje byliśmy bardzo podekscytowani i świetnie się bawiliśmy”.

W MOCY NOSFERATU

Blisko dekadę później bez problemu wpisała się w mroczny, wampirzy świat, choć jako dziecko miała problem z pewną charakterystyczną rolą swojego ojca. „Przeżyłam traumę” – zdradziła w wywiadzie dla „Harper’s Bazaar U.K.”. „Nie dlatego, że myślałam, że jest przerażający, ale dlatego, że wszyscy byli dla niego tak niemili, że naprawdę się denerwowałam” – mówiła, wspominając Edwarda Nożycorękiego, kultową postać z filmu Tima Burtona (który miał premierę w 1990 r.).

Ponoć pierwszy raz zobaczyła ten film, gdy miała trzy lata i do dziś pamięta swoje przerażenie.

Nie zadeklarowała jednak, czy i na ile tamten świat grozy pomógł jej odnaleźć się w najnowszym mrocznym projekcie. Co ciekawe, jej brat Jack

Depp był w dzieciństwie wielkim fanem Draculi. To sprawiło, że postać Ellen Hutter miała dla niej szczególne znaczenie. „Myślałam, że jeśli dostanę tę rolę, mój brat w końcu uzna mnie za fajną” – żartowała w jednym z wywiadów.

Uznania dla aktorki nie kryje reżyser najnowszego „Nosferatu”. Na potrzeby filmu Lily-Rose musiała opanować technikę butoh – japońskiego tańca mroku – aby wiarygodnie oddać opętania. Robert Eggers podkreśla, że jej fizyczność w tych scenach jest tak przekonująca, że wielu widzów sądziło, iż użyto efektów specjalnych.

DZIECI NEPO

Od kiedy zdecydowała się wejść do show-biznesu, często podkreśla, że kariery nie zawdzięcza sławnemu ojcu. „Wiele osób myśli, że gram tylko z powodu mojego taty. To, że nie musiałam tak ciężko pracować, by zostać zauważoną czy rozpoznawalną w branży, sprawiło, że chcę pracować dwa razy ciężiej, aby udowodnić wszystkim, że nie robię tego tylko dlatego, że to była dla mnie najłatwiejsza droga; że moi rodzice grają” – tłumaczyła w rozmowie z „CR Fashion Book”.

O potrzebie wyznaczenia własnej drogi mówiła też przy innej okazji: „Przez większą część mojej kariery ludzie definiowali mnie poprzez mężczyzn obecnych w moim życiu – czy to członków rodziny, czy moich chłopaków. Jestem naprawdę gotowa, żeby być postrzegana przez pryzmat tego, co sama robię”.

Być może dla zaznaczenia własnej odrębności i niezależności, po szeroko komentowanych w mediach związkach z Chalametem i Austinem Butlerem, na początku 2023 r. obwieściła na Instagramie, że teraz ma partnerkę – amerykańską raperkę Danielle Balbuene.

Chwalona przez krytyków i widzów rola w filmie „Nosferatu” dała jej mocne wejście do świata wysokobudżetowych produkcji Hollywood. Tymczasem zagraniczne media ogłosiły, że zagra kolejną główną rolę – Laeticii Hallyday w filmie biograficznym o francuskiej wokalistce. Premiera jest zapowiadana na grudzień 2027 r.

3 MIŁOŚCI

Na imię mi Dolores

67 proc. Amerykanów obawia się powiedzieć co naprawdę myślą, bo będą dyskryminowani w pracy, wyrzuceni poza swój obszar społeczny, życiowo zdegradowani. Aż 85 proc. martwi się o wolność słowa w USA.

Jak pokazuje skandal USAID, na przebudowę światopoglądu populacji Ziemi w myśl założeń liberalno-marksistowskiej inżynierii społecznej co roku wydawane są setki miliardów dolarów. To największa tego typu operacja w dziejach ludzkości. Jednak bez totalitarnej kontroli mediów nie da się bez końca izolować ludzi. A gdy się okazuje, że król jest nagi, traci on władzę.

By obalić kłamstwo ideologii w społeczeństwach – jeszcze – nietotalitarnych potrzeba ludzi publicznie mówiących prawdę, tak bogatych lub tak znanych, że nie sposób ich uciszyć. Helen Joyce w książce „Trans. Gdy ideologia spotyka się z rzeczywistością” pisze tak: „Przekonania ludzi i gotowość do ich wyrażania mogą się zmienić niezwykle szybko, gdy tylko zyskają większy wgląd w prawdziwe przekonania innych ludzi. Może się to zdarzyć także wtedy, gdy sondaże uświadomią ludziom istnienie milczącej większości, która nie zgadza się z dominującą narracją. Do zmiany może też doprowadzić kilku prawdomównych, którzy zainspirują innych do wypowiedziania się w coraz większej liczbie, tak jak to robi dziecko w bajce o nowych szatach cesarza”. Gdy chodzi o ideologię samoidentyfikacji płciowej, ten proces się już rozpoczął.

Brytyjka Maya Forstater straciła pracę w londyńskim oddziale grupy doradczej Centrum Globalnego Rozwoju z siedzibą w Waszyngtonie po zamieszczeniu w sieci wpisu o tym, że płeć jest kwestią biologii, a nie tożsamo-

ści. Pracodawca stwierdził, że Forstater jest transfobiczna i ją zwolnił. Idąc do sądu pracy, ogłosiła zbiórkę środków na pokrycie kosztów sądowych. W pięć godzin zebrała pełną kwotę 30 tys. funtów. Wiele osób dodało do przelewu wiadomości o treści: „Dziękuję, że się temu przeciwstawiła”.

W pierwszej instancji sędzia orzekł przeciwko niej i stwierdził, że jej przekonanie, iż ludzka płeć jest binarna i niezmienna, jest „absolutystyczne”. A przekonania Forstater są według sędziego szczerze, merytoryczne, znaczące i istotne, ale „niegodne szacunku w demokratycznym społeczeństwie”.

Pod koniec 2019 r. Forstater została wzięta w obronę przez J.K. Rowling, która na Twitterze napisała do swoich 14 mln obserwujących: „Zmuszać kobiety do rezygnacji z pracy za stwierdzenie, że istnieją dwie płcie? #Popieram Maya #To nie są ćwiczenia”.

Pół roku później Rowling odniosła się do treści artykułu o „osobach, które miesiączkują” pisząc: „Ludzie, którzy miesiączkują». Jestem pewna, że kiedyś istniało słowo, które ich określało. Ktoś mi pomoże i przypomni. Kubieca? Kubata? Kolebuka?”. Rozpoczęła się nagonka. Redakcja internetowej gazety środowisk LGBT+ „Pink News” opublikowała fejka mającego świadczyć o „transfobii” Rowling. Powieliły ją tysiące gazet i portali na całym świecie. Powstały dziesiątki tysięcy artykułów atakujących pisarkę, rozpoczął się środowiskowy bojkot, nawet aktorzy grający w „Harrym Potterze” jak za stalinowskich czasów „odcięli się” od autorki.

Jednak w osobie Rowling kultura unieważniania napotkała kogoś zbyt wybitnego, by go unieważnić, kogoś, kto mógł ogłosić, że król jest nagi.



ROBERT TEKIELI

Dziś Rowling pisze: „Ideologia gender podważyła wolność słowa, prawdę naukową, prawa gejów oraz bezpieczeństwo, prywatność oraz godność kobiet i dziewcząt. Spowodowała również nieodwracalne szkody fizyczne u bezbronnym dzieci. Nikt na nią nie głosował, zdecydowana większość ludzi się z nią nie zgadza, a mimo to została narzucona odgórnie przez polityków, służbę zdrowia, środowisko akademickie, media, celebrytów, a nawet policję. Aktywiści grozili i stosowali przemoc wobec tych, którzy odważyli się jej sprzeciwić. Ludzie byli zniesławiani i dyskryminowani za jej kwestionowanie. Wyrzucano ludzi z pracy i niszczone ich, a wszystko to za zbrodnię polegającą na świadomości, że płeć istnieje i ma znaczenie.

Kiedy dym opadnie, będzie aż nadto oczywiste, że nigdy nie chodziło o tak zwaną wrażliwą mniejszość, pomimo faktu, iż niektóre bardzo wrażliwe osoby zostały skrzywdzone”. I dalej Rowling o celebrytach, najgłośniejszych orędownikach aktualnego ideolo: „Nie jest prawdopodobne, że znajdą się zamknięci w celi więziennej z gwałcicielem o wzroście 6 stóp i 4 cale, który zdecydował, że teraz nazywa się Dolores. Nie potrzebują finansowanych przez państwo ośrodków kryzysowych dla ofiar gwałtu ani nie odwiedzają ogólnodostępnych przebierałni”. Wyśmiewają w talk show „paskudnych skrajnie pra-

wicowych bigotów, którzy nie chcą, aby penisy huśtały się wokół pryszniców dziewcząt, pewni, że ich prywatny basen pozostaje bezpiecznym miejscem, jakim zawsze był”.

Ideologia postępu jest oparta na rewolucji językowej. Na odwróceniu lub wyrażeniu pojęć. Postępowy

Jezus nie jest historycznym i mistycznym Jezusem, jest jego hipisowskim lub okultystycznym przeciwieństwem. Reinkarnacja New Age nie jest reinkarnacją. Jej prawdziwe oblicze jest pełne pesymizmu. Według hinduistów można odrodzić się kamieniem lub świnia. Postępowa zwesternizo-

wana reinkarnacja jest jej karykaturą, z definicji radosnym, nieodwołalnie pozytywnym rozwojem.

Postępowy paradygmat upadł. Rewolucja zdrowego rozsądku rozpoczęła się przed zadekretowaniem jej przez Trumpa. On tylko dosiadł fali. A ja nad rzeką siedzę i czekam.

WOJNA CYWILIZACJI

Warte Fabuła serialowej „Diuny” rozgrywa się w arcyuniwersum arcydzieła Franka Herberta o takim samym tytule. Zderza się z legendą dyptyku filmowego Denisa Villeneuve’a (2021–2024), który powalił wszystkich na kolana, czego wyrazem było sześć Oskarów. Bałem się, że serial będzie klęską, jak „Władca Pierścieni: Pierścienie władzy”. Na szczęście nie. Oczywiście „Diuna: Proroctwo” nie umywa się do filmów, ale seriale z definicji nie są w stanie rywalizować z wysokobudżetowymi produkcjami filmowymi. W ogóle porównywanie filmów Villeneuve’a i serialu jest nieuczciwe. Dyptyk został zrealizowany na podstawie oryginalnej powieści Franka Herberta, serial to adaptacja dużo słabszych książek napisanych przez jego syna do spółki z innym autorem.

„Diuna: Proroctwo” to prequel na podstawie trylogii „Zgromadzenie żeńskie z Diuny” autorstwa Briana Herberta oraz Kevin J. Andersona. Akcja toczy się 10 tys. lat przed narodzinami głównej postaci uniwersum Paula Atrydy (w filmach granego przez Timothée’a Chalameta) i kilkadziesiąt lat po zakończeniu wojny ze sztuczną inteligencją znanej jako dżihad butleriański.

Mimo że jeszcze właściwie w powijkach, zgromadzenie żeńskie Bene Gesserit jest już jedną z głównych sił w powstałym po dżihadzie Imperium. Walczy o zaprowadzenie pokoju we wszechświecie poprzez gigantyczny program hodowli elit, kształtuje dynastie, zdobywa potężną władzę i walczy o jej utrzymanie. Zrzesza kobiety różnych stanów, które latami ćwiczą swoje ciała i umysły, aby uzyskać nadludzkie moce i umiejętności. Gdy opowieść się zaczyna, Bene Gesserit nie dysponuje jeszcze Głosem, jednym ze swych najpotężniejszych narzędzi. Używając Głosu zakonna Matka Wielebna potrafi narzucić swoją wolę praktycznie każdemu człowiekowi, aż po wymuszenie samobójstwa.

Osią fabularną serialu jest historia dwóch sióstr z rodu Harkonnenów, Valyi (Emily Watson) oraz Tuli (Olivia Williams). Podczas wojny z myślącymi maszynami jeden z Harkonnenów zdradził, a cały ród okrył się niesławą i został wypędzony na planetę, którą warunkami życia można porównać z Syberią. Historię Imperium napisał bohaterski ród Atrydów, dla Valyi jest

ona utkana z kłamstw. I postanawia to zmienić. Jedyna z rodu, która nie pogodziła się z życiem w hańbie, wybrała nową rodzinę składającą się z „kobiet, które nie lękają się swej mocy”, stając się w końcu matką przelożoną Bene Gesserit. Valya robi absolutnie wszystko, aby oczyścić honor swojego rodu. Kierując przyszłością, chce też zapobiec zagładzie cywilizacji przewidzianej przez swą poprzedniczkę, założycielkę Zgromadzenia. Valya postanawia wbrew współsiostrom dokończyć tajne genetyczne dzieło swej mistrzyni choćby po trupach. Chce wyhodować lepszych przywódców, nowe pokolenia władców, by ich kontrolować. Mottem Zgromadzenia mogłyby być słowa: „Zwycięstwo świętuje się w świetle, lecz wykuwa w ciemności”.

Choć opowieści brak głębi oryginalnego Herbertowego pierwowzoru, napięcie w serialu jest budowane sprawnie. Intryga stopniowo odsłania kolejne warstwy rzeczywistości. Wizualnie „Diuna: Proroctwo” momentami zachwyca, choć wizja analogowej cywilizacji, która najbardziej na świecie obawia się postępu technologicznego, była nie lada wyzwaniem. Zadziwiające kształty promów kosmicznych z jednym skrzydłem, wysmakowana scenografia. Pod powiekami mam odprawiające rytuał siostry widziane z lotu drona – jak fraktale – i wibrującą taflę sadzawki, jedną z ciekawszych wizualizacji mocy, jakie kiedykolwiek widziałem.

Dobrze jest też z aktorstwem. Emily Watson – doskonała, tak samo Jessica Barden grająca młodszą wersję Valyi, również Olivia Williams kreująca postać Tuli, przeżywającej swój własny dramat siostry Valyi. Podobnie charyzmatyczny Travis Fimmel, znany z roli Ragnara Lodbroka w „Wikingach”, grający tu Desmonda Harta, ucieleśnienie fatum.

Bo właśnie najsilniejszą stroną „Diuny: Proroctwa” są wątki przeznaczenia, walki o władzę, odpowiedzialności za nią; tematyka miłości siostrzanej, miłości bratersko-siostrzanej, kwestie dominacji w relacjach między kochającymi się ludźmi, lojalności, dumy.

Przyzwoite kino.

Robert Tekieli, Polskie Radio

Ciupagą przez łeb

Apteka, apteka, lecimy na lekach. Apteka, apteka – życie nam dolega” – wyśpiewuje Andrzej Dziubek w porywającym otwarciu („Apteka”) swojej najnowszej płyty. Spod Babiej Góry wyraźnie widać patologie społeczeństwa terapeutycznego czy zepchniętego na krawędź hedonizmu („Rock Rock Rokendrol”) oraz kompleksy nadwiślańskiej ludności („Polish shuz”), która nie potrafi być Polakami. Kpi też z bałtyckich wakacji („Góral nad Bałtykiem”), gdzie „pogoda ma być od jutra”, a zjeść można „kebaby z motorówki”. Ale chwilęczkę – ten piękny album w formie digipacków i winyli wydał Olifant z Gdańska. Bo De Press powrócił, brzmi i gra znakomicie, i jak zawsze ma ważne rzeczy do powiedzenia. W sposób liryczny, choć z podhalańską beczpośredniością oraz drapieżnością. Gdy słucham „A ja cię kocham, Polsko”, to wiem na pewno, że „kłamcom, tchórzom i wrogom” Dziubek wyrząłby w łeb bukową ciupagą.

Zespół istnieje już 40 lat i jego jedynym fundamentem jest baba z Jabłonki. A ponieważ przez wiele lat żył na wygnaniu w Norwegii, to podczas produkcji tych dźwięków czujne ucho nadstawiał Jørn Christensen z pierwszego składu zespołu. Dzisiaj Dziubka, który napisał część tekstów i stworzył graficzne oblicze płyty, wspiera góralskie trio bardzo sprawnych muzyków, co słysząc w energetycznej mieszance podhalańskiej harmonii, tonacji i temperamentu oraz rockowych konwencji różnych odcieni potęgowanych czasem mrozną, nowofalową głębią. Słyszymy przebojowe, miłosne wyznania i ból rozterek, raz w formie potężnego bigbitowego uderzenia („Ty i jo, jo i Ty”) lub nieco bardziej rockowe, jak w „Ka kochanie moje” czy „Przebac”, a nawet nową, ale dociążoną metalowymi gitarami wersję „Bo jo Cię kocham”. Dziubek nie byłby sobą, gdyby nie sięgnął do rodzimej liryki. Jest więc subtelnie nowofalowa, ale równie melodyjna interpretacja „Kocham” czy przebojowe „Jeszcze raz jeszcze” do wierszy Przerwy-Tetmajera. „Rani nas trwoga”, więc Dziubek, człowiek nowoczesny, ale tradycyjny w duchu, składa też hymniczny hołd Bogu, interpretując „Pieśń XXV” Kochanowskiego. Na końcu wymachuje groźnie ciupagą: „Likwidator” to konkretny, punkowy lament na politycznych „pachołków na posyłki” na usługach „zielonej mafii” i „wiedźmy Brukseli”. A już Ramonesowa szarża pod tytułem „Ruda wrona” nie pozostawia wątpliwości, o kim mowa.

De Press, „Góral nad Bałtykiem”, Olifant Records 2024



Maciej Walaszczyk

Jakiś czas temu informowałem o „ostatnim” tomie „Encyklopedii Ruchu Narodowego”. Z rozpędu popełniłem błąd, który teraz muszę sprostować. Rzeczywiście ostatnim tomem jest ten omawiany, a więc szósty. Nie jest tak obszerny jak pozostałe, ale zawiera kolejną porcję naukowo opracowanych haseł historycznych i politologicznych. Z tych pierwszych najciekawiej przedstawiają się opowieści na temat polskiego ruchu narodowowyzwoleńczego na Górnym Śląsku przed 1918 r. i na Śląsku Cieszyńskim, a także tekst na temat słynnej blokady Uniwersytetu Warszawskiego w 1936 r. Karolina Siewak dowodzi, że wydarzenie to nie było wyłącznie wystąpieniem o charakterze antysemickim, ale miało podłoże ekonomiczne związane z głęboką pauperyzacją społeczeństwa uniemożliwiającą wielu polskim studentom naukę i regulowanie czesnego.

Poza tym możemy również przeczytać teksty podsumowujące wątki współczesne, m.in. na temat istnienia w latach 1980–1981 Polskiego Związku Akademickiego, a więc kilkusetosobowej organizacji studenckiej nawiązującej do tradycji narodowego ruchu akademickiego. Najciekawszy tekst dotyczy jednak Rosji w myśli politycznej obozu narodowego do 1920 r. Marcin Andrzejczak przypomina, że idea kursu na bardziej kompromisową politykę wobec wschodniego zaborcy zrodziła się po klęsce powstania stycz-

Endecja wobec Rosji

niowego i od początku łączyła z antymarksistowskim obliczem rodzącej się Narodowej Demokracji, której liderzy oceniali, że rewolucyjny ferment powinien się ograniczać wyłącznie do Rosji. Nie miała jednak charakteru ugody uznawanej za szkodliwą dla sprawy

polskiej i do początku XX w. pozostawała nieskonkretyzowana. Zmienił to wybuch wojny rosyjsko-japońskiej otwierającej drogę do aktywizacji politycznej i udziału w kolejnych wyborach do Dumy. Dopiero książka Romana Dmowskiego „Niemcy, Rosja i kwestia polska”, która za głównego wroga wskazywała Niemcy, określiła reorientację na Rosję ocenianą jako mocarstwo stojące na glinianych nogach, a przez to dające pole do „etapowania” polityki. Zwrot ten wywołał szok i rozłam w ruchu narodowo-demokratycznym, ale w konsekwencji poprowadził Dmowskiego na konferencję pokojową w Paryżu jako reprezentanta obozu zwycięzców. Rosja rzeczywiście rozpadła się pod ciosami rewolucji marksistowskiej, a Niemcy i Austria przegrały Wielką Wojnę, ponosząc tego dramatyczne konsekwencje.

„Encyklopedia Ruchu Narodowego”, t. VI, Instytut Myśli Politycznej im. Gabriela Narutowicza 2024



DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Jak porzucono boski porządek

Dźwięki fortepianu tworzą muzykę, którą słyszymy od dziecka. Jednak zgoda na to, w jaki sposób są strojone, oznaczała porzucenie ideału „boskiego porządku” w muzyce

Wielu z nas zapewne słyszało muzykę z Chin, Indii, Bliskiego Wschodu czy wielogłos gruzińskiego śpiewu polifonicznego. Jest ona krańcowo inna, bo np. w tej indyjskiej w skali jednej oktawy wyodrębnione są 22 dźwięki, a w muzyce zachodniej jest ich 8. Może ktoś się czasem zastanawiał, jakie dźwięki kryją się między białymi i czarnymi klawiszami fortepianu. Albo dlaczego w ogóle skonstruowano fortepian, a więc instrument o stałych wysokościach dźwięków, którego zakres brzmienia umożliwia wykonywanie dowolnej muzyki w każdej tonacji, który daje możliwości porównywalne niemal z orkiestrą. Na pewno kryją się za tym spory estetyczne, nawet ocierające się o politykę, gdyż, jak przypomina autor tej znakomitej książki, przez całe stulecia uczestniczyli w nich nie tylko muzycy i twórcy instrumentów, lecz także hierarchowie kościołni, głowy państw oraz matematycy i filozofowie.

Dlaczego więc niecałe 300 lat temu przyjęto używany do dziś system strojenia równomiernie temperowanego w fortepianach, pianinach czy organach? Stuart Isacoff proponuje, abyśmy postawili się na chwilę w sytuacji ludzi, którzy nie znali dzisiejszego uniwersalnego systemu strojenia: do, re, mi, fa, sol... Ten dawny wskazali starożytni Grecy, a dokładnie Pitagoras, którego zdaniem najpiękniejsze dźwięki wynikały z nienaruszalnych zależności matematycznych – „odcisków palców pozostawionych przez bogów”. Autor z niezwykłym rozmachem opisuje tę historię. Pitagoras, dzieląc strunę swego monochordu, odkrył, że częstotliwość dźwięku zależy od jej długości. Gdy więc ich długości znajdują się w stosunku 2:1, częstotliwość drgań jednego tonu będzie dwukrotnie wyższa niż drugiego, ale zabrzmiały równocześnie w oktawie zabrzmiały harmonijnie. Jednak ten idealny porządek zakłócił eksperyment, w którym wyznaczona seria dźwięków o kwintę prowadziła do sytuacji, że tak samo wyznaczone c zabrzmiały inaczej niż to odmierzone oktawą. Od czasów Pitagorasa wiemy, że 12 kolejnych kwint prawie zamyka się w 7 oktawach. Owa rozbieżność jest niewielka i nazywa się komatem pitagorejskim. Po prostu oktawy, kwinty czy kwarty wyznaczone według pitagorejskich proporcji

okazały się niewspółmierne, niczym przekątna kwadratu do jego boku. By załatwić sprawę, należało „zwięzić” kwinty, aby zlikwidować komat, ale przez wieki nikt tego nie czynił.

Także św. Augustyn w magicznych proporcjach muzyki widział plan zesłany przez Boga, według którego należy budować jego kościoły. Kepler w uświęconych tradycyjnych proporcjach muzyki odnajdywał zasady rządzące ruchem planet, a Newton dopasowywał proporcje między dźwiękami do ułożenia barw światła rozszczepianego w pryzmacie. Jednak w dawnym systemie strojenia pierwsze klawesyny i organy istniejące przed pojawieniem się fortepianu mogły w jednym momencie dawać niezwykle harmonie, ale powtórzone w innym miejscu – okropne dysonanse nazywane „wilczymi dźwiękami”. By temu zaradzić, próbowano budować dziwaczne instrumenty z dodatkowymi klawiszami w zakresie oktawy.

Bomba wybuchła wraz z rozwojem kompozycji. Pojawił się spór, jak zaradzić dźwiękowej „czarnej dziurze”. Muzyka potrzebowała tego samego, czym dla malarstwa okazało się wynalezienie perspektywy. Co ciekawe, ucięcie interwałów o czwartą część tzw. komatu pitagorejskiego zawdzięczamy Vincenzowi Galilei, ojcu Galileusza. To trochę jak przeprowadzona w tym samym czasie reforma kalendarza juliańskiego, odejmująca dziesięć dni od października 1582 r. W praktyce

oznaczało to także zerwanie z ideą ukrytego boskiego porządku i wywołanie ostrych sporów ciągnących się przez wiele lat. W końcu praktyka wykonawcza zwyciężyła „boski ideał”, od czasów kontrreformacji prowadząc do rozwoju sztuki harmonii jednoznacznie popartej przez barokowego kompozytora Jeana-Philippe’a Rameau. Po tym nastąpił dynamiczny rozwój fortepianu, a dzieła Beethovena, Mozarta czy Chopina nie byłyby możliwe z użyciem jakiegokolwiek innego systemu, choć zdaniem Newtona dźwięki w równomiernie temperowanym systemie przypominają „wyblakłe kolory”. Zdaniem innych białe i czarne klawisze stały się dla muzyki „wieziennymi kratami”.



DO KUPNIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Stuart Isacoff, „Temperacja. Jak muzyka stała się polem bitwy wielkich umysłów zachodniej cywilizacji”, Instytut im. J. Grotowskiego 2018



Jest szczypta nadziei

Kim był Rafał Żebrowski, którego ostatni tomik „Póki myśl krąży” ukazał się prawie w godzinie jego śmierci?

Kim był? Książątkiem z wiedeńskiej porcelany, pieszczoszką losu i uroczym kobiet, doskonale wieszakiem na nienagannie skrojone mundury? Czy wodzem unoszącym się nad krwawymi batalionami, znikającym w kurzawie ostatniej bitwy, po którym nie zostanie nic prócz rycerskiego gestu i skoku w chłodną rzekę nieskończoności?

A może Hamletem z „Trenu Fortynbrasa”, słyszącym już po śmierci, że reszta nie jest milczeniem?

Kim był książę Józef Poniatowski z wiersza o tym samym tytule?

Kim był Zbigniew Herbert, autor „Trenu Fortynbrasa”?

Kim wreszcie był Rafał Żebrowski, którego ostatni tomik „Póki myśl krąży” ukazał się prawie w godzinie jego śmierci...

Dużo tych godzin śmierci. Spośród ponad 70 wierszy zamieszczonych w zbiorze kilkanaście ma specyficzny, funeralny charakter. Pożegnanie podmiotu lirycznego ze światem przebiega bez nadmiernej ekscytacji. Oto fragmenty wiersza „Właściwie już byłem”: „Właściwie już byłem, choć nie do końca mnie nie ma [...] nad brzegiem oceanu stąpać po krawędzi, lecz nie zostawiam już żadnego znaku na piasku lizanym przez fale”. A sama śmierć, a może jednak Śmierć, sportretowana w utworze „Kto bajdurzył”: „Jej tchnienie istotnie przynosi woń rozkładu [...] ale te niepokoje i chłody to czysta bujda, dziecinne bajanie. Nawet trudno uwierzyć – kontynuuje bohater – w skrajny ascetyzm jej figury, pewnie wargi ma pełne jak i biodra, prawdziwi mężczyźni marzą o niej, przynajmniej wedle oficjalnej wersji, bo tak naprawdę budzą się z krzykiem, jeśli pojawi się w ich nocnych majakach...”

„Odchodzę – bez udawania i anegdota krotochwilnych – zdecydowanym krokiem...” – komunikuje w wierszu „Bez udawania”. Wśród tych indywidualnych pożegnań pojawia się nagle „Łączka na Powązkach”: „Plachetek ziemi z wyleniałą trawą, opodał krzepki mur cmentarny... brodę w zeschłych liściach i stąpać ostrożnie, gdzie oni z otwartymi oczyma leżą, ustami smakując piasek, świadkowie niesprawiedliwości”.

Pytania o sens historii czasem nie znajdują odpowiedzi. Niekiedy replika bywa jednak oczywista, aż obezwładniająca, choć początek wiersza „Historia” tego nie zapowiada: „Pokryta pleśnią metody, grzybem dociekań... nieznosząca sprzeciwu, bezduszną matrona w wytartej sukni niemodnego kroju z aureolą ze zramolanych moli” (zwróć uwagę, czytelniku, na te znakomite asonanse i kon-

sonanse: z aureolą ze zramolanych moli!). „Warto by się jej pozbyć raz na zawsze – snuje refleksje o historii bohater liryczny – zostawić w skrytce na wielkim dworcu i zapomnieć klucz wyrzuciwszy. Tylko jak bez niej znaleźć szlak pośród bezdroży przyszłości”.

W kilku wierszach wracają obrazy Kresów i Lwowa, skąd pochodzi rodzina poety. „Arkadia Dziadków i Rodziców, pograżona w odmętach Atlantydy” – tak zaczyna się wiersz „Arkadia i los”. Z kolei wiersz „Na dzień 27 III 2022 we Lwowie” rozpoczyna fraza: „Tam już zawsze stać będzie moja kołyska, bo stamtąd wygnano moją Matkę”.

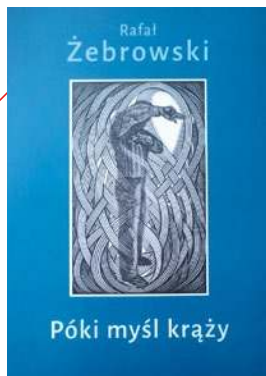
Wątek wołyński podnosi „Kapliczka pod Satijowem”: „Między dwie otchłanie rzucona kapliczka, znak prośby dziękczynienia bądź oczekiwania niebo zbyt wysokie, by doleciał tam krzyk mordowanych”. Z kolei do Holocaustu nawiązuje „Żydowski cmentarz w Krzemieńcu”: „Na wzgórzu stromym jak Zagłada stoi miasteczko zmarłych Żydów, zwartymi szeregami tłoczą się macewy”. Podobnie „Synagoga w Brodach”. W pierwszej połowie XVII w. hetman Koniecpolski osadził tam Żydów, którzy na początku XX w. stanowili ponad 70 proc. mieszkańców. W XVII w. wielka synagoga w Brodach była najważniejszym ośrodkiem żydowskim w Galicji. A dziś? „Panoszy się tu zielsko zwycięskie [...] a jednak przypadkiem odnalazłem starą ilustrację [...], że nad mroczną salą szumią konary sklepienia, na którym wygnani rozewili fragmenty psalmów, jak kiedyś harfy na wierzbach nad rzekami Babilonu...”. Gdzieśmy siedzieli i plakali, wspominając Syjon, ciągnie dalej Psalm 137, tak szeroko spopularyzowany przed laty przez zespół

Boney M w piosence „By the Rivers of Babylon”.

Warto wreszcie wspomnieć o odwołaniach do poezji Zbigniewa Herberta, wuja i mistrza Rafała Żebrowskiego. „Głos nad chaosem”: „Wychodzący z cienia, osobista sprawa smaku, niechciana lekcja stylu”. Albo wiersz „Zbyt stary, żeby nosić broń”, który otwiera cytat z „Raportu z obleżonego miasta”: „Zbyt stary, żeby nosić broń i walczyć jak inni za winę nazbyt wczesnego i nie dość późnego urodzenia wyznaczyłem sobie samotność w lochu głodowym sumienia”.

Zbiór wierszy nosi tytuł „Póki myśl krąży”. Tytuł trafny i zasadny. To również tytuł wiersza otwierającego cały tomik. Choć warto pamiętać o zakończeniu tego utworu: „Zaprawdę powiadam, póki myśl krąży, jest szczypta nadziei”.

Maciej Łopiński



Rafał Żebrowski, „Póki myśl krąży”,
Galeria Autorska Jana Kaji
i Jacka Solińskiego 2024

„Cząstki kobiety” – więcej niż feministyczne

„Cząstki kobiety” to sztuka Węgierki Katy Weber. Grający ją od ponad sześciu lat TR (dawniej Teatr Rozmaitości) reklamuje przedstawienie jako „poruszający obraz współczesnych kobiet walczących o prawo do decydowania o własnym życiu”. Brzmi to jak z podręcznika feminizmu. Teatr wprost opisuje ten dramat jako „feministyczny”.

Teatr Telewizji wciąż preferuje przeniesienia z różnych scen ponad własne produkcje. Ubolewam nad porzucaniem oddzielnego gatunku, zauważam też pewną ideową jednostronność repertuaru. Ale akurat na „Cząstki kobiety” wybierałem się wielokrotnie, bez skutku. Cieszę się, że TVP pomogła mi nadrobić zaległości.

Autorka i reżyser, jej partner Kornél Mundruczó, są Węgrami. Ale na potrzeby TR akcję przeniesiono do Polski, są tu, skądinąd dygresyjne, odniesienia do naszej rzeczywistości. Zarazem dramat sfilmowano w 2021 r. jako produkcję węgiersko-kanadyjsko-amerykańską. Główne role zagrali Vanessa Kirby, Shia LaBeouf i Ellen Burstyn. Tam mamy realia kanadyjskie.

Teatralną wersję polecał mi zaprzyjaźniony aktor, który wyszedł z „kobiecego” spektaklu TR poruszony. Sprawdziłem. Mocna, dobrze napisana rzecz. Jeden z nie tak wielu przypadków, kiedy mamy poczucie, że współczesność została podpatrzona do brze i po coś.

W necie piszą, że w teatrze widzowie mdleli na przedstawieniu. Pewnie przez pierwszą część, w której dostajemy sekwencję realistycznie przedstawionego, skądinąd nieudanego porodu przeprowadzanego w mieszkaniu. Miałem wątpliwości, czy teatr nie wyszedł ze swojej roli, oferując w miejsce umowności brutalny naturalizm. Ale potem jest część druga. Maja, która straciła dziecko, konfrontuje się z matką, siostrą i kuzynką. Rozprawiają w innym mieszkaniu o stracie, skądinąd wbrew woli Mai, która nie chce o tym mówić. Ale rozmawiają nie tylko o tym. Następuje coś w rodzaju rozliczenia rodzinnych traum.

W życiu obejrzałem dużo podobnych filmów i trochę sztuk przynoszących rodzinne psychodramy. Wiele zdań mi

spowszedniało. A jednak obrachunki tej rodziny oglądałem z zaciekawieniem. To sugestywne, nieoczywiste, z otwartym zakończeniem, bez pouczenia, we współczesnym teatrze po-dejmowanego zwykle z pozycji progresywnych.

Zastanawiam się tylko, czy kwalifikacja „to feministyczne” oddaje rzeczywistość. Mowa o wyborze kobiety. Ale nie chodzi o kształt prawa czy spory obyczajowe. Maja chce, aby zostawić ją samą z żalobą. Prawda, faceci, jej partner Norweg Lars i mąż jej siostry, nie do końca zapewniają swoim towarzyszkom życia komfort stabilności – ten pierwszy jest ćpunem, ten drugi, muzyk, nie radzi sobie. Ale to one walczą między sobą. Wolnościowa Maja i jej katolicka, konserwatywna siostra (co nie jest wyśmiane) inaczej pojmują życie. Obie mają zaległe żale do matki. Mnie „feminizm” kojarzy się z wojną płci – tu jej nie widzę. Owszem, na końcu kobiety dogadują się pod nieobecność facetów. Ale czy to coś trwałego? Chyba nie.

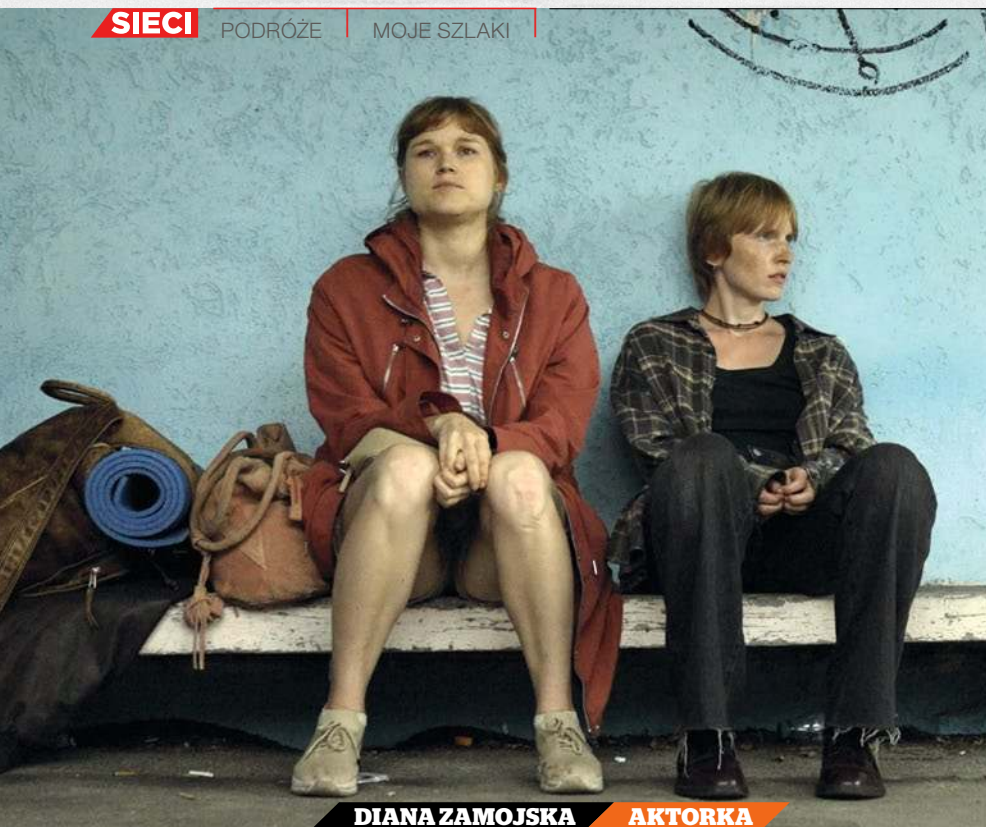
Spytałem znajomego aktora o kwalifikacyjne nieporozumienie. Zauważył, że w 2018 r. „feminizm” mógł oznaczać trochę co innego niż dziś. Może tak, ale w etykietkach widzę łatwiznę.



Nie widzę jej za to w aktorstwie. Justyna Wasilewska (Maja), Agnieszka Żulewska (siostra), Marta Scisłowicz (kuzynka Zuzanna) są prawdziwe w każdym słowie i geście. Podobnie mężczyźni: Dobromir Dymecki (Lars) i Sebastian Pawlak (szwagier). Może największa jest kreacja Magdaleny Kuty. Widzimy matkę tracącą zdrowie i siły, próbującą zachować pozory, ale w żadnym razie nie śmieszną.

Brak łatwych stereotypów wyróżnia ten spektakl na tle innych granych w TR i na podobnych scenach.

Piotr Zaremba



DIANA ZAMOJSKA

AKTORKA

Trzeba pokazać te „bolesne miejsca”

Tytułowe „Dwie siostry” (grane przez Dianę Zamojską i Karolinę Rzepę) wyruszają na objętą wojną Ukrainę po ojca, który leży ciężko ranny w szpitalu polowym. Zdjęcia do filmu Łukasza Karwowskiego były realizowane na obszarach zniszczonych przez wojnę, w strefach wciąż narażonych na działania zbrojne.

– Pierwszą rzeczą, która spodobała mi się w tym projekcie była metafora – zestawienie Polski i Ukrainy jako dwóch siostr – mówi Diana Zamojska. – Piękne było to, jak Polacy pomagali wtedy swoim sąsiadom. Serce rosło. I to mnie zachęciło do wzięcia udziału w castingu.

Gdy się okazało, że wybrano mnie do roli Małgosi, początkowo miałam oczywiście wątpliwości, żeby pojechać do kraju ogarniętego wojną, jednak po dyskusjach z najbliższymi i własnych przemyśleniach uznałam, że przecież

my, aktorzy, reżyserzy, operatorzy, w ogóle twórcy filmowi, jesteśmy właśnie od opowiadania historii. Bardzo różnych historii, dziejących się w różnych miejscach, więc muszę tam pojechać. Bo trzeba pokazać te bolesne miejsca – Buczę, Irpień, Czernihów. Pokazać może głębiej albo po prostu inaczej, z innej perspektywy.

Dla mnie jako aktorki bardzo ciekawe było też poznanie aktorów i aktorek ukraińskich, zagranie z nimi w tym filmie. Wiedziałam, że to będzie ich pierwszy projekt filmowy od czasu inwazji rosyjskiej.

Z pierwszych doświadczeń związanych z filmem szczególnie zapamiętałam dodatkową kontrolę paszportową – przy wjeździe do Kijowa. Dokumenty sprawdzali uzbrojeni żołnierze. Szokujące były też zniszczenia, które obserwowaliśmy przed wjazdem do

miasta. Widzieliśmy też porzucone, uszkodzone wozy bojowe.

Pierwszego dnia zdjęciowego musieliśmy przejechać przez niemal kompletnie zburzony most. Pamiętam też strach związany z alarmem, kiedy pierwszy raz musieliśmy się schronić w kijowskim metrze. Czekanie, aż zagrożenie się skończy, uświadomiło nam, w jakim położeniu się znalazłyśmy.

Dojmujące były też sceny filmowe, m.in. te, w której siostry spotykają młodą Ukrainkę i wchodzi z nią do zrujnowanego bloku. Znajduje się w nim jej dawne mieszkanie, teraz puste i zniszczone, a jednocześnie pełne śladów dawnego rodzinnego życia.

Realizacja „Dwóch siostr” wiązała się z kolejną wyprawą na Ukrainę. 10 lat wcześniej byłam we Lwowie z moim pierwszym spektaklem (zrealizowanym w teatrze Soho) – „Kalino malino czerwona jagodo” w reż. Igora Gorzkowskiego.

Pochodzę z Mazur, z Gołdapi (tata się tam przeprowadził, szukając pracy). Mama jest warszawianką, w stolicy mam dużą część rodziny, tu ukończyłam Akademię Teatralną. Ponieważ rodzice cały czas mieszkają w Gołdapi, niedaleko granicy z Rosją, widzę, jak mocno odczuwa się tam to sąsiedztwo. Gołdap jest miasteczkiem turystycznym. Od kiedy wybuchła wojna odwiedza je mniej gości, co bardzo odcisnęło się na tym miejscu.

Wyjazd na ogarniętą wojną Ukrainę dał mi bardzo dużo. Tak po ludzku. Chociaż i zawodowo było to niezwykle ważne doświadczenie.

Jestem osobą podróżującą. Lubię być nomadą. W ub.r. spędziłam pięć tygodni w Tajlandii. Wielokrotnie wyjeżdżałam do Stanów Zjednoczonych. Dość długo mieszkalam m.in. w Los Angeles, które tak ucierpiało z powodu ostatnich pożarów. Bardzo dobrze wspominam Vermont, położony w północno-wschodniej części USA stan „zielonych gór” (nazwa pochodzi od francuskiego Les Verts Monts). To przepiękny rejon i zupełnie inna społeczności, niezwykle otwarci ludzie.

W planach mam podróż do Wietnamu i Kambodży. A z „Dwiema siostrami” może pojedziemy na festiwal polskich filmów w Waszyngtonie.

Notowała **Jolanta Gajda-Zadzworna**



Tajska rozgrzewka

ANNA MONICKA

Gdy dzieci włączą się po świecie, rodzice też mogą się sporo nauczyć. Kiedy więc nasza młodzież wybrała się na urlop do Tajlandii, miałam nadzieję, że po powrocie nie tylko nasłuchamy się opowieści o tym, co zwiedzali, lecz także co i gdzie jedli. Z uśmiechem przypomniałam sobie moją ostatnią próbę dogadania się z tajską mistrzynią patelni w kwestii ostrości salatkę z papai. Niby się zrozumieliśmy, że ma być łagodna, ale i tak obie z córką spłynęłyśmy potem, zanim udało nam się ją zjeść. Od tamtej pory zmieniła nam się definicja ostrości.

Nie mogłam się doczekać przywiezionej z podróży kolacji. Akurat ścisnął mróz, więc zupa tom yum okazała się strzałem w dziesiątkę. Krewetki, biała delikatna ryba pływająca w lekkim bulionie z kurczaka z mnóstwem kolendry, trawy cytrynowej, listkami kafiru i soku z limonki, doprawiona czosnkiem, imbirem, galangalem i specjalną tajską konfiturą z chili natychmiast sprawiła, że krew zaczęła szybciej krążyć, nawet w palcach u stóp. Ożywiliśmy się, nabraliśmy rumieńców i zaczęliśmy ściągać swetry.

Pad thai, czyli makaron ryżowy (nie gotowany, ale długo moczony w wodzie, żeby był sprężysty i al dente), smażony z jajkiem, krewetkami i tofu, genialnie pachnący pastą tamarindową i srirachą, posypyany kielkami fasoli i dymką sprawił, że zadumałam się smętnie nad naszym street foodem. Na szczęście tajskich knajpek jest coraz więcej, a eksperymentowanie w domu przychodzi coraz łatwiej, bo w orientalnych delikatesach można kupić wszystkie przyprawy, a całkiem porządne krewetki pojawiają się nawet w sieciówkach.

Moje serce najbardziej podbił jednak sos orzechowy podany do szaszłyków z kurczaka. Mięso jak mięso, chociaż muszę przyznać, że gdy poleżało w marynacie z mleczka kokosowego i curry, nabrało świetnego smaku. Za to sos – mistrzostwo świata. Wybrałam do domu cały słoik, a następnego dnia pomaszerowałam do sklepu po worek niesolonych fistaszków. Praży się je na patelni (oczywiście wyluskane), studzi, miksuje, zalewa wrzątkiem (w proporcji 2 miarki orzechów i 1 wody), dodaje odrobinę soli i gotuje. Doprawione octem ryżowym, sosem sojowym, mlekiem kokosowym i czerwioną pastą curry trzeba jeszcze raz zmiksować na gładko. Można wykorzystać gotowe masło orzechowe, będzie szybciej. Polane nim steki ze smażonego kalafiora na stałe wejdą do mojego jadłospisu.

Fot. Shutterstock



Azotany, azotyny

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Ludzkosć nie miałaby szans na rozwój, gdyby nie konserwacja żywności. Wciąż wydłużająca się średnia życia *Homo sapiens* to efekt wielu czynników. Wynalezienie antybiotyków, szczepionek, dostęp do diagnostyki, wysoki poziom medycyny – wszystko to sprawia, że żyjemy dłużej. Sprawą podstawową jest jednak wyeliminowanie głodu. Egzystując w Europie, jest szansa na to, byśmy żyli długo, gdyż mamy pod dostatkiem jedzenia. Z tym wiąże się kwestia konserwacji żywności – średnia długość życia wzrasta, gdyż nie zatrzymujemy się jadem kielbasianym, nie umieramy masowo na salmonellozę, nie przyswajamy toksyn ze spleśniałych pokarmów itp. A zatrucia pokarmowe bardzo często były przyczyną zgonów przedstawicieli naszego gatunku.

Obecnie jednak to, co do tej pory było czynnikiem sprzyjającym życiu, staje się zagrożeniem. Jedzenia jest pod dostatkiem. Nie grozi nam śmierć głodowa. Niemal każdy produkt spożywczy zawiera substancje konserwujące, nie grozi nam więc śmierć na skutek zatrucia popsutym jedzeniem. Jednak zjadając dziennie 50 g przetworzonego mięsa (kielbas, szynki, boczku itd.), zwiększamy ryzyko zachorowania na raka jelita grubego o 18 proc. Odpowiedzialne za to są konserwanty.

Azotany i azotyny powszechnie dodawane np. do wędlin sprawiają, że w mięsie nie rozwijają się bakterie. Na razie nie ma ich czym zastąpić. Konkretnie związki z tych dwóch grup na liście „E” mają oznaczenia E249, E250, E251, E252. Na etapie produkcji nie można dosypać do mięsa ich dowolnej ilości. Maksymalne dopuszczalne poziomy tych substancji w produktach spożywczych są ustalone przez rozporządzenie Komisji Europejskiej. Takie regulacje są konieczne właśnie ze względu na kancerogenność tych substancji. Regularne spożywanie azotanów i azotynów zwiększa ryzyko rozwoju nowotworów. Akceptowalne dzienne spożycie tych pierwszych wynosi 3,65 mg na kilogram masy ciała. W przypadku azotynów jest to 0–0,1 mg na kilogram masy ciała.

Co mamy robić? Po pierwsze, wybierajmy żywność nieprzetworzoną. Jedząc jednak wędliny, zachowajmy umiar: na stałe zredukujmy ilość parówek, plastrów szynki, boczku, np. o połowę. Szukajmy w sklepowych chłodniach produktów bez wyżej wymienionych „E”, pamiętając, że jedzenie bez konserwantów ma krótszą trwałość.

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Ostateczny test

Na temat prawa trudno pisać w możliwie prosty sposób. Zbyt dużo jest zawilich jurystycznych kwestii, szczególnie dziś, gdy obecna władza wykorzystuje prawo wyłącznie do swoich politycznych potrzeb, nie kryje się z tym, a nawet jest z tego dumna. Cisną się na usta słowa nieparlamentarne. Równocześnie sędziowie w swoich związkach zawodowych (Iustitia, Themis) prowadzą działalność publiczną, której, jak mówi konstytucja, nie da się pogodzić z zasadami niezależności sądów i niezawisłości sędziów. Trzymajmy się jednak ducha i litery prawa, pamiętając o tym, że kryzys polskiej praworządności, który w dramatyczny sposób nasilił się w ostatnim roku, ma wieloletnie historyczne uwarunkowania.

Z satysfakcją odebrałem pojawienie się książki pt. „Trzecia władza. Sądownictwo w latach 1946–2023” Tomasza Pietrygi, dziennikarza, publicysty i wykładowcy akademickiego. Jak piszą recenzenci, autor abstrahuje od sympatii politycznych i istniejących w Polsce podziałów w sprawie oceny sądownictwa. Jak zauważyłem, zachowuje duży obiektywizm w opisie genezy, funkcjonowania i prób reformowania KRS, dość mi bliski.

Nie trzeba być konstytucjonalistą, aby wiedzieć, że większość artykułów konstytucji RP z 1997 r. zawiera odwołanie do ustaw, które także są źródłem prawa, ale niższej rangi niż konstytucja. To ustawa tworzy konkrety prawa, w przeciwnym przypadku ustawa zasadnicza z tysiącami stron byłaby nieczytelna. W pkt. 4 art. 187. konstytucji poświęconym KRS czytamy: „Ustrój, zakres działania i tryb pracy Krajowej Rady Sądownictwa oraz sposób wyboru jej członków określa ustawa”. Czy rząd PiS, wprowadzając w życie w lipcu 2017 r. nowelę ustawy o KRS, złamał konstytucję?

Jego przeciwnicy, czyli ówczesna opozycja oraz europejskie struktury prawnicze, stwierdzili, że tak. Ale to nie rząd wprowadził w życie nową ustawę o KRS i Sądzie Najwyższym. To była kompetencja parlamentu. Większość parlamentarna może zmieniać obowiązujące prawo także dotyczące funkcjonowania instytucji prawa, jak KRS, ale tylko w ramach tego prawa. I właśnie tej oczywistej kompetencji odmówiono władzy, której rząd legitymuje się większością parlamentarną. Protestował wtedy Sąd Najwyższy, pisząc w opinii do ustawy, że władzy chodzi o pozbycie się większości sędziów, protestował rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar, widząc oczywistą ingerencję organu władzy wykonawczej, jaką jest minister sprawiedliwości i prokurator generalny, w niezależność SN. Negatywnie wypowiedziały się także instytucje, jak komisja wenecka i Komisja

Europejska. Protestowały oczywiście tzw. autorytety prawnicze, z których większość walczyła i nadal walczy o utrzymanie *status quo* postkomunistycznego sądownictwa.

Sprzeciw wobec KRS trwa. Uznano, dziś już oficjalnie, że tryb jej wyboru był niezgodny z konstytucją. Tymczasem, jak pisze Tomasz Pietryga: „Polska konstytucja milczy, kto wybiera sędziowskich członków KRS. Ustawodawca przesądził jedynie, że przedstawiciele Senatu w KRS wybiera Senat, a posłów – Sejm. Milczenie w sprawie sędziów oznacza, że ustrojodawca pozwolił władzy ustawodawczej na kształtowanie sposobu ich wyboru”. Bo to większość parlamentarna decyduje o tym, jakie prawne rozwiązania można wprowadzić do tzw. obrotu prawnego zgodnie z konstytucją. Tego faktu nie chcą zaakceptować obecna władza, środowisko sędziowskie oraz europejskie sądy, no i oczywiście sprzedajne władzy media. Zdaniem Tomasza Pietrygi „do czasu reformy KRS w 2017 r. obowiązywała w tej sprawie wykładnia historyczna bazująca na ustaleniach Okrągłego Stołu”. Trudno się z tym nie zgodzić. Dziś już nikt oficjalnie nie kwestionuje bezstronności czy niezawisłości sędziów nominowanych przez Jaruzelskiego czy Radę Państwa PRL, ale za to neguje się istnienie sędziów wyłonionych przez KRS za czasów PiS i prezydenta

Andrzeja Dudy, który wręcza nominacje sędziowskie i odbiera od nich przysięgę. Akceptuje to UE i mimo licznych uwag polskich niezależnych konstytucjonalistów nadal ingeruje w te sfery prawa, które zgodnie z traktatami unijnymi są zastrzeżone dla państwa członkowskiego. Dzięki temu w polskim środowisku prawniczym odnalazła się liczna grupa sędziów określających się jako „sędziowie europejscy”. To ci, którzy czuli się najbardziej

zagrożeni reformami sądownictwa wprowadzonymi przez PiS. Internacjonalistyczna solidarność z europejskimi sędziami miała im zapewnić bezpieczeństwo zawodowe, a Unii wpływ na niechciane rządy polskich „nacionalistów” dzięki skompromitowanym, często łamiącym prawo sędziom. Tak trudne czasy reform PiS przetrwała „nadzwyczajna kasta”, jak mówiła o swoim środowisku i sobie sędzia NSA Irena Kamińska.

Dziś trzecia władza w walce o swoją uprzywilejowaną pozycję doprowadziła państwo polskie na skraj przepaści. Zaakceptowała wyrok TSUE, który mówi, że w razie kolizji prawa unijnego z krajowym mają pomijać polskie prawo. Ostatecznym testem będzie stanowisko sądów wobec oskarżenia premiera Donalda Tuska o pęłający zamach stanu. 

www.wojciechreszczyński.pl



**Michał Korsun prezentuje:
Wujek Sam woli wydawać sam**



Wycinki z przeszłości

W lutym 1933 r. dwutygodnik „Dziecko i Matka” zamieścił takie fotograficzne wspomnienie z wypoczynku w górach. Obok relacja: „Dla Kasi Zakopane miało na razie tylko jedną, szaloną osobliwość: dzwonki u sanek... Dzwonki z tyłu, dzwonki z przodu i dzwoneczki z boku konia, który wymijał ich sanki i wyrzucał spod kopyt zawadiackie grudy śniegu z ziemią. To było najciekawsze, na to patrzyła w spokojnym milczeniu, uważnymi oczami.

Za to tam zachowywała się, w porównaniu, daleko niespokojniej i na przykład to, co w Warszawie określała kilkoma prawie surowymi słowami, z gestem głowy lub ręki spoza firanki: »Popatrz Katarzyno, słońce świeci« – tutaj brzmiało daleko ozdobniej. Na przykład tak: »Ach, patrzcie, patrzcie, co za boskie słońce!«.

Czy kiedyś wrócą śnieżne, białe, pełne radości zimy? 

(mk)



Z WOLEJA

Polacy lepsi latem niż zimą



**Ryszard
Czarnecki**

Zima w Polsce trwa długo, ale to się jakoś nie przekłada na wyniki Białego-Czerwonego na zimowych igrzyskach olimpijskich.

W klasyfikacji medalowej wszech czasów zajmujemy miejsce dopiero w trzeciej dziesiątce. Jak na państwo z co najmniej trzema zimowymi miesiącami to daleko.

Medale na letnich IO zdobyliśmy już w czasie naszych pierwszych igrzysk w Paryżu w 1924 r. Tymczasem na pierwsze zimowe podium olimpijskie czekaliśmy aż do 1956 r., gdy na trzecich igrzyskach po II wojnie światowej brąz zdobył góral Franciszek Gąsienica Groń, który był trzeci w kombinacji norweskiej (skoki narciarskie plus biegi). Na kolejnych igrzyskach zdobyliśmy dwa medale dzięki naszym łyżwiarkom: w jednej konkurencji na podium stanęły dwie Polki – srebrny medal zdobyła Elwira Seroczyńska, a brązowy Helena Pilejczyk. Potem były lata posuchy, aż w końcu w japońskim Sapporo sensacyjne złoto wywalczył skoczek narciarski, którego władze początkowo nie zakwalifikowały do ekipy na IO. Pomogła presja mediów i Wojciech Fortuna, krnąbrny chłopak z Zakopanego, nie dość, że pojechał do Kraju Kwitnącej Wiśni, to jeszcze zawojował dużą skocznię na pierwszych w historii zimowych igrzyskach w Azji.

Miałem wtedy dziewięć lat, ale po przeszło pół wieku mogę do dziś wyrecytować odległości Polaka: w pierwszej próbie znokautował rywali skokiem na odległość 111 m, drugi zepsuł (89,5 m), aby w końcu wygrać o raptem 0,1 pkt ze Szwajcarem Walterem Steinerem. Wtedy na drugim końcu świata po raz pierwszy w historii startów na zimowych IO wysłuchaliśmy „Mazurka Dąbrowskiego”.

Potem polski hymn grali jeszcze sześciokrotnie: trzy razy skoczkowi narciarskiemu rodem z Zębu Kamilowi Stochowi, dwa razy biegacze Justynie Kowalczyk i raz specjaliście łyżwiarstwa szybkiego Zbigniewowi Bródce. Ten ostatni wygrał z Holendrem – ten kraj to największa potęga, gdy chodzi o panczny – o tysięczne sekundy.

W sumie na zimowych IO wywalczyliśmy 23 medale: 7 złotych, 7 srebrnych i 9 brązowych. Najwięcej krążków zdobyła nasza pierwsza dama sportów zimowych Justyna Kowalczyk – aż pięć. Stoch ma „tylko” cztery, ale za to aż trzy z najcenniejszego kruszcu. Ten, który rozpoczął boom na skoki narciarskie w Polsce, czyli Adam Małysz, ma cztery medale, ale (sport bywa okrutny i niesprawiedliwy) żadnego złotego.

Najbardziej medalodajne były skoki narciarskie, w których zdobyliśmy dziesięć medali z 23 i aż 4 złote z 7. Na podium stawiliśmy w pięciu dyscyplinach, w tym w niewymienionym dotąd biathlonie.

Za rok kolejne zimowe igrzyska. Czy w sytuacji zapaści w skokach narciarskich dorzucimy jakieś medale do narodowej kolekcji? Od 2002 r. na każdych zimowych igrzyskach stawiliśmy na podium. 



OD A DO ZYBERTOWICZA

Pieśń ujdzie cało...

Sztuczna inteligencja już teraz jest niebezpieczniejsza od najgroźniejszych tyranów w dziejach

C hciałbym, aby nadal było tak, jak zapowiada wieszcz. Aby podstawowy przekaz wartości narodowych lub po prostu ludzkich potrafił przetrwać wszelkie historyczne wstrząsy.

6 lutego 2025 r. wieczorem miałem zaplanowane w warszawskim Klubie Gazety Polskiej spotkanie na temat wyzwań, które przynoszą nam dziś nowe technologie. Tytuł brzmiał: „Sztuczna inteligencja jako »Obcy«”. Ten „Obcy” to nawiązanie m.in. do serii filmów z Sigourney Weaver w roli głównej.

Tego dnia przed śniadaniem poszedłem na spacer do Łazienek. Po raz kolejny przyjrzałem się pomnikowi Fryderyka Chopina, przy którym, gdy już jest ciepło, w każdą niedzielę odbywają się koncerty chopinowskie. Pomnik za każdym razem budzi we mnie podziw dla jego twórcy – Wacława Szymanowskiego. Niemniej jestem zafascynowany staraniami tych moich rodaków, którzy po zniszczeniu monumentu przez Niemców podczas okupacji po wielu staraniach odbu-

dowali to arcydzieło. W 1958 r., a więc za komuny, uroczyście go odsłonięto. A przy okazji: podczas II wojny światowej okupanci zakazali wykonywania muzyki Chopina na terenie Generalnego Gubernatorstwa.

Obchodząc pomnik dookoła, po raz pierwszy zauważyłem, że z boku są wyryte słowa:

„Płomień rozgryzie malowane dzieje,
Skarby mieczowi spustoszą złodzieje,
Pieśń ujdzie cało...”

To fragment poematu „Konrad Wallenrod” napisanego przez Adama Mickiewicza. Może trochę dla psoty, może dla sprawdzenia spytałem Groka (sztuczna inteligencja dostępna na platformie X), jak rozumieć te słowa poety. Oto odpowiedź:

- „Płomień rozgryzie malowane dzieje” – ta linijka odnosi się do zniszczeń wojennych lub katastrof, które mogą zniszczyć fizyczne ślady historii, takie jak obrazy, rękopisy czy inne materialne świadectwa przeszłości. Mickiewicz sugeruje, że materialne dziedzictwo kulturowe jest podatne na zniszczenie.
- „Skarby mieczowi spustoszą złodzieje” – tu jest mowa o grabieży i niszczeniu dóbr materialnych przez najeźdźców lub wrogów. „Miecz” symbolizuje wojnę, a „złodzieje” mogą być zarówno literalnymi złodziejami, jak i metaforą na wrogów narodu, którzy niszczą i kradną jego bogactwa.
- „Pieśń ujdzie cało...” – to kluczowa część cytatu, która podkreśla, że mimo zniszczeń materialnych pieśń, czyli kultura, tradycja, literatura, poezja, przetrwa nietknięta. Pieśń symbolizuje tu coś niematerialnego, co nie może być zniszczone przez ogień czy miecz – duchowe dziedzictwo narodu, jego tożsamość i pamięć.

Wróćmy do wieczornego wykładu. Gdy pokazałem swą konwersację z Grokiem, obecni na sali nauczyciele języka polskiego zgodzili się, że jest to interpretacja dobrej jakości. I że nie mało uczniów mogłoby mieć kłopot, aby tak zgrabnie wyłożyć sens wersów Mickiewicza.

Rozmawialiśmy o tym, że ta sama AI, jeszcze przecież raczkująca, radzi sobie z zadaniami wymagającymi sporych kompetencji językowych i kulturowych lepiej niż wielu ludzi. Oraz o tym, że już dziś współtworzy przestrzeń komunikacyjną, w której ludzkie zdolności poznawania, interpretowania – w sumie rozumienia społecznego świata – stają się coraz słabsze.

Że pora dostrzec, iż rewolucja cyfrowa jest w stanie osiągnąć to, czego nigdy wcześniej w ludzkich dziejach nie udało się żadnym najeźdźcom – ani niemieckim nazistom, ani sowieckim komunistom. Oni nie byli w stanie tak wypłukać ludzkich umysłów, by „pieśń” jako jedna z ważnych form kulturowego przekazu obumarła. By została wyparta z ludzkich głów. Rewolucja cyfrowa to robi. W jaki sposób? Przez niekończące się strumienie śmieciowych cyfrowych bodźców płynących ze smartfonów.

Sztuczna inteligencja już teraz jest niebezpieczniejsza od najgroźniejszych tyranów w dziejach. Jej rządzące obiegiem informacji algorytmy coraz skuteczniej odcinają nas od przeszłości, od dziedzictwa narodowych kultur. Coraz bardziej szatkują nasze postrzeganie świata, oddzielając jednych ludzi od drugich, wyzwalając w nas paskudne instynkty bezinteresownej wrogości.

Jeśli „pieśń” ma ujdąć cało, to z dzisiejszą cyfrową infosferą musimy coś zrobić.

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja x2



Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy, że jesteście z nami. To z myślą o Was co tydzień przygotowujemy nowe wydanie „Sieci”, abyście mogli:

- wygodnie śledzić najważniejsze informacje z Polski i ze świata,
- czytać ekskluzywne wywiady z najważniejszymi postaciami polskiej polityki, biznesu, nauki i sztuki,
- poznawać mocne i wyraziste opinie redakcji, analizy ekspertów i komentarze naszych publicystów.

Zachęcamy do wykupienia prenumeraty dla siebie albo bliskiej osoby. Dzięki wsparciu naszych Prenumeratorów będziemy mogli nadal publikować wysokiej jakości materiały oraz dbać o rzetelność i patriotyzm w polskiej publicystyce.

Życzymy dobrej lektury każdego numeru tygodnika „Sieci”!

Serdecznie pozdrawiamy,
Zespół tygodnika „Sieci”

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika **SIECI** ?

1 Wybierz swoją prenumeratę

3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
118 zł	207 zł	375 zł

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00
(poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

2 Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu,** opłać prenumeratę na pocztę, podając dane do wpłaty w okienku



Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty Sieci na pocztę:

Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.

Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Tytuł wpłaty:

.....
(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)

Kwota:

(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 375 zł)



wPolsce 24

**Zbieramy
na nowe
kamery!**

WESPRZYJ patriotyczne media

numer konta:
69 1020 4900 0000 8202 3036 2577
tytuł wpłaty: DAROWIZNA

CEL: 920 000

Dziękujemy

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52

telewizja
naziemna

192

netia 

32



825

 vectra

196

polsat box 

65

PLAY
dawniej UPC

459

inea 

Wytnij karteczkę-niezbędnik i zabierz na pocztę.



Dane do wpłat:

Nazwa odbiorcy: Fratria Sp. z o.o.

Nr konta: 69 1020 4900 0000 8202 3036 2577

Tytuł wpłaty: DAROWIZNA

Kwota: zł